

42041 [1]

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

—❦—
Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

UŁOŻYŁ

Wacław Nałkowski

I

AUSTRALJA (z Polinezją)



NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA W WARSZAWIE

2.5

GIEOGRAFJA MALOWNICZA

GIEOGRAFJA



MALOWNICZA

Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

UŁOZYŁ

Wacław Natkowski

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55



Wa 5126705

»L'univers est une espèce de livre dont on n'a lu que la première page, quand on n'a lu que son pays.«
Stendhal.

I

AUSTRALJA (z Polinezją)

WARSZAWA.

NAKLAD I WŁASNOŚĆ MICHAŁA ARCTA

1902.

opisy podróży

<http://rcin.org.pl>

13

JAN... SKI

34

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Апрелья 1901 г.



42.041 [1]

HN-16080 / Ts

PAN

<http://rcin.org.pl>

Włoc. 6. 2 12 / 73

OD AUTORA.

W przedmowie do mojej «Gieografji Poglądowej» zwróciłem uwagę, iż przy nauczaniu gieografji należy, prócz władzy myślenia i obserwacji, pobudzać też wyobraźnię ucznia, oddziaływać na jego stronę estetyczną, przez czytanie pięknych opisów krain dalekich, oraz walk człowieka z przyrodą; dodać przytem należy, iż obrazy tych walk, wogóle działalności i zwyczajów człowieka innych krajów w porównaniu z naszymi, mogą także oddziaływać i na stronę etyczną. W związku z tym zwróciłem uwagę na potrzebę «Wypisów gieograficznych.»

Niniejsza praca, ułożona przeważnie z wrażeń podróżników, ma właśnie na celu uczynić zadość powyższej potrzebie. Położyłem więc tutaj nacisk na rzeczy bardziej interesujące i nadające się do obrazowego przedstawienia; stąd nazwa «Gieografji Malowniczej.»

Gieografja «Malownicza» staje tym sposobem obok «Rozumowej» i «Poglądowej», czyniąc zadość trzeciemu zadaniu gieografji: — żywemu, obrazowemu przedstawieniu ziemi i zamieszkującego ją człowieka.

Szczupłość miejsca, a po części i nierównomierność (ze względu na powyższe wymagania) materiału podróźniczego, nie pozwala nam tutaj dać systematycznego przedstawienia całej ziemi; musimy się ograniczyć na *przedstawieniu jej fragmentarycznym*: podróźnik-czytelnik zatrzymuje się tylko *w miejscach budzących większy interes*.

Zresztą co do Australji (skreślonej w części przy pomocy najlepszych jej znawców, E. Junga i R. Lendenfelda), to ta, jako najmniejsza z części świata, a przytem posiadająca najwięcej odrębności, pozwala w przedstawieniu bardziej zbliżyć się do systematyczności i zaokrąglenia, niż to będzie możebne dla pozostałych części świata.

Ogólny charakter łądu Australji.

Australja otrzymała swą nazwę od położenia na półkuli południowej (australis znaczy południowy). Łąd Australji leży między Oceanem Indyjskim i Wielkim na południow-schód Azji, jak Afryka na południo-zachód; obie wysunięte daleko na południe (szczególniej Australja), wciśnięte w niezmierną próżnię oceaniczną ku antarktycznym wiecznym lodowiskom, mogły tylko swemi północnymi częściami przyjmować pierwiastki cywilizacji.

Australja swym klinowatym półwyspem północnym (York) zbliża się do Nowej Gwinei, a przez nią i wogóle przez archipelag Wschodnio Indyjski, łączy się, niby przemykiem wyspowym, z Azją; tą też drogą otrzymała Australja wiele roślin i zwierząt, tedy zapewne przedostali się tutaj pierwotni jej mieszkańcy, z tej strony Australja została odkryta przez Europejczyków, a przedtem jeszcze zwiedzana przez azjatyckich Malajów.

Na południu łądu Australji swym łukowatym wygięciem zbliża się tylko do samotnej wyspy Tasmanji w usianej drobnymi wysepkami cieśninie Bassa; tą drogą Australja nie otrzymać nie mogła, owszem tą drogą przeszła ludność pierwotna z Australji do Tasmanji.

Zaznaczone powyżej, a wynikłe z położenia odosobnienie Australji z biegiem czasu zmniejszyło się znacznie, tak iż obecnie jest ona najdalej na południe wysuniętą (przez

Tasmanję) krainą kultury; nie dziw, że stąd wychodzą projekty zbadania okolic bieguna Antarktycznego. Zmniejszenie tego odosobnienia, zbliżenie do krain kultury zawdzięcza Australia cywilizacyjnej działalności człowieka, który przekształca powierzchnię ziemi, skraca przestrzeń i czas. Mianowicie dawniej jedyna droga do Australji prowadziła około przylądka Dobrej Nadziei; wówczas statki żaglowe dla przybycia tu z Anglji potrzebowały do 8 miesięcy czasu; dziś istnieją dwie dogodniejsze drogi, skrócone przytem przy pomocy pary: jedna przez kanał Suezki, druga «szukająca wschodu przez zachód» z użyciem amerykańskiej kolei Oceanu Spokojnego; obie drogi wymagają tylko około półtora miesiąca czasu; przytem droga przez kanał Suezki jest jeszcze podwójna: jedna przez Gibraltar, druga, z użyciem kolei w poprzek łądu Europy i wzdłuż półwyspu Apenińskiego, przez Brindisi; ta jest najkrótsza (40 dni).

W jeszcze ściślejsze stosunki z Europą weszła Australia wskutek przeprowadzenia liny telegrafu podwodnego (wzdłuż wysp Sunda i Azji); depesza z Europy do Azji idzie 3 — 6 godzin, a jaką to sztuczne zbliżenie ma doniosłość dla materialnego rozwoju Australji przez wczesne jej zawiadomienie o cenie zboża na rynkach angielskich, dowodzi fakt, że koloniści Australji Południowej zarobili na tym w jednym roku 3 miliony marek.

Australia jest częścią świata, w której zjawiska życia ziemskiego są najmniej urozmaicone; nie, nawet widok Sahary, nie dorównywa rozpaczliwej monotonji krajobrazowej wnętrza Australji; flora i fauna przed przybyciem Europejczyków i wprowadzeniem przez nich nowych roślin i zwierząt zawierała bardzo niewiele gatunków, a mieszkańcy pierwotni, obecnie już znikający, byli najędzniejszymi z istot ludzkich. Pominąwszy część północną, gdzie występuje roślinność bujniejsza, zwrotnikowa, wśród pierwotnej roślinności australijskiej panuje przeważnie jedna forma:

eukalipty. Liście tego drzewa posiadają własności lecznicze w chorobach kataralnych; długie korzenie, wyciągając wilgoć z gruntu, chronią okolicę od chorób febrycznych. Twarde odmiany eukaliptów dostarczają drzewa do budowy domów i na podkłady do szyn kolejowych; odmiany miękkie — drzewa na opał.

Klimat Australji od kwietnia do października jest przyjemny, ale w styczniu, lutym i marcu upały dosięgają 50° w cieniu, a gdy na południowo-wschodnim wybrzeżu powieje wiatr północno-zachodni, atmosfera staje się tak gorąca i duszna, iż człowiekowi wydaje się, że wstąpił do przedsionków piekła.

A jakże dzikim i smutnym jest krajobraz! Nie spotkasz tu kolorów żywych, wszystko jest matowe, szare, jednostajne aż do znużenia. Zieleń traw i drzew jest szarawa lub niebieskawa bez żadnej siły; wszystko tchnie rozpacziwą monotonią; widok eukaliptów o liściach długich, wiszących pionowo, nie dających cienia, o korze odrywającej się i zwieszającej strzępami, o gałęziach wikłających się rozpaczliwie we wszelkich możliwych kierunkach, napawa człowieka smutkiem i znudzeniem.

Tu i owdzie drzewa zostały zniszczone przez pożar lub przez nacięcia dokoła pnia; sterczą one niby szkielety o nagich i martwych ramionach. To znów niezliczone szare pnie eukaliptów leżą zwalone na ziemi, podsuwając umysłowi najfantastyczniejsze formy olbrzymich pajaków, węzłów pokreconych, krokodyłów przyczajonych i t. p.

Nieco dalej płoną zarośla (bush); to kolonista europejski przygotowuje sobie grunt; za kilka lat powstanie tu może kwitnące miasto, lecz obecnie jest to widok piekielny. Z jaką przyjemnością dosięgasz wąwozu, na dnie którego toczy się mały strumyk, gdzie rosną paprocie drzewiaste do 12 stóp wysokie!

Liście dwuletnie, zeschnięte, żółtawo-brunatne, zwieszają się na płask wzdłuż pnia; liście z ostatniego roku, ciemno-zielone, tworzą jakby parasol, podczas gdy liście najnowsze, jasno-zielone, trzymają się prosto na wierzchołku. Nieco kwiatów, a niektóre z nich o barwie wspaniale szkarłatnej, nadają na wiosnę trochę wesołości temu smutnemu krajobrazowi.

Niema pióra na opisanie tej głębokiej, śmiertelnej cizy, jaka tu panuje. Powiadają, że człowiek, przebywający w tych pustynnych zaroślach, odwyka prawie od mówienia, a często dostaje pomieszania zmysłów. Zwierzęta nawet zdają się ulegać powszechnemu milczeniu; było nie ryczy, nie słychać też beczenia owiec, które się tu pasą tysiącami. Tylko niekiedy wśród nocnej cizy daje się słyszeć ponure, przejmujące dreszczem wycie dzikiego psa (dingo), które po niezmiernych pustych równinach lub wśród pierwoboru rozlega się echem «niby chór czarownic». To znów na huk wystrzału podrywają się ze szczytów drzew chmary białych papug, z żółtymi czubami, a wrzask ich ogłusza na chwilę; lecz wkrótce znów zalega głęboka cisza.

Przytym głosy, wydawane niekiedy przez ptaki, powiększają jeszcze powszechny smutek. Kruk wydaje głos: *ma-ka*, powolny, przedłużony, niby płacz i skarga duszy pokutującej; kulik gwiżdże jęklawie, na podobieństwo krzyku umierającego dziecka, i t. p. Jednakże laughing-jackass (ptak śmieszek) dowodzi, iż nawet tutaj, można napotkać wesołość. Śmieje on się zabawnie: hu-hu-hu-hu, ha-ha-ha-ha!—tak, że słysząc ten głos, trzeba się śmiać z nim razem. Drobnny ten ptak, z głową prawie tak wielką jak reszta ciała, walczy z węzami i tępi je; to też prawa kolonialne opiekują się nim i nie pozwalają robić mu krzywdy.

Trzeba tu oddać sprawiedliwość żabom australijskim, zaludniającym wszystkie bagna tego kraju, iż przyczyniają się one z wielkim talentem do ogólnego koncertu natury.

Pominąwszy węże i stonogi, których ukąszenie wymaga natychmiastowej amputacji członka dotkniętego, oraz dokuczliwe owady, w zaroślach Australji nie napotyka się żadnego niebezpiecznego zwierzęcia. Kangury, wallaby i opossumy, główni mieszkańcy zarośli, są to zwierzęta o wejrzaniu łagodnym, zupełnie nieszkodliwe; nawet mały niedźwiedź australijski siedzi na drzewie tak spokojnie, że gdy mu się przyłoży strzelbę do pyska, patrzy niewinnie, jakby chciał powiedzieć: «nicem ci nie zrobił, dla czego mi pod stawiasz pod nos ten paskudny instrument?»

Wielki kangur jest też łagodny jak baranek, ale prześladowany przez psy, potrafi się bronić bardzo roztropnie: gdy nie może uciec, stara się obrać pozycję w wodzie, a wtedy chwyta napadającego nań psa, wciąga do wody i trzyma w niej tak długo, póki się ten nie udusi.

Ze zwierząt sprowadzonych przez Europejczyków szczególnie rozmnożyły się króliki, które niszczą pastwiska, i dlatego są tępione przez kolonistów. Jeżeli w Europie ktoś zabije królika bez pozwolenia, to ulega karze; jeżeli zaś w Australji kto chybi do królika, to poczytanem mu bywa za zbrodnię. Rzeczywiście bowiem króliki zrzadzają takie szkody, że kwestją tą muszą się zajmować australskie parlamenty oraz uczeni, którzy zastanawiali się nad tym, jaka trucizna mogłaby być najskuteczniejsza do wytępienia tych zwierząt.

Nietylko krajobraz wnętrza Australji jest smutny; i ludzie tam napotykanii niezbyt go rozweselają. Do zwykłych typów tutaj napotykanym należą: dozorca stad w filcowym kapeluszu z wielkim rondem; inspektor ogrodzeń, przebiegający stacje pasterskie w pół galopie; biedny włóczęga, który o zachodzie słońca puka do jakichś drzwi gościnnych, prosząc chleba, herbaty i noclegu; nazajutrz bowiem idzie w dalszą drogę do sąsiedniej stacji, gdzie znowu otrzy-

ma to samo. Włóczy on się bezustannie; czasami zażądają odeń jakiejś roboty, wtedy zatrzymuje się, aby zarobić kilka szylingów; najczęściej jednak jest bezużyteczny, błędzi po zarosłach, ginąc zapomniany pośród tej niezmiernie pustyni. Całe swoje mienie nosi ze sobą: fajkę, koldrę i mały kociołek.

W czasie strzyży owiec zjawia się tutaj prócz tego tak zwany *shearer* z dwoma końmi; na jednym jedzie, na drugim wiezie swój bagaż. Taki *shearer*, strzygąc owce, zarabia od 30 — 50 franków dziennie. Właściciele owiec, *squaterzy*, płacą po 25 franków za ostrzyżenie setki owiec, a *shearerzy* są tak wprawni, iż mogą ostrzyżdz dziennie 200 owiec. Po sezonie taki *shearer* posiada 500 do 700 franków w kieszeni; możnaby myśleć, iż po pewnym przeciągu czasu uskłada on sobie tyle pieniędzy, iż będzie mógł kupić ziemię i stać się sam właścicielem; tak jednak nigdy prawie nie bywa: po ukończeniu strzyży *shearer* zatrzymuje się ze swemi pieniędzmi w pierwszym lepszym miasteczku i siedzi tam dopóty, dopóki nie przepuści wszystkiego.

Dalej można spotkać wśród tych obszarów białego od kurzu pastora na koniu: udaje on się na odprawienie modlitw do bogatego hodowcy owiec, mieszkającego zbyt daleko od miasta, aby mógł uczęszczać do kościoła. Duchowny ten nosi wąsy i faworyty według mody australskiej t. j. na podobieństwo łapek królika. Widzimy dalej lekarza, który jedzie kilkanaście mil przez lasy i zarośla dla odwiedzenia chorego lub dokonania operacji. Wreszcie można napotkać kobietę konno; jestto żona jakiegoś fermera, która wraca z miasta ze sprawunkami; w lewym ręku trzyma lejce, w prawym parasolkę lub parasol, stosownie do tego, czy słońce świeci, czy deszcz pada. Wogóle cały świat australijski jest na koniu: księża, lekarze, dostawcy, faktorzy, urzędnicy telegraficzni, zapalacze latarni, nawet żebracy!



Góry Błękitne.

Nazwa «gór Błękitnych» jest łatwa do zrozumienia: góry, zdala uważane, wydają się z powodu barwy atmosfery błękitnemi; nawet przy najjaskrawszym oświetleniu słonecznym barwa ta występuje wyraźnie. Wyziewy różnych eukaliptów, które prawie wyłącznie zdobią góry Błękitne, mają się przyczyniać do spotęgowania tej barwy. Zasadniczym charakterem tych gór jest dzikość i bezdrożność. Zbliżka góry te mają barwę czerwoną z powodu składającego ich żelazistego piaskowca, który pod promieniami słońca robi wrażenie ognia, odbijającego się jaskrawo na ciemno zielonym tle opony leśnej. Na najwyższym ich szczycie, Mount Victoria, założono kilka hoteli. Wspinanie się na ten szczyt przy palących promieniach słońca jest nadzwyczaj uciążliwe. Za to wycieczki w głębokie wąwozy przynoszą wiele rozkoszy. W wąwozach tych, o pionowych ścianach skalistych, płyną liczne potoki: ażeby się do tych

wąwozów dostać, trzeba sobie wielokrotnie dopomagać rękami; ale dostawszy się tam, można dopiero podziwiać w całej pełni dzikość australijskiej przyrody; tylko strach przed śmiertelnym ukąszeniem węża odbiera często wędrowcowi spokój w napawaniu się otaczającą go pięknnością.

Między olbrzymimi złomami piaskowca, po których wspinamy się z trudnością, słyszymy nagle jakiś szelest; jest to lisard, na półtora metra długa jaszczurka, bojaźliwa, szybka, wprawdzie nieszkodliwa, ale ściśle zaprzyjaźniona z wężem; dla tego boimy się pozostawać w jej pobliżu.

Szczególniejszą ozdobą tej puszczy są paprocie do 4 metrów wysokie z ożywczą zielenią i bogactwem kształtów.

Góry Błękitne dzielą wybrzeże od powabnych równin Bathurstu. W r. 1846 została zbudowana pierwsza w Australji kolej żelazna od Sydneyu do Paramatta, a następnie znacznie przedłużona. Budowa tej drogi przez góry pełne głębokich wąwozów pochłoneła olbrzymie sumy. Najwyższego punktu droga ta dosięga przy Mount Victoria na wysokości 1366 m. Dosięgnąwszy szczytu Lapotone Hill, kolej zaczyna biedz wzdłuż grzbietu po linii nadzwyczaj krętej («Zickzackbahn»). Tutaj przed oczami podróżnika odkrywa się wspaniała góraska panorama: na prawo i lewo od drogi grzbiet spada nadzwyczaj stromo ku przepaściom, na setki metrów głębokim, napełnionym dziewczymi lasami; ze stromych krawędzi spadają wązkie wodospady ku zielonemu morzu liści, którego ciszę rzadko narusza śmiały myśliwiec. Od najwyższego punktu drogi kolej zaczyna zstępować ku zachodowi przez piękne, dobrze nawodnione, zieleniejące doliny, na rozległe równiny Bathurstu, gdzie rozpoczynają się sawanny, poprzerzynane niezliczonymi wstęgami rzek systemu Murrayu. Budowa tej kolei przedstawiała niesłychane trudności, albowiem jakkolwiek linję tę uznano za jedynie możliwą, jednak inżynierowie, wytykający ją, musieli być spuszczeni do przepaści na linach.



Alpy Australijskie.

Te najwyższe góry Australji ciągną się łukiem otwartym ku północy, oddzielającym wybrzeże południowe naprzeciw Tasmanji, od rozległych równin dorzecza Murrayu.

Charakterystyczną cechą plastyki tych gór są formy zaokrąglone, łagodne. Kształty ostre, dzikie, malownicze, właściwe innym góróm, młodszym, tutaj oddawna już znikły, zniszczone przez długo trwające splukiwanie. Góry te składają się więc z grup wyżynowych, poprzedzielanych niższymi trawiastymi lub lesistymi okolicami pagórkowatemi; tylko w dalszych swych częściach góry te spadają bardziej stromo ku sąsiednim nizinom, są ostrzej zarysowane, szczyty zaś są łagodne: na najwyższe z nich można wjeżdżać konno.

Najwyższy szczyt wznosi się w wyżynowej grupie *Kościszki* (nazwanej tak przez badacza Australji, Strzelec-

kiego) we wschodniej części Alp Australijskich: jest to Mount Townsend na 2240 m. wzniesiony i nie o wiele przewyższający inne szczyty tej grupy jak Clarke, Abbot i Müller.

Szczyt Townsend jest tak szeroki i płaski, że właściwego najwyższego punktu trzeba tu dopiero szukać. Składający go granit jest jaśniejszy niż na szczycie Mullera i daje inne formy zwietrzenia: nie rozpada się w dzikie rumowisko jak tam, lecz jest łupkowato spękany. Grunt jest wszędzie skalisty i tylko tu i owdzie wyrastają na nim nieliczne kwiaty alpejskie.

Jednym z niewielu stromych szczytów jest Mount Bogong, drugi po grupie Kościuszki (do 2000 m.), na południowachód od niej; składa on się z gnejsu, poprzerzynanego żyłami bazaltu. Najpiękniejszy widok roztacza się ze szczytu Müllera; widać stamtąd Alpy od grupy Kościuszki ze źródłowiskami Murrayu aż do wysmukłego, uwieńczonego śniegiem szczytu Bogong; dalej na północ rozpościerają się nieprzejrzone równiny Murrayu. Hale i lasy, pokrywające zbocza gór, nęcą powabną świeżą zielenią; w niknącej dali krajobraz jest brunatny, spalony od słońca.

Granica lasów (eukalipty) sięga w Alpach Australijskich do 1700 m. i urywa się ostro; wyżej występuje grunt skalisty i trawiasty z nielicznymi kwiatami alpejskimi. Ponad właściwą zwartą linię śnieżną, która tu winna przypadać na 2400 m., Alpy Australijskie nie sięgają, ale w zacienionych wąwozach tu i owdzie zachowują się płyty wiecznego śniegu już poniżej wysokości 2000 m. Nadzwyczaj przezroczyste, suche powietrze tych gór sprzyja mocnemu oziębieniu i wskutek tego już na wysokości 1500 m. woda w nocy zamarza nawet w środku lata.

Z grupy Kościuszki, będącej źródłowiskiem Murrayu, wypływają strumienie obfite i tak zimne, że w dalszym biegu czas jakiś nie utracają wody przez parowanie, lecz powiększają jej ilość wskutek tego, że wilgoć powietrza, przez ze-

tknięcie się z zimną powierzchnią wody rzecznej, skrapla się. Po zachodniej stronie grupy wypływa potok Wilkinsona, godzien uwagi dopływ Murrayu, albowiem dolina jego jest najwyższą w Australji. Góry, ograniczające ją amfiteatralnie, są skaliste i zawierają pola śniegowe. Od tych stromych szarych granitowych ścian ciągną się ku dnu doliny rumowiska łagodniej pochylone. Na częściach skał, uchronionych od lawin i potoków deszczowych, widnieją oazy kwiatów alpejskich. Dno doliny jest po większej części trawiaste, ale i tutaj gdzieś występują nagie skały granitowe; jedne zapewne stoczyły się z okolicznych zboczy, inne są wysterczającymi garbami skalistego podkładu doliny. Roślinność między skałami jest bujna; nieliczne hale, pokrywające dno doliny, wspinają się tu i owdzie wstęgami na mniej strome zbocza; po nich spływają przezroczyste strumienie, które dodają krajobrazowi powabu i miłym szmerem ożywiają pustkowie.

W dolinie Wilkinsona widać najwyraźniej ślady dawnego zlodowacenia Alp Australijskich: dolinę tę wypełniał niegdyś lodowiec na 180 m. gruby, jak to ślady wskazują jego tarcia na zboczach skalistych. Na grzbiecie wyżyny Kościuszki na wysokości 1700 m. widać też oszlifowania od lodu. Wiadomo, że w miejscach dawnego zlodowacenia znajdują się zwykle liczne jeziora (np. Skandynawja), w Alpach Australijskich na obszarze dawnego zlodowacenia spotykamy tylko dwa jeziora, z których jezioro Strzeleckiego leży na zboczach szczytu Mullera, pokrytych wielkim rumowiskiem granitowym.



Wycieczka w góry Kościuszki.

Było to w środku lata południowego, na początku stycznia, mówi pewien podróżnik *), gdym się zapuszczał w bory pierwotne, pokrywające północny stok wyżyny Kościuszki, najpotężniejszego massywu górskiego Australji. Miałem ze sobą dwóch towarzyszków; wszyscy byliśmy konno, rzeczy na koniach jucznych.

Drogę od Sydneyu w Nowej Południowej Walji, aż do-
 tą przebyliśmy części koleją, części na kołach, wresz-
 cie na koniu. Droga ta prowadziła przez suche, pyłne, po-
 zbawione cienia równiny i pagórki. O południu słońce nie
 stało dalej od zenitu, jak na 8° , temperatura wznosiła się nie-
 kiedy do 50° C.; deszcz nigdy tu prawie nie pada. Drzewa

*) Lendenfeld.

stoją rzadko rozrzucone, ich liście skórzaste, sierpowate zwieszają się pionowo i kręcą się w ciągu dnia w kierunku przeciwnym wirowaniu ziemi tak, iż ku słońcu zwracają zawsze swą wąską krawędź, a nie szeroką powierzchnię. Tym sposobem, oraz przez zamykanie swych szparek podczas najgorętszej pory dnia, liście chronią się od wyschnięcia pod działaniem promieni słonecznych. Z powodu takiego położenia liści, lasy tutejsze pozbawione są cienia i grunt ich nagi, twardy lub pylny, rozgrzewa się silnie.

Nic więc dziwnego, że po podróży przez te spiekle, nużące obszary, wdychałem z rozkoszą pierwsze wonne i wilgotne powiewy powietrza górskiego.

Rozległe wyżynowe góry Kościuszki są olbrzymim kondensatorem. Z powodu rozrzedzenia powietrza na wysokości, nocne promieniowanie ciepła jest tu o wiele znaczniejsze niż w nizinie. W każdą noc powierzchnia gór znacznie się oziębia i wskutek tego wilgoć powietrza osadza się na nich w postaci śniegu lub deszczu, a szczególnie w postaci rosy; dlatego góry są daleko obfitsze w wodę niż nizina.

W lasach górskich korony drzew ocieniają grunt i powstrzymują szybkie ulatnianie. Subtelny, szkodliwy zarówno dla oczów, jak dla płuc, pustylny pył niziny, znikł tu zupełnie, miejsce jego zastąpił wonny powiew alpejskiego lasu. Powietrze jest wilgotne i chłodne, a para wodna unosi woń kwiatów. Pośród mszystego gruntu sterczą tu i owdzie wielkie zaokrąglone złomy granitu. Zwalone kłody sparły się na skałach, co niby tytany epok minionych śnią pod koronami drzew, szumem swym wywołujących wspomnienie lasów dalekiej europejskiej ojczyzny.

Gdzieniedzie leśną puszcę przerywają bagniste polany, drzewa tu już nie rosną z powodu zbyt silnej wilgoci. Przybywszy wieczorem do jednej z takich polan, rozkubaczyliśmy konie, zapaliliśmy ognisko i zajęliśmy się przyrządzeniem herbaty.

Czyż może być coś piękniejszego, jak życie obozowe wśród puszczy pierwotnej! Wolni od więzów cywilizacji, zacieśnionej pracy zawodowej, ezczych form towarzyskich, czujemy się w tym górskim pierwoborze panami natury. Nie ma tu niebezpiecznych dzikich zwierząt, których wciąż musielibyśmy się strzedz, nie ma wrogich krajowców, których trzeba by się obawiać, a woda i powietrze są wolne od zarazków febrycznych. Woda górską jest orzeźwiająca i przezroczysta, powietrze czyste i aromatyczne, a cała natura zdaje się być tak doskonałą, jak, według Schillera, być powinna tam, gdzie nie ma człowieka. Szum drzew i cicha praca wiecznie twórczej natury kołyszają nas do snu wieczorem i budzą o poranku.

Dnia 10 stycznia wstaliśmy wczesnym rankiem i zwinawszy obóz, wsiedliśmy na konie. Nocy tej było nadzwyczaj zimno i jeszcze rano kałuża wodna w pobliżu namiotu była zamarznęta. Jestto uderzające, gdy sobie uprzytomnimy, że miejsce, o którym mowa, nie leży wyżej tysiąca metrów nad powierzchnią morza i że tej samej nocy na nizinie panowała temperatura $+28^{\circ}$ C. To silne nocne promieniowanie ciepła w Australji wynika z nadzwyczajnej czystości, suchości i rozrzedzenia wyższych warstw powietrza.

Jechaliśmy w kierunku południowym przez błotnistą, bezdrzewną równinę; przed nami podnosił się stromy, porośły lasem stok, który kończył się ostro zarysowanym szczytem Pretty Point. Stok ten to najwyższy taras północnej pochyłości wyżyny Kościuszki.

Góry Kościuszki przedstawiają falistą wyżynę średnio na 1700 m. wzniesioną, którą można uważać jako lokalne rozszerzenie głównego grzbietu Alp Australijskich. Wyżyna ta ma około 30 km. długości, a 10 km. — szerokości. Z grzbietu jej wznoszą się najwyższe góry Australji. Tworzą one grzbiety, biegnące w kierunku południowym. Głów-

ny grzbiet ciągnie się blisko zachodniej krawędzi wyżyny, i posiada w swej południowej części, najwyższe szczyty, formujące południowo zachodnie naroże wyżyny naprzeciw wyżej wspomnianego, północno-wschodniego, Pretty Pointu. Ażeby więc z naszego stanowiska dostać się do najwyższej południowo-zachodniej części wyżyny, musieliśmy przebyć całą wyżynę Kościuszki.

Jakkolwiek stok, wznoszący się przed nami, wydawał się bardzo stromy, udało nam się jednak bez wielkich trudności wprowadzić po nim nasze konie. Znaleźliśmy się tutaj na wysokości 1700 m. w pasie kosodrzewiny eukaliptowej tak gęstej, że w wielu miejscach trzeba było siekierą torować sobie drogę. Wkrótce dostaliśmy się na otwarte hale i dosięgnęliśmy przez nie samego szczytu Pretty Point (1790 m.).

Widok na północ i wschód jest bezgraniczny. Nigdzie nie widać wyższej góry, cały kraj jest falisty; pagórki ciągną się za pagórkami, i najdalsze łańcuchy znikają w oparach, unoszących się nad niziną. Krajobraz o barwie brunatno-żółtej czyni nad wyraz smutne wrażenie, zaostrome kontrastem zieloności najbliższego naszego otoczenia, wśród tego spalonego, pustynnego kraju. Góry Kościuszki tworzą zieloną oazę.

Po odpoczynku puściliśmy się po wyżynie w dalszą drogę na południo-zachód. Teren jest falisty, wszystkie zagłębienia są bagniste i pokryte roślinami wrzosowatemi; wiele wyniosłości wieńczy skały, a i z wielu trawiastych zboczy wysterczają nagie skały ciemnoszarego granitu; każda skała jest tu granitem. Na niektórych dostrzegłem wygładzenia i rysy przeddziejowych lodowców.

Po błotnistej równinie, w której miękkim gruncie konie co chwila zapadały, zbliżyliśmy się od zachodu ku głównemu grzbietowi; grzbiet ten wysyła w kierunku wschodnim pewną ilość grzbietów pobocznych, w części ostrych, waz-

kich, w części szerokich, zaokrąglonych. Jeden z tych grzbietów, pokrytych bujną trawą, wybraliśmy za drogę.

Był ranek. Wznoszące się słońce ogrzewało nas i rozpraszało wysokie obłoki pierzaste, które poprzedniego wieczora przerażały nas zapowiedzią niepogody. Widnokrąg coraz bardziej się rozszerzał. Pokryty śniegiem szczyt Mount Perisher wynurza się ponad poziom, i nagle, gdyśmy wjechali na mały pagórek, ujrzeliśmy grzbiet główny. Po jednej i drugiej stronie naszej drogi grunt spada ku dolinom pobocznym. Z doliny północnej błyszczy ku nam tafła błękitnego jeziora, otoczona ciemnymi skałami. Nieco po stronie prawej i poza grzbietem, przed nami leżącym, wznosi się ostry, stożkowy szczyt, uwieńczony piramidą z kamieni. To musi być Mount Kosciusko, najwyższy punkt Australji, na którym, jak widziałem, inżynierja miejscowa wzniosła sygnał.

Pierwszym badaczem, który zwiedził Alpy Australijskie, był Polak Strzelecki. W roku 1840, w czasie podróży z Sydneyu do okolicy Melbournu, odkrył on te góry i wstąpił na jeden z ich szczytów, który od swego, zarówno sławnego, jak nieszczęśliwego ziomka, nazwał górą Kościuszki. Dziś nie można stwierdzić napewno, który to był szczyt, albowiem Strzelecki nie postawił na nim żadnego sygnału; sądzę, że był to szczyt, który nazwałem Mount Clarke. Strzelecki oznaczył wysokość swej góry zapomocą temperatury wrzącej wody, na 6500 stóp angielskich, i zauważył, że góra jest skalistą; z tego względu góra ta nie może być najwyższym szczytem całej grupy, gdyż ten, jak niżej zobaczymy, jest zaokrąglony, kopułowaty.

W 1854 r. zwiedził te góry botanik Muller z Melbournu; dostał on się na szczyt, na którym później inżynierja wzniosła wyżej wspomniany sygnał, który na mapach oznaczany jest, jako «Mount Kosciusko». Jeden z przewodników Mullera mówił mi, że okoliczni mieszkańcy nazywają

ten szczyt Müllers Peak, zaś «Mount Kosciuszko» jest nazwą zbiorową dla oznaczenia całej grupy gór.

Jechałem ku głównemu grzbietowi gór; stok jest skalisty i w niższych częściach pokryty grubym rumowiskiem. Jednak bez wielkich trudności zdołałem wprowadzić konia po stoku aż do pasa śnieżnego; ten jednak był tak wysoki i stromy, że musiałem go obejść.

Dostawszy się na grzbiet, przekonałem się, że ku północy skręca się na zachód i tworzy zagłębienie, a za nim dopiero wznosi się w szczycie Müllers Peak. Przedemną rozciągała się szeroka dolina góraska, otoczona dokoła skalistymi szczytami, dalej, głęboko werznięta dolina rzeki Murray i wreszcie niezmierzone obszary pagórkowate, poprzerynane siecią lesistych dolin.

Zjechawszy z głównego grzbietu na lewo, znalazłem się u stóp szczytu Müllers Peak. Wznosi on się w kształcie stożkowym o zboczach jednostajnie opadających na wszystkie strony na 25 — 30°. Żadna roślinność nie zdobi tych zboczy, wielkie, popękane skały granitu piętrzą się tu na sobie. Tu i owdzie wśród tego rumowiska, sterczą niby olbrzymie wyspy skaliste; kilka pól śnieżnych zdobi te ciemno-szare zbocza, które przegładają się w jasnych falach małego jeziora, rozlewającego się po wschodniej stronie góry.

Przywiązawszy konia do skały, wdrapałem się na szczyt. Składa on się z kanciastych złomów granitu znacznej wielkości; między nimi niema nigdzie drobnych produktów zwietrzenia: widocznie rozsadzające działanie wody, zamarzającej w szczelinach, ma tu wielką przewagę nad wietrzeniem chemicznem, które w niższych częściach gór, gdzie działanie mrozu jest rzadsze, a obfitość kwasu węglanego w wodzie większa, jest energiczniejsze i warunkuje zaokrąglone formy zwietrzenia.

Ze szczytu Mullera, z wysokości 2215 m. widok jest rozległy, ale monotony. Na zachód rozściela się głęboko ob-

szar źródłowy górnego Murrayu aż do wysmukłego, uwieńczonego śniegami, szczytu Bogong, najwyższej góry w Kolonji Victoria. Dalej ku północy ciągną się nieprzejrzone równiny Murrayu. Pobliskie szczyty grupy Kościuszki imponują swą wysokością; Abbott Peak na zachodzie i Mount Clarke na wschodzie są skaliste i posiadają formy dzikie; wszystkie inne są zaokrąglone. Hale w najbliższym naszym sąsiedztwie i lasy, pokrywające stoki wyżyny, pociągają świeżą zielenią — wdali wszystko jest brunatne, spalone, pustynne.

Ku południowi swobodę widoku zatamowują wysoki, zaokrąglony szczyt. Szczyt ten wydaje się wyższym od mego stanowiska, musi to być jednak złudzenie, albowiem szczyt, na którym stoję, ma tu być punktem najwyższym. Zwróciłem instrument niwelacyjny na ów szczyt południowy i ku memu zdumieniu przekonałem się, iż przewyższa on znacznie moje stanowisko! A więc Müllers Peak, albo Mount Kosciusko nie jest najwyższym punktem Australji, jak dotąd przypuszczano, lecz zapewne ten, bardziej południowy szczyt. Trzeba się więc nań dostać i to dziś jeszcze, gdyż pogoda może wreszcie się zmienić.

Szybko spakowaliśmy nasze rzeczy i zaczęliśmy zstępować ku wspomnianemu wyżej jezioru u wschodniego podnóża góry Mullera, które nazwałem jeziorem Strzeleckiego. Następnie zwróciliśmy się na południe przez dolinę Wilkinsona, zroszoną przez mały dopływ Murrayu, wypływający na południe od jeziora Strzeleckiego. Góry otaczające tę dolinę amfiteatralnie, są skaliste, na ich zboczach przyklepione strzepy śniegu nie znikają nawet w lecie: na zachodzie stoi skalisty Abbott Peak, na wschodzie ciągnie się długi skalisty grzebień Mount Clarke, podczas gdy na północy, piramidalny Müllers Peak zamyka dolinę. Na południu wznosi się zaokrąglona kopuła szczytu Mount Townsend, nasz cel.

Od szarych, spękanych ścian granitu pochyłają się łagodne zbocza rumowisk ku dnu doliny, oazy wspaniałych kwiatów alpejskich w miejscach ochronionych od lawin i potoków, przerywają szare tło skalne. Samo dno doliny jest przeważnie pokryte trawą, wśród której jednak, tu i owdzie, wysterczają potężne skały granitu. Naodwrot, trawiasty obszar doliny wysyła zielone odnogi, niby wstęgi w górę, na ściany skalne, niekiedy aż do grzbietu. Przezrocze alpejskie strumienie płyną po pochyłościach i miłym szmerem ożywiają malowniczy obraz.

Wstęp na górę Townsend jest łatwy; szczyt jest płaski i szeroki, tak, iż najwyższego punktu trzeba było szukać; zwróciłem przyrząd niwelacyjny ku szczytowi Mullera oraz innym szczytom okolicznym, i znalazłem, iż żaden z nich nie dorównywał naszej górze. Przy pomocy aneroidu oznaczyłem różnicę wysokości między naszym szczytem i szczytem Mullera na 26 m. tak, iż Mount Townsend ma 2241 m. wysokości i jest najwyższym szczytem Australji.

Wody Australji.

Z powodu suchości klimatu Australja jest nadzwyczaj uboga w wody płynące; rzeki składają się zwykle z szeregu kałuż, które tylko w czasie ulewnych deszczów łączą się w jednolitą wstęgę wodną, a nawet wylewają szeroko. Jednakże te wezbrania trwają bardzo krótko, woda szybko ulatnia się i pozostawia słone błoto, które po wyschnięciu pokrywa się twardą skorupą soli. Tym sposobem łożyska rzek przedstawiają po największej części suche wąwozy, porośłe trawą, krzakami, a nawet drzewami; zdaleka, z pewnej wyniosłości, wyglądają one jak ciemno zielone linje, ciągnące się to wśród wypalonych stepów, to wśród nieprzejrzanых powodzi.

Trudno opisać, jak wielkie wrażenie sprawia na podróżniku nagłe pojawienie się wody w łożysku poprzednio suchem: na długo przedtem słychać już głuchy oddalony szum fali, która pędząc, łamie drzewa i krzaki rosnące w łożysku; szum ten staje się coraz wyraźniejszym i nareszcie błyska wstęga wody, wijąca się krzywiznami wąwozu, jakby szukając drogi; za chwilę u stóp podróżnika pieni się wielka katarakta, która wkrótce wypełni aż po brzegi krętą dolinę i zagrozi rozległą powodzią.

Cała prowincja Australja Południowa z obszarem tak wielkim jak Francja, nie posiada ani jednej rzeki, któraby mogła przez cały rok poruszać koła młyńskie. Nic też dziwnego, że w opisach podróży po Australji czytamy nieraz wyrażenie niezwykle dla nas, iż podróżni «napotkali rzekę, w której była woda»; woda w Australji nie jest więc koniecznym warunkiem rzeki. Taka właściwość rzek australijskich była nieraz przyczyną złudzeń podróżników: jeden z nich napotyka wspaniałą rzekę i bujną roślinność nad jej brzegami, a wyobraźnię jego napełniają najświetniejsze nadzieje: widzi on już kwitnące wsie i miasta nad tą odkrytą przez siebie rzeką. Tymczasem drugi podróżnik w tym samym miejscu napotyka wyschłe łożysko ze śladami tylko roślinności, dookoła zaś — pustynię bez końca. A gdy zapytuje czarnych krajowców, gdzie się woda podziała, otrzymuje odpowiedź: «słońce wypilo».

Naturalnie, iż rzeki tego rodzaju nie są zdadne do żeglugi, nawet największa rzeka, Murray, przedstawia pod tym względem wiele trudności. Drogi lądowe są więc w Australji jedynymi drogami komunikacji, a koleje żelazne osiągną tu prawdopodobnie kiedyś znaczenie daleko większe, niż gdziekolwiekby na ziemi.

Jeziora australijskie zgromadziły się głównie w południowej części lądu, w płytkich zagłębieniach, zasilanych nieregularnie przez drobne dopływy. Nie można sobie wyobra-

zić nie bardziej ponurego, jak widok tych jezior: zewsząd otaczają je wydmy piaszczyste (diuny) jak na morskim wybrzeżu; nigdzie nie ukazuje się skała lub nawet kamień. W czasie suszy wyschłe jezioro jest pokryte skorupą soli, która błyszczy w promieniach słońca oślepiającym blaskiem. Skorupa ta pęka pod kopytami koni, które zapadają w błoto coraz rzadsze i głębsze, w miarę zbliżania się ku środkowi jeziora. W samym środku pozostaje często znaczny obszar wody otwartej. Cała okolica, składająca się z większych lub mniejszych jezior, kałuż i łożysk, jest pokryta taką skorupą solną, która aż do złudzenia przypomina powierzchnię lodu, przypruszoną śniegiem; podróżny, przybywszy tutaj w półświatle wieczoru, zdaje się być przeniesiony w krainy podbiegunowe.

Rzeka Murray.

Rzeki złączające ku wnętrzu Australji, spływają głównie ze wschodniej łukowatej górskiej krawędzi (Australijskich Alp i gór Błękitnych) promienisto ku wnętrzu i stąd pierwsi podróżnicy, którzy dążąc do wybrzeża, przekroczyli góry, wyobrażali sobie, iż rzeki te zlewają się do wielkiego jeziora wewnętrznego; tymczasem wszystkie rzeki, spływające ze wschodniego łuku między 26^o i 36^o szer. pd., należą do systematu rzeki Murray, która wpada nie do wewnętrznego, lecz do nadbrzeżnego jeziora, łączącego się z oceanem za pomocą płytkiego naturalnego kanału. Tak więc największa rzeka Australji przedstawia typ przejściowy między rzeką wewnętrzną i zewnętrzną.

Systemat Murrayu okrywa siecią wodną wielki trójkąt («*Australijska Mezopotamja*»), wpisany w południowo-wschodnią łukowatą krawędź wyżyny, od najdalej na północ leżącego źródła La Condamine (rzeka źródłowa Darlingu) w północnym Queenslandzie, do gór Kościuszki i ujścia Murrayu t. j. jak od Turynu do Królewca i Belgradu. Ob-

szarem dorzecza Murray przenosi Dunaj, a dorównywa Gangesowi, ale ilość wody, którą wlewa do morza, nie dorównywa nawet Sekwanie. Nazwa systematu nie pochodzi od rzeki najdłuższej, którą jest Darling (długość Darlingu-Murrayu = 2500 klm., długość zaś samego Murrayu = tylko 1880 klm.), lecz od tej, która biorąc początek z gór Kościuszki i płynąc wzdłuż północnego stoku Alp Australijskich, otrzymuje z nich wody obfitsze. Prawe dopły-



wy: Murrumbidge z Lachlanem, a szczególnie Darling (będący w takim stosunku do Murrayu, jak Missouri do Missisipi) są dłuższe, ale ubogie w wodę; w czasie suszy żegluga ustaje na nich przez kilka miesięcy, a nawet nie dosięgają one wtedy Murrayu, który sam jeden posiada przez cały rok wodę i jest w stanie dosięgnąć oceanu.

Murray po wypłynięciu z gór Kościuszki przepływa najprzód malowniczą krainę leśną, następnie pokryte winnicami wzgórza Albury, poczem wstępuje na niezmierzone rów-

niny, przerzniete we wszystkich kierunkach jej licznemi dopływami. Sama rzeka Murray wysyła na prawo liczne odnogi, które, wraz z prawie równoległe płynąciami dopływami, tworzą połączenia między rzeką główną i Murrumbidge, tak, iż część wód Murrayu znajduje się w obiegu prawie kołowym. Labirynt rzek i kanałów przerzyna tutaj równinę, nadając jej znamienne nazwę *Riverina*.

Dopiero po przyjęciu Murrumbidge, Murray ogranicza się do własnego jednolitego łożyska. Ten pierwszy większy dopływ płynie prawie w tym samym kierunku co i rzeka główna i otrzymuje z prawej długą ale płytką rzekę Lachlan, która czasem występuje ze swych brzegów i sprawia niszczące powodzie, czasem znów rozpada się na szereg kałuż. Od połączenia z Murrumbidge, Murray staje się szerszym i głębszym; tu i owdzie przypierają do rzeki równiny, pokryte drzewami i krzakami, wśród których ciągną się od rzeki kanały, napełniające płytkie jeziora, ożywione stadami wodnego ptactwa; to znów strome wapienne skały ścieśniają łożysko rzeki, która pieniać się płynie po rumowiskach. W pobliżu ujścia, brzegi zniżają się, obejmując płytkie połączone ze sobą jeziora Albert i Aleksandrynę, przez które to ostatnie Murray przepływa, zanim przy pomocy płytkiego kanału dosięgnie ujścia. Tutaj słaby prąd rzeki spotyka się z potężnemi falami oceanu, wzbudzającemi bez przeszkody otwartą zatokę, tak, iż wpłynięcie w ujście rzeki jest połączone z niebezpieczeństwem. Dla tego, ostatecznym celem podróży dla statków, płynących w dół rzeki, jest wciąż jeszcze miasto Goolwa, leżące o 10 klm. powyżej ujścia, w punkcie, dokąd przypląwy oceanu sięgają jeszcze.

Okolice, przez które przepływa Murray, tracą coraz bardziej na wdzięku i żyzności, w miarę jak rzeka zbliża się do swego ujścia: po malowniczych lesistych krajobrazach górskich i pagórkowatych, następują faliste prerje, później wspomniane wyżej bagniste zarośla, a dalej obszary skru-

bu i spinifeksu, rzadko tylko przerywane otwartemi równinami. Kraj jest po większej części piaszczysty i nieurodzajny; poniżej Echuca ustaje wszelkie rolnictwo, a małe osady nadrzeczne zależą jedynie od okolicznych stacji pasterskich, t. j. stanowią punkty składowe dla produktów i potrzeb pasterzy. Dopiero nad jeziorami ujściowemi zaczyna się znowu niejaka kultura.

Jako linja żeglowna, Murray przedstawia wiele wad, szczególnie mielizny i zatopione pnie drzewne; dla usunięcia tych ostatnich zbudowano osobny statek, opatrzony jakby w olbrzymie nożyce; ale pracę tę około oczyszczania rzeki trzeba ciągle powtarzać. Mimo to systemat Murrayu ma dla Australji ważne znaczenie: wełna z obszernej pastwisk jej dorzecza idzie przeważnie w dół Murrayu, albo do portów Australji Południowej, albo też dochodzi tylko do Echuca, głównego portu rzecznoego (gdzie rzeka zbliża się do zatoki Port Philip) i stąd koleją żelazną do Melbourne. Ponieważ od ujściowego łuku Murrayu prowadzi też kolej do portu Adelaida, więc dwa te miasta walczą o ściągnięcie ku sobie ruchu handlowego tej rzeki. Z powodu, iż żegluga na Murrayu, a szczególnie na jej dopływach zależy od chwilowego stanu wody, który jest bardzo zmienny, więc stan ten jest pilnie obserwowany, a telegraf, ciągnący się wszędzie wzdłuż rzek, uwiadamia żeglarzy i kupców o przyborze wody, ażeby natychmiast mogli skorzystać ze sposobności, która może nieprędko znowu się nastąpić. Żegluga na Murrayu stanie się jeszcze bardziej ożywioną, gdy płytkie jej ujście zostanie tak pogłębione, że wielkie morskie okręty będą mogły wpływać na rzekę.

Klimat Australji.

Charakterystyczną cechą klimatu Australji (wyjąwszy część północną) jest susza, nadzwyczajna czystość powie-

trza i wielkie natężenie światła słonecznego; natomiast brak wilgoci i szkodliwych wyziewów, sprowadzających choroby; rozkład materji zwierzęcych i roślinnych jest bardzo nieznaczny, metale, leżące po całych tygodniach na powietrzu, nie pokrywają się rdzą.

Właściwość klimatu Australji okazuje się także w tym, że bielizna bardzo szybko wysycha i bieleje, kości również w krótkim czasie stają się białe jak śnieg. Pewien podróżny twierdzi, że szkielety koni i wołów w lecie w ciągu 10 — 14 dni tak zbiały, iż możnaby je było umieścić zaraz w jakimś muzeum. Ten białący wpływ australijskiego słońca ma jednak i swoją złą stronę: oddziaływa bowiem na barwę włosów nawet młodych ludzi. Włosy nie tylko siwieją, lecz stają się białe jak mleko; często daje się tutaj napotykać ludzi w wieku między 25 i 30 rokiem, których włos stał się tak białym jak włos patryjarchów. Najprędzej siwieją naturalnie ci, którzy przebywają długo na powietrzu pod promieniami słońca.

Mimo to jednak, właśnie ludzie, prowadzący ruchliwy sposób życia na świeżym powietrzu, dosięgają w Australji późnej starości, podczas gdy życie siedzeniowe jest tam szczególnie szkodliwe: człowiek, prowadzący takie życie, musi się bardzo wystrzegać, szczególnie co do spożywanych pokarmów. Między dobrym i złym zdrowiem niema prawie w Australji stopni pośrednich; choroby chroniczne są bardzo rzadkie; chory przychodzi do zdrowia szybko lub umiera, a prawo to rządzi we wszystkich objawach życia tak zwierzęcego jak i roślinnego.

Zdrowy klimat i obfitość środków pożywienia pozwalają ludziom i zwierzętom znosić w Australji bardziej natężoną pracę, niż gdzieindziej. Wprawdzie gorąco bywa nieraz bardzo znaczne, ale wobec suchości, nie wywołuje ono wielkiego potu i człowiek rzadko doznaje tam tej ociążałości, jaka opanowywa nas zwykle w Europie podczas dni upalnych.

Podróżowałem, mówi pewien lekarz, bez ustanku przez cały tydzień, robiąc dziennie 50 do 70 km., a jednakże każdego rana, pokrzepiony snem, czułem się zupełnie świeżym. Gdyśmy nie mogli znaleźć schronienia pod dachem, każdy chwycił siekiere, odłupywał z drzewa kawał kory, kładł ją jako materac na ziemię, brał tornister pod głowę, zwracał nogi ku ognisku, nakrywał się kołdrą i zasypiał tak smacznie, jak na puchu edredonowym.

Do przykrych stron klimatu należą palące wiatry, które wieją w lecie z silnie rozgrzanego pustynnego wnętrza Australji na wybrzeżu wschodnim, a szczególnie południowym: w Sydneyu, Melbournie, Adelaidzie a nawet w Tasmanji. Te wiatry trwają wprawdzie niedługo, ale dość jednego dnia a nawet kilku godzin, aby zniszczyć wszelkie nadzieje kolonisty; są to najstraszniejsi wrogowie tak rolnika jak i pasterza: wiatry te literalnie pieką owoce na drzewach, wypijają cenne zapasy wody, jakie squatterzy zebrali mozolnie w cysternach (sztucznych wodobiorach) i odejmują wielkim stadom podstawę życia; nawet bezpośrednio zwierzęta padają ofiarą suszy i gorąca: świetnie upierzone ptaki lasów australijskich spadają całemi stadami z pod zielonego pokrycia liści, wśród którego daremnie szukały chłodu.

W czasie takich wichrów, niebo, zwykle pogodne, pokrywa się czerwonymi obłokami subtelnego pyłu, który wiatr unosi daleko nawet nad morze; ta zasłona zaciemnia nawet jasne australijskie słońce, które wygląda wtedy jak matowa kula czerwona. Subtelny pył przenika nawet do zamkniętych szczelnie mieszkań i gdy nakoniec upragniony, orzeźwiający wiatr południowy (*southerly burster*) wypędzi złego demona, i gdy drzwi i okna mieszkań stają otworem, by wpuścić chłodne powietrze do rozpalonych jak piece pokoi, wówczas oko dostrzega na wszystkich przedmiotach grubą warstwę czerwonego pyłu; stąd mieszkańcy

tamtejsi zowią ten wiatr ceglarzem (*bricklayer*). Wiatr ten sprowadza też choroby oczu (szkodliwszy jednak wpływ w tym względzie wywołuje ukąszenie jadowitej muchy).

Jakkolwiek klimat Australji jest wogóle suchy, to jednak, wyjąwszy wnętrze, oraz wybrzeża zachodnie i południowo zachodnie, ilość deszczu, spadającego w ciągu roku, jest tam dość znaczna: suchość wynika nie tyle z małej ilości deszczu, ile z jego nierównego rozkładu w ciągu roku; nieraz w ciągu kilku dni spada cała prawie roczna ilość deszczu, gdy w pozostałych miesiącach ani jedna kropla wody nie spadnie z pogodnego nieba; to też powiadają, iż w Australji «deszcz nigdy nie pada, lecz tylko leje». Dla tego to z jednej strony zupełne wysychanie, z drugiej gwałtowne wzbieranie rzek: gdzie dziś podróżny umiera z pragnienia, tam nazajutrz grozi mu niebezpieczeństwo utonięcia. Pewna wyprawa zawdzięczała swoje ocalenie tylko wysokości wielbłądów, gdyż naraz została zaskoczona wylewem, który rozciągał się jak oko zasięгло, przerywanym tylko tu i owdzie sterczącymi drzewami.

Gdy nastąpi posucha, wtedy owce padają milionami, torbacze zdychają w jaskiniach, gdzie szukały cienia; ciała ptaków napełniają wyschnięte studnie, a nieraz całe ich stada przybywają z suchego wnętrza do miast nadbrzeżnych, by tu skończyć swój żywot. W Australji «brzydką pogodą» zowie się nie dżdżysta, lecz posuszna.

Naturalnie, że w różnych szerokościach geograficznych klimat Australji przedstawia pewne różnice: część, leżąca na północ od zwrotnika Koziorożca, ma upały zwrotnikowe, deszcze perjodyczne i także wiatry (mussony zmieniające się co pół roku). Różnice temperatury w różnych porach roku są nieznaczne. W części na południe od zwrotnika, deszcze są mniej obfite, a różnice temperatury w różnych porach roku znaczniejsze, nie w tym jednak stopniu, co u nas.



Las paproci drzewiastych.

Świat roślinny.

Z powodu suchego klimatu roślinność Australji jest uboga, a z powodu odosobnienia, flora miejscowa posiada niewiele gatunków; szczególnie brak tu roślin, dostarczających pożywienia, jak drzewa owocowe i rośliny zbożowe; za to drzewa wydzielają gumę jadalną. Z powodu suchości klimatu i silnego działania promieni słonecznych liście są skórzaste (dla ochrony soków roślinnych od ulatniania) i zwrócone pionowo, nie poziomo jak u nas (dla ochrony od silnego działania promieni słońca), lub też są nitkowate. Liście nigdy nie opadają; zamiast nich opada kora. Wielki rozwój korzeni oraz innych szczególnych organów do przechowy-



Pień olbrzymiego Eukalipta.

wania wilgoci należy też do właściwości roślin australijskich, których budowa jest zastosowana do suchego klimatu, gdyż te rośliny, które nie były dobrze zastosowane, wyginęły.

Formami panującymi są eukalipty i akacje; te ostatnie występują po większej części w postaci karłowatej, jako kolczaste zarośla tak zwane «scruby»; eukalipty też mieszają się do tych zarośli, ale prócz tego występują również w postaci drzew olbrzymich, przewyższających nawet słynną kalifornijską welingtonję (drzewo mamutowe), na pniu któ-

rej Amerykanie urządzają bale; pewien gatunek eukaliptu dochodzi 500 stóp wysokości i przeszło 80 stóp obwodu. Drzewo to więc przewyższa takie słynne z wysokości budowle, jak wieża Sztrasburska a nawet piramida Cheopsa; wieża Kolońska zaś niewiele tylko by sterczała swym szczytem ponad jego liściastą koroną. Po gładkich i prostych, jak kolumny, pniach tych drzew, oko biegnie na dwieście, a nawet 300 stóp wysoko, zanim zoczy pierwszą gałąź korony; zawrót głowy opanowują człowieka na widok takiej wysokości. A jednakże i w ziemi, na 100 stóp głęboko, dadzą się w kopalniach odnaleźć delikatne korzonki eukaliptów, ciągnące stamtąd ożywczą wilgoć, która ma utrzymać w świeżości zieleń korony, sterczącej o 400 stóp wyżej pod palącymi promieniami słońca.

Z innych drzew charakterystyczne są casuariny czyli rzewnie, podobne do olbrzymich skrzypów, czyniące smętne wrażenie; dalej drzewo flaszkowe «australijski baobab» z pniem nabrzmiętym w kształcie flaszki albo też bani; wreszcie drzewo trawiaste, podobne do pęka trawy, przebitego tyczką.

Właściwe wogóle krajom zwrotnikowym palmy i paprocie drzewiaste rosną w Australji nietylko na zwrotnikowej północy, ale wzdłuż wschodniego wybrzeża sięgają daleko na południe (paprocie aż do Tasmanji).

Zwykłe owoce, jakie Europejczycy wydawałyby się dobrymi do jedzenia, nie istnieją tu prawie; nieliczne owoce tutejsze posiadają tak mało materji pożywnych, że podróżnicy, którzy zmuszeni byli przez pewien czas żywić się niemi wyłącznie, umierali śmiercią głodową.

Świat roślinny, właściwy Australji, nie posiada krajobrazowego wdzięku, robi dziwnie smętne wrażenie; przy tym ciszy lasów nie przerywa tu jak u nas, śpiew ptaków; tylko odrywająca się i zwieszająca strzępami kora drzew, kołysana wichrem, wydaje dziwny chrzęst, do zgrzytu podobny. Podróżnik lub kolonista, przybywający tu z krain

zimniejszych, nie napotyka świeżej zieleni swych ojezycznych lasów liściastych, ani, w zamian za to, wspaniałych, bujnych, jaśniejących wszystkimi barwami, dziewiczych lasów zwrotnikowych. Barwy krajobrazu są tu blade, wpadające w szare lub niebieskawe, pozbawione blasku, albo



Krajobraz scrubu.

wiem liście pokryte są twardą skórą, przez którą nie przebija jak u nas zielen soków roślinnych.

Lasy australijskie są rzadkie, zwykle bez podszycia, noszą parkowy charakter, można po nich galopować konno; z powodu rzadkości drzew i pionowego położenia liści, lasy te pozbawione są ożywczego cienia. Tylko na zwrotnikowej północy i w niektórych okolicach wschodniego wybrzeża (szczególniej w Tasmanji), gdzie klimat wilgotniejszy i grunt z rozkładu skał wulkanicznych, żyzniejszy, lasy przybierają bujny zwrotnikowy charakter (palmy, paprocie drzewiaste, ljany).

Różny od leśnego, ale jeszcze mniej powabny a najbardziej dla Australji charakterystyczny, jest *krajobraz scrubów*, owych ciernistych zarośli, pokrywających wielkie

przestrzenie wnętrza łądu. Scrub tworzy rozmaite odmiany karłowatych eukaliptów i akacji: raz zbliża się on do charakteru niskich lasów, to znów składa się z nadzwyczaj gęsto rosnących krzaków, niedorównywających nawet wzrostowi człowieka.

We wszystkich relacjach podróżników po Australji spotykamy się z trzema głównie nazwami, jestto mianowicie: *malley*- *mulga*- i *brigalowskrub*. Pojawienie się tych zarośli na drodze podróżnika było nieraz fatalne dla całej wyprawy, albowiem te kolące, cierniste krzaki przedstawiają dla konnego oddziału, z ciężko obładowanemi końmi jucznemi, nieprzebytą zaporę. Niemiecki podróżnik Leichardt w czasie swej podróży od wybrzeża wschodniego do północnego, był przez całe tygodnie, a nawet miesiące, powstrzymywany przez te zarośla i musiał obierać za drogę linje rzeczne, które go nieraz odwodziły daleko od głównego kierunku podróży. Mac-Donald Stuart, w czasie swej podróży wpoprzek łądu z południa na północ, musiał po wielekroć cofać się przed tą nieprzebytą ścianą kolczastą, gdy pozostawiwszy swych towarzyszków w obozie, usiłował obejść zaporę ku północo-wschodowi lub północo-zachodowi.

Z trzech powyższych gatunków scrubu, *malley-skrub* jest jeszcze najznośniejszy: składa się on z pewnej odmiany eukaliptu, która rośnie zawsze krzaczasto; niekiedy jest niska i dosięga zaledwie wzrostu człowieka; czasami zaś swe mi 10 — 12 cienkimi odnogami, o gładkiej, czerwonej korze bez rozgałęzień, wyrasta do 5 metrów wysoko i tam dopiero tworzy gęstą koronę z wązkich lśniących liści. Ścieżka wyrabana w takim scrubie wygląda jak głęboka fosa ze stromemi zboczami. Taki scrub pokrywa znaczne przestrzenie w Australji Południowej nad Murrayem, skąd wysyła odnogi na wschód do sąsiedniej kolonji Wiktorji. Podróżnik, wydostawszy się na wynioślejszy punkt, ujrzy tu dookoła nadzwyczaj ponury krajobraz: jak oko zasięgnie—rozciąga

się dokoła monotonne ciemne morze liści, rzadko bardzo przerwane wynioslejszym drzewem, lub przegładającym płatem czerwonego piasku; śmiertelna cisza zalega nad taką okolicą, gdzie co najwyżej zabłąka się jaka niewybredna jaszczurka. Tylko gdzie taki scrub przytyka do brzegów rzeki lub jeziora, tam tętni więcej życia: gnieźdzą się ptaki, ukrywają drobniejsze torbacze, czatuje na zdobycz pies australijski (dingo).

Jeżeli już malleyscrub jest uciążliwy do przebycia, jakkolwiek gałęzie jego są gładkie, elastyczne i łatwo dają się odginać, to mulgascrub stanowi prawdziwy postrach podróżników; w skład jego wchodzi pewna odmiana akacji, odznaczająca się pnem twardym, chropawym, nieprawidłowo rozgałęzionym, z trującymi kolecami; na szczęście mulgascrub, napotykaný tylko we wnętrzu, nie jest tak trwały, jak malley, którego ani największa posucha, ani nawet ogień zniszczyć nie są w stanie.

Brigalowscrub występuje na północy (stąd w jego urozmaicony skład wchodzi już formy indyjskie); do formacji jego należą między innymi osobliwe, faszkwato wydęte bombacee, które w razie przewagi nadają zarosłom miano bottletrescrubu.

Równiny trawiaste różnią się także od naszych łąk: nie ma tu nieprzerwanego zielonego kobierca, trawy rosną kupkami (stąd pod pastwiska trzeba wielkich obszarów), wiele jest solnych, ulubionych przez owce. Równiny trawiaste występują głównie we wschodniej części lądu na systemacie Darlingu i Murrayu; pośród tych równin zwartsza roślinność drzewna znajduje się tylko w dolinach rzek, które wskutek tego przedstawiają się jako ciemne smugi na jaśniejszym tle trawiastym.

Rośliny właściwe Australji znikają coraz bardziej, wypierane przez uprawę roślin pożytecznych (zboża, drzewa owocowe), sprowadzonych z Europy, a nawet—przez europej-

skie chwasty; miejscowe formy roślinne ustępują miejsca obcym przybyszom i w końcu wydają się obcemi we własnej swojej ojczyźnie.

Świat zwierzęcy.

Świat zwierzęcy Australji jest jeszcze bardziej charakterystyczny, bardziej odrębny (wyjąwszy ptaki), niż roślinny, albowiem nasiona mogą być łatwiej przenoszone z lądu na ląd (przez prądy, wiatry, ptaki i t. p.) niż zwierzęta. Ta odrębność dowodzi nam, że Australja oderwała się od lądu Azji już bardzo dawno, mianowicie w tej epoce geologicznej, gdy rozwój świata zwierzęcego na ziemi doszedł dopiero do torbaczy i gryzoniów, gdy nie było jeszcze zwierząt kopytnych. W chwili oderwania, Australja posiadała zwierzęta wspólne z Azją; ale od tej chwili warunki walki o byt, a stąd i warunki doskonalenia się, warunki rozwoju, stały się różne dla obu części świata: na wielkim lądzie Azji walka o byt odbywała się na wielką skalę, bardziej energicznie; istoty słabsze, mniej doskonałe, ginęły szybko, ich miejsce zastąpiły istoty silniejsze, doskonalsze. Na małej wyspowej Australji walka odbywała się ospale, mogły więc tutaj utrzymać się istoty słabsze, które gdzieindziej dawno już wymarły i tylko ich kości spoczywają tam, głęboko pogrzebane pod warstwami epok późniejszych.

Fauna więc Australji składa się z form «wyszłych z mody», z «żyjących skamieniałości», przedstawia nam żyjący obraz dawno już ubiegłej epoki geologicznej; dla tego to fauna ta wydaje nam się tak obcą, tak dziwaczną. Nie było tu, właściwych staremu światu, wielkich zwierząt ssących: wołu, konia, wielbłąda, słonia, nosorożca, wielkich drapieźców i t. d.; tylko ptaki, a także nietoperze, myszy, szczury oraz pies australijski *dingo*, przypominają znany



Kangury.

nam świat zwierzęcy. Wyjątkowość ta wyjaśnia się łatwo przez zawędrowanie: ptaki i nietoperze mogą łatwo przelatywać przez morze; myszy mogły przedostać się z Azji na pływających kłodach drzew: rzeki, płynące wśród lasów zwrotnikowych, unoszą wielkie kłody drzew do morza, tutaj pochwytyują je prądy, unoszą dalej i wyrzucają na wybrzeża nieraz bardzo odległe; w wydrążeniach i szparach tych drzew mogą chronić się drobne zwierzęta. Co do dinga, to ten, niewiele różniący się od dzikich i pół-dzikich psów indyjskich, musiał być prawdopodobnie sprowadzony tu przez pierwotnych mieszkańców, bo inaczej trudno by było objaśnić, dlaczego inne wielkie zwierzęta Azji nie dostały się tutaj wraz z niemi. Fakt znalezienia kości dinga w dawnych osadach czwartorzędowych nie jest pewny.

Formami panującymi wśród ssących są różne gatunki torbaczy (workowate). Największe i najgodniejsze uwagi

są torbacze skaczące, z których *wielki kangur czerwony* dosięga wzrostu człowieka i przeszło 200 funtów wagi. Dalej australijski *opossum*, przedstawiający wiele gatunków, wśród których zasługuje na uwagę tak zwana *wiewiórka latająca*, posiadająca między łapkami rozciągniętą skórę, niby spadochron, tak, iż może nie tylko spadać, ale nawet przelatywać z drzewa na drzewo na odległość do 90 stóp. Największym po kangurze zwierzęciem australijskim jest ocieżyła



Dziobak.

wombat, zwany też borsukiem australijskim; żyje on w zaroślach, gdzie buduje sobie jaskinie z licznymi chodnikami.

Jednym z najpiękniejszych i najosobliwszych torbaczy jest *mrówkojad australijski*, ruchliwy jak wiewiórka, żyjący tylko we wschodniej części Australji. Jest on zapewne przedstawicielem najstarszego typu ssaków, albowiem bardziej niż jakiegokolwiek inne zwierzę żyjące przypomina torbacze kopalne z dawnych epok geologicznych.

Różnym od torbaczy, a jeszcze bardziej charakterystycznym dla Australji zwierzęciem, jest *dziobak*, obdarzony

ziemnowodną naturą: żyje nad rzekami, w zbudowanych przez siebie jaskiniach; długim kaczym dziobem wyszukuje żywność w mule. Również opatrzona dziobem jest podobna do jeża, *kolczatka*, żyjąca w górach Nowej Południowej Waliji.

Fauna ptasia jest bogatsza. Olbrzymem ptaków jest tutaj *emu*, zwany często kazuarem australijskim; pod względem wielkości zajmuje miejsce pośrednie między afrykańskim strusiem i amerykańskim nandu; brunatną swą barwą harmonizuje on



Ptak Lira.

z barwą wypalonych od słońca stepów: siedzący ptak wygląda jak pagórek pokryty zeschniętą trawą, dzięki temu nie został jeszcze wytępiony, mimo licznych polowań. Wiele ptaków australijskich odznacza się osobliwym wyglądem lub pięknym upierzeniem jak np. ptak zwany *lira*, z powodu kształtu ogona, oraz liczne papugi, które swymi pięknymi barwami urozmaicają monotonię australijskiego krajobrazu. «Trudno opisać, mówi pewien podróżny, czarodziejski widok, jaki sprawiają australijskie papugi, szczególnie czerwono zabarwione, gdy zaczną uwijać się pośród srebrzystolistnych akacji, niby cudowne ruchome kwiaty.» Inne gatunki, żyjące w trawie, zamieniają jednostajne stepy w różnobarwne kobierce. Świetnym upierzeniem odznaczają się też liczne tutejsze gołębie; pięknym ptakiem jest znany nam *łabędź australijski*, czarny z dziobem karminowo czerwonym i t. d.

Wiele ptaków australijskich odznacza się osobliwymi obyczajami: jedne np. budują sobie wśród gęstych krzaków jakby altany z gałęzi, zdobiąc je różnobarwnymi kamyczkami, muszlami i t. d.; inne składają swoje jajka w wielkich gromadach warstwami; ale prawie wszystkie ptaki nie śpiewają.

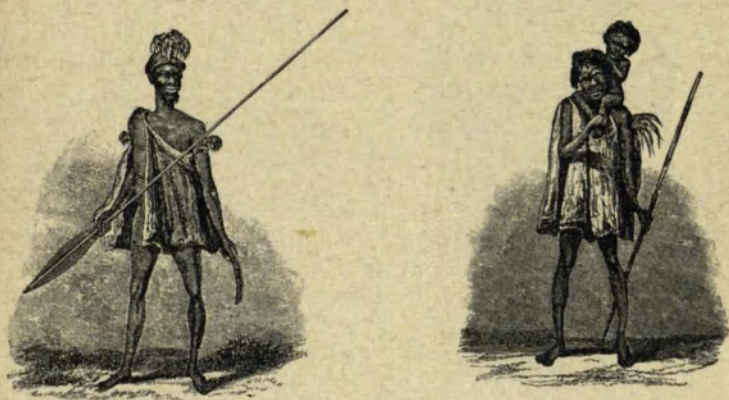
Ze zwierząt szkodliwych, muchy i komary są plagą ludzi i zwierząt; *termity*, szczególnie w Australji północnej, budują swe stożkowate gniazda i są tak straszne dla wszelkich budowli, że część słupów telegraficznych musiano tu zbudować z żelaza. Tym okolicom właściwe też są *skorpjony*, węże jadowite i *aligatory*. Wogóle jednak z powodu suchości, klimatu, zwierząt związanych z wodą i wilgocią, jak żaby, żółwie, ryby, jest mało.

Fauna australijska znika, podobnie jak i flora, w zetknięciu z silniejszą fauną lądową, sprowadzaną przez Europejczyków, a po części wskutek tępienia jej przez człowieka: z chwilą wstąpienia Europejczyka na tę odosobnioną wyspę, odzyskała ona niejako swe dawne połączenie z lądem; walka o byt zawrzała na niej z nową siłą. Europejczycy sprowadzili tu bydło, konie, owce, wielbłądy, króliki i t. d. Wielbłądy, owe «okręty pustyni», dopomogły wiele do zbadania pustynnego wnętrza Australji i przeprowadzenia telegrafu w poprzek lądu (telegraf transkontynentalny). Owce tak się rozmnożyły (około 100 milionów sztuk), że Australję można uważać za jedną wielką owczarnię; rozmnożenie królików jest tak niesłychane, że zagraża hodowli owiec (przez niszczenie pastwisk). «Chodzi o to, pisze pewien dziennik australijski, kto ma być panem Australji: koloniści czy króliki»? Nawet ryby i ptaki śpiewające (których tu brakowało) zostały przywiezione; eiche dawniej lasy Australji rozbrzmiewają teraz śpiewem ptaków, tak samo jak nasze. Natomiast Europejczyk tępi tutejszą faunę: na kangury, jako niszcycieli pastwisk, koloniści urządzają

wielkie polowania konne par force z psami, naganiają je w ogrodzenia i tam zabijają setkami; dingo, jako niszczyiciel owiec, jest tępiony za pomocą strychniny i t. d. Wszędzie brzmi tu bezlitośne hasło: «faites place, que je m'y mette» — nietylko w świecie roślin i zwierząt, ale i w świecie ludzkim.

Człowiek pierwotny.

Ląd Australji nie przedstawia dogodnych warunków do samodzielnego rozwoju człowieka pierwotnego; Australja



Typy australijskie.

jest wyspą bez korzyści wyspowego klimatu; stepem bez zwierząt kopytnych; krajem ospałej walki o byt; nie posiadała ona, jak wiadomo, przed przybyciem Europejczyka takich, właściwych innym częściom świata, pożytecznych dla człowieka zwierząt, jak koń, wół, wielbłąd, lama, słoń i t. d., a jeżeli inne części świata otrzymały w spadku razem z powyższymi także i groźne zwierzęta drapieżne, to i ten fakt należy policzyć na korzyść ich mieszkańcom, albowiem konieczność obrony swych stad i swego własnego życia har-

towała energję człowieka i pobudzała ducha wynalazczego. Wprawdzie Australja posiada też jedno zwierzę drapieżne, mianowicie psa *dingo*, ale ten nie był nigdy niebezpieczny dla człowieka, a jego dzikiej natury nie udało się ułaskawić w zupełności, ani pierwotnym mieszkańcom, ani później przybyłym, Europejczykom. Właściwe Australji zwierzęta workowate z powodu swej budowy nie nadają się ani na zwierzęta juczne, ani na pociągowe; dostarczają tylko niesmacznego mięsa, oraz skóry i futer.



Australijczyk.

Jak brak zwierząt pożytecznych nie pozwolił człowiekowi pierwotnemu Australji wznieść się na stopień pasterstwa, tak ubóstwo roślin owocowych i zbożowych, a zarazem warunki klimatyczne (posucha) nie dozwoliły zająć się rolnictwem, tymbardziej, że mała gęstość zaludnienia nie zmuszała człowieka do tego. Tym sposobem pierwotni mieszkańcy tutejsi zostali skazani na żywot włóczę-

gów; pozostali na najniższym szczeblu cywilizacji aż do przybycia Europejczyków, które stało się wyrokiem śmierci dla nieprzygotowanych do walki, a ospałych w swym odosobnieniu.

Pierwotni mieszkańcy przybyli do Australji prawdopodobnie z północy przez usianą wysepkami cieśninę Torresa na półwysep York, klinowato wysunięty ku północy. Należą oni do rasy murzynów australijskich (Australczyków). Rasa ta posiada czaszkę wydłużoną, twarz naprzód wysuniętą, nos u nasady spłaszczony, u dołu znacznie rozszerzo-

ny (trójkątny), usta grube, barwę skóry czerwono-brunatną, czasami nawet czerwona, włosy czarne, wogóle nie wełniste jak u murzynów afrykańskich, ale w każdym razie kręte. Zresztą co do tego, to podania różnych podrózników brzmią dość różnie; pochodzi to prawdopodobnie od różnego stanu «toalety» obserwowanych jednostek, różnego stanu suchości powietrza, a poczęści prawdopodobnie od zmieszania z prostowłosemi Malajami, albowiem im dalej ku północy, tym częściej występują włosy proste; najbardziej zaś wełniste włosy posiadali Tasmańczycy, którzy obecnie już wymarli. Uwłosienie na brodzie jest bujne i bywa jeszcze wzmacniane za pomocą wplatania psiego ogona. Oczy bardzo zbliżone, małe, świecą żywym blaskiem, nadającym fizjognomji charakterystyczny wyraz dzikości. Wzrost średni, budowa wogóle nie tyle silna, ile elastyczna, pozwalająca ciału Australczyka przybierać takie pozycje, jakie dla Europejczyka byłyby niemożliwe. Tak np. Australczyk przy naprawianiu włóczni używa swej podeszwy jako warsztatu i palcami nogi trzyma obrabiane drzewce tak dobrze, jak my rękami. Chwytność ich nóg wyświadcza im doskonałe usługi przy wdrapywaniu się na niebotyczne, a gładkie jak kolumny drzewa australijskie: ostrym kijem robią oni dziury w korze drzewa i z ich pomocą wchodzą po gładkich pniach na zawrotne wysokości. Palcami nóg potrafią kraść bardzo zręcznie różne drobne przedmioty, podając je sobie do rąk trzymanyh z tyłu. Umieją nadzwyczaj zręcznym nieznacznym ruchem uniknąć ciosu celnie rzuconej włóczni, a nawet chwycić ją w powietrzu i odrzucić wrogowi z pogardą.

W pływaniu okazują również nadzwyczajną zręczność i wytrwałość: umieją (nawet kobiety z niemowlętami) przepływać cieśniny, dzielące łąd od wysp nadbrzeżnych, potrafią nawet cały dzień przebywać na falach morskich wśród burzy. Ta dzielność pływacka w kraju tak ubogim w rzeki

i u ludu nieżeglarskiego wydaje się na pozór niepojętą; da się jednak zapewne wyjaśnić właściwością rzek australijskich, które, będąc wogóle ubogie w wodę, czasami nagle wzbierają i wśród płaskiego kraju sprowadzają nieprzejrzone powodzie; stąd w tym suchym kraju grozi często śmierć od utonięcia.

Na ptaki wodne Australczycy polują w sposób używany niegdyś przez naszych przodków słowiańskich, mianowicie nurkują, trzymając trzcinę w ustach dla oddychania, podpływają pod stado, wciągają ptaki cicho do wody i duszą. W morzu łapią rękami wielkie żółwie.



Wdrapywanie się na drzewo.

Typy australijskie.

Dla chwytania ptaków drapieżnych kładą się na skale z rybą w ręku i leżą tak długo bez ruchu, póki ptak nie nadleci; wtedy go chwytają z błyskawiczną szybkością.

Wzrok i słuch mają nadzwyczaj bystry: pszczołę australijską, mniejszą od naszej muchy, dostrzegają na wysokości 18 metrów. Bystrość zmysłów czyni ich wybornymi policjantami do tropienia bandytów.

Zdolności umysłowe Australczyków są większe niż dawniej sądzono: znają się oni na gwiazdach, świecących jasno wśród pogodnego nieba, dzielą je na grupy czyli konstelacje, określają nazwami 8 stron świata; z ruchu ciał niebieskich oznaczają czas, posiadają nadzwyczajny dar orjentowania się wśród pustyni i zadziwiająca pamięć miejscowości i rysów twarzy. Pewien podróżny opowiada, że został poznany przez Australczyka, który go widział tylko raz w życiu i to przed 14 laty. Wynaleźli też pewien sposób piśmiennego porozumiewania się za pomocą znaków wyrzynanych na pałeczkach, które grają u nich rolę listów; mają wiele zdolności do rysunków i rzeźby, o czem świadczą figury na skałach, na skórze i korze drzew.

W szkołach dzieci australijskie nie ustępują białym kolegom, a w rysunkach i językach przewyższają ich nawet. Ale później zwykle powracają do stanu pierwotnego. Pewien Australczyk ukończył nawet gimnazjum w Sydney, gdzie celował w naukach i dostawał nagrody, a jednak nie mógł się oprzeć popędowi natury: powrócił do swoich i żył jak oni życiem włóczęgi, twierdząc, iż wykształcenie posłużyło mu do tego jedynie, by głębiej pojął swą nędzę.

Co do cech charakteru, to Australczyk, jak zwykle człowiek pierwotny, przedstawia mieszaninę złych i dobrych przymiotów w wysokim stopniu: raz jest chytry jak lis lub okrutny jak tygrys, a ciężka walka o byt wśród pustynnej przyrody jeszcze bardziej zaostrza te rysy charakteru; to znowu okazuje godną podziwu szlachetność, która sta-



wia go wyżej ponad przeciętnego białego. Jako przykład okrucieństwa przytaczają pewien gatunek zemsty zwanej «nilieri»: chcący się zemścić bierze ostrze dzidy, kawałek kości (często ludzkiej) dobrze zaostrzonej i t. p. wbija je w ciało gnijącego trupa i pozostawia tak na parę tygodni. Następnie bierze pęk włosów lub piór, napojonych trupim tłuszczem, obwija nimi swe ostre jak sztylet nilieri i tym sposobem staje się posiadaczem straszliwego narzędzia zemsty. Jednem draśnięciem zaszczepia on wrogowi jad trupi, sprowadzający śmierć wśród strasznych męczarni. Z drugiej strony mamy przykłady poświęcenia i bohaterskiej odwagi: dzicy pielęgnowali nieraz troskliwie chorych podróżników, czarne kobiety ukrywały białych skazańców, ranionych i ściganych przez władzę. Pewien wódz, śpiąc wśród swych towarzyszków, poczuł jadowitego węża na swem ciele; schwycił go za kark i odsunął na odległość ręki, widział jednak, iż wąż mu się wysliznie, a nie chciał go rzucić na śpiących towarzyszków; zbliżył więc ostrożnie głowę węża do swych ust i rozgryzł ją w zębach!

Australczycy są ludożercami, co wynika poczęści z braku dostatecznego pożywienia, poczęści z zabobonu: wojownik zjada nieprzyjaciela, by pojąć jego męstwo; matka zjada zmarłe dziecko, by w niej odżyło; szczególnie poszukiwani są w tym celu ludzie tłuszczy: powiadają, że pewien Australczyk, mający tłustą żonę, obawiał się z tego powodu puszczać ją samopas. Niedostatek pożywienia powstrzymał mnożenie się ludności, istnieje tu bowiem zwyczaj zabijania dzieci.

Australczycy żyją przeważnie w poligamji. Każdy mężczyzna ma tyle żon, ile ich może zdobyć. Kobiety są wogóle źle traktowane: zakochany młodzieniec uzbraja się w dobrą maczugę, ukrywa się za odpowiednim drzewem lub krzakiem i czatuje na wybraną swego serca; napada ją niespodzianie z tyłu, powala uderzeniem ma-

czugi na ziemię i porywa omdlałą. Tym sposobem za jednym razem załatwiają się zaręczyny i wesele. Kobieta musi wykonywać wszelkie prace, nosić w podróży zapasy, wodę, a przede wszystkim ogień, t. j. żarzące się węgle drzewne, owinięte mchem — a biada «westalce,» która zaniedba swój płomień.

Ubranie Australczyków jest bardzo niedostateczne, składa się przeważnie z płaszcza ze skóry zwierząt lub sito-



Taniec corrobóri.

wia; zato ozdoby z piór, ogonów psich i t. d. są bardzo używane; dla ozdoby przedziurawiają ścianę nosową i zakładają w nią kości lub patyki, co utrudnia oddychanie i zmusza do trzymania ust otwartych; na północy noszą fryzury wysokie, splecione z trawy, robiące wrażenie hełmów. Ciało smarują tłuszczem, malują na czarno, czerwono, biało; mianowicie podczas pewnych uroczystości (corrobóri) malują ciało w białe pasy.

Uroczystość ta odbywa się wieczorem, przy blasku księżyca i ognisk. Na dany sygnał odzywa się muzyka, gromada pomalowanych postaci, jakby z grobu powstałych, zbliża się do wielkiego ogniska i zaczyna się taniec, — istny taniec szkieletów. Tańczący potrząsają głowami, przyczem długie czarne włosy snują im się na podobieństwo węzów; przewracają białkami oczów i wyszczerzają zęby; wrzeszczą i biją w bęben, jakby chcieli ogłuszyć obecnych. Z początku ruchy są dość powolne, ale stają się coraz



Bumerang.

gwałtowniejsze, aż cała scena przechodzi w nieopisany chaos skoków, wykrzywiań i wycia, staje się tak dzika i groźna, iż widz mimowolnie ulega przerażeniu. Naraz chaos ustaje i dzikie widma znikają spokojnie i cicho.

Broń Australczyków stanowią głównie włócznie i maczugi, ale szczególnie ciekawym jest czysto australijski bumerang, łukowaty i wichrowaty kawał ciężkiego drzewa, który, zręcznie rzucony, zatoczywszy linię krzywą, powraca do rzucającego. Podczas lotu bumerang kręci się z wielką szybkością, wydając świst. W rękach

Europejczyka bumerang jest równie niebezpieczny dla rzucającego, jak i dla celu, w który został wymierzony, ale w rękach dzikiego jest to straszna broń, która uderza ofiarę, nie pozwalając poznać strony, z której cios został rzucony; bumerang nadaje się z tego powodu doskonale do polowania na kangury, przyczem konieczną jest rzeczą, aby zwierzę nie dostrzegło łowca: między kangurem i łowcą może być np. zasłona z drzew: bumerang obejdzie ją i zgruchoce nogi zwierzęciu. Bumerang, zapomocą którego Australczycy zabijają ptaki z odległości 200 kroków, bywa używany

głównie na otwartych równinach; w północnych leśnych okolicach nie napotyka się.

Chowanie zmarłych odbywa się u Australczyków w rozmaity sposób. W jednych okolicach trupy bywają chowane np. w wydrążeniach drzew, w innych—suszone na rusztowaniach z gałęzi (ob. fig.), poczym krewni noszą często mumje ze sobą długi czas, a gdy im się to uprzykrzy, przywiązują je do drewnianego drążka i zawieszają



Cmentarz australijski.

ją na drzewie wysoko, by je uchronić od pożarcia przez dzikie psy. Najczęściej jednak nieboszczyków zakopują w ziemię i sypią na grobie kopce, lub stawiają jakieś znaki drewniane.

Rasa australijska wymiera, poczęści wskutek pierwotnych trudnych warunków bytu, a stąd dzieciobójstwa, poczęści wskutek wpływu Europejczyków, którzy w znacznej części utrudniają jeszcze bardziej powyższe warunki bytu, lub tępią krajowców bezpośrednio: mianowicie biali tę-

pią kangury, służące krajowcom za pożywienie; wypierają krajowców na pustynne wnętrze, zajmując obszary lepiej od przyrody uposażone; czasem mimowoli a nieraz i umyślnie przenoszą na dzikich swe choroby, które są dla nich zabójcze; nawet w celu ochrony swoich stad owiec od rabunku, dzikich, zabijają ich jak zwierzęta. Tym sposobem, przez systematyczne tępienie krajowców, Tasmanja została z nich już zupełnie «oczyszczona.»

Kolonisci.

Znakomity żeglarz angielski, Cook, odkrył w 1770 roku na wschodnim wybrzeżu Australji zatokę Botany-Bay, a następnie sąsiednią, Port-Jackson, i okolicę ich zajął w posiadanie Wielkiej Brytanji.

Po utraceniu swych kolonji amerykańskich, Anglicy potrzebowali miejsca dla zsyłania swych przestępców, i w tym celu wysłali do Australji wyprawę złożoną z dziesięciu okrętów. Flota ta wr. 1787 zarzuciła kotwicę w zatoce Botany-Bay.

Wylądowano w lesie, którego ostatnie drzewa sięgały wybrzeża. Skazańcy byli w liczbie tysiąca, a w tem dwieście kobiet i dzieci. Eskorta składała się z oddziału marynarzy i dwustu wolnych kolonistów, z których kilku było w towarzystwie swych żon. Anglicy przywieźli ze sobą konie, krowy, owce, świnie i t. d., a także pewną ilość roślin i nasion w celach kultury.

Ponieważ okolica Botany-Bay okazała się niedogodną, przeniesiono więc osadę nad zatokę Port-Jackson i tak powstał związek miasta Sydney, oraz kolonja karna Nowa Południowa Walja. Miasto zaczęło powoli wzrastać, gdyż z biegiem czasu, obok skazańców zaczęła się tu gromadzić i ludność wolna. Ludność ta pochodziła części z uwolnionych skazańców, części z przybyszów dobrowolnych, którzy napływali głównie z Anglji.

Dla ulżenia wolnym kolonistom, zaczęto następnie zakładać kolonie karne i w innych częściach Australji, a Nowa Południowa Walja stała się kolonją ludzi wolnych. Później poszły jej śladem i inne kolonie karne w Australji (najdłużej, bo do r. 1868 była kolonją karną Australja Zachodnia, jako najbardziej odosobniona przez pustynię i morza).

Pod względem narodowości, ląd Australji odznacza się nienapotykaną w innych częściach świata jednolitością: koloniści pochodzenia angielskiego stanowią tu przynajmniej 95⁰/₀; nieznaczną resztę składają Niemcy, Chińczycy, oraz wyspiarze z wysp oceanu Wielkiego. Wskutek napływu kolonistów, liczba mężczyzn przenosi w Australji liczbę kobiet, jednak z biegiem czasu urodzeni w Australji biorą coraz bardziej przewagę nad przybyszami i wyrabia się powoli, podobnie jak w Ameryce Północnej, pewien typ białego Australczyka, niecoróżny od typu Anglika; zanika mianowicie angielska świeżość cery, ale zato usposobienie staje się weselsze, język zaś nabiera pewnych prowincjonalizmów.

Ponieważ początek pierwotnych kolonistów był bardzo niski (skazańcy), więc gdy w innych krajach ludzie lubią śmiesznie przechwalać się swemi przodkami, jako ludźmi niezwykłemi, bohaterami, to koloniści australijscy przeciwnie: starają się wykazać swe pokrewieństwo z osadnikami najświeższej daty. Zresztą, niskie pochodzenie australijskich kolonistów traci coraz bardziej swoje znaczenie i przybiera prawie legendowy charakter, podobnie jak w starożytnym Rzymie. Tylko świeżo, po odkryciu bogatych kopalni złota, pochodzenie to odezwało się wyraźniej w licznych bandytach (bushranger), którzy niepokoiłi kraj z niedostępnych górskich kryjówek, a pobłażliwy zmysł ogółu nie tylko ich uniewinniał, lecz otaczał nawet aureolą bohaterstwa.

Napływ Chińczyków, wywołany odkryciem złota, zaczął być groźnym dla Australji, («żółte niebezpieczeństwo»),

podobnie jak dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, więc nałożono na Chińczyków znaczne opłaty przy wylądowaniu; wogóle zaczęto ich dręczyć licznymi utrudnieniami; teraz nie Chińczycy, lecz biali, mówi szlachetny geograf francuski E. Reclus, zaczynają wznosić dokoła siebie «mur chiński.»

Wyspiarze z oceanu Wielkiego zostali sprowadzeni, podobnie jak Murzyni do Ameryki, dla pracy na plantacjach (głównie w północnej, cieplejszej części Australji) i tu zamienieni prawie w niewolników; podobne geograficzne warunki (praca na roli w gorącym klimacie) wywołują podobne objawy w świecie ludzkim (niewolnictwo).

Głównymi zajęciami kolonistów w Australji są: hodowla bydła, górnictwo i rolnictwo.

Hodowla bydła, która z «kraju złodziei» uczyniła Australję «Arkadją u antypodów,» a w szczególności jedną wielką owczarnię, znajduje tu geograficzne podstawy w rozległych pastwiskach z trawami solnemi, w łagodnym klimacie, w braku zwierząt drapieżnych (wyjąwszy bardzo tępionego dingo). Liczba owiec wynosi tu około 100 milionów (Australja nawet w herbie ma wełnę), prócz tego wiele bydła rogatego, koni i świń. Hodowcy bydła, t. zw. squatterzy, wynajmują od rządu wielkie pastwiska, zwane runs, gdzie stada pasą się po większej części bez pasterzy w wielkich drucianych ogrodzeniach. Tylko w odległych miejscowościach wnętrza, gdzie pułapki i strychnina nie wytepiły jeszcze największego wroga owiec, psa dingo, miejsce ogrodzeń zajmują pasterze-owczarze. W pierwotnych chatach lub namiotach ludzie ci wiodą żywot nie bardzo godzien zazdrości: odosobnieni po całych tygodniach, bez innego towarzystwa, prócz wiernego psa, często rozpijają się i dostają pomieszania zmysłów. Tylko w czasie strzyży owiec przybywają tłumy robotników, by owcom zdjąć wełnę, a następnie ją umyć, zapakować i odstawiać do portu.

Jednakże hodowla była napotyka i liczne trudności, jak posuchy, wylewy, wielce rozmnożone króliki, wreszcie pożary pastwisk, niszczące stada bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przez odjęcie im podstawy bytu. Przytem brak wody, oraz jej gatunek (zwykle słona), utrudniają mycie wełny tak, iż tylko wełna z dorzecza Murrayu-Darlingu bywa myta.

Squatterzy starają się przeciwdziałać temu złemu przez tamy na rzekach, studnie, oraz rezerwoary, do których kanałami sprowadza się woda w czasie wylewów.

Króliki, chociaż są tępione masami, (około 50 milionów rocznie) ogromnie niszczą pastwiska, tak dalece, że koloniści robią próby szczepienia im różnych zaraźliwych chorób, aby je rozniosły wśród swego plemienia.

Pożary pastwisk są częste, gdyż w suchym klimacie zapalenie się ich jest łatwe: powoduje je to pożar sąsiedniego lasu, tarcie suchej trawy kołysanej wiatrem, to porzucenie soczewki[?] skupiającej promienie słońca, iskra z ogniska, strzelby lub fajki i t. p. To też istnieją tu w tym względzie surowe przepisy ochronne: nabojów do strzelby wolno używać tylko ściśle przepisanych, fajki muszą być zaopatrzone w pokrywki, ogniska nie wolno rozkładać, nie usuwawszy trawy dokoła na przepisana odległość. Z tego też powodu pochodzi wielka uczynność i gościnność bogatych squatterów dla biednych wędrownych robotników: dają im chętnie chwilowe pomieszczenie i żywność, gdyż złość odpedzonego biedaka mogłaby narazić hodowcę na nieobliczone straty; zresztą pustynny i stepowy charakter kraju, potrzeba przebywania wielkich przestrzeni, rozwija wszędzie na ziemi cnotę gościnności, gdyż każdy jej wzajemnie potrzebuje.

Bogaci squatterzy stanowią australijską arystokrację (rolnicy — stan średni); niektórzy z nich posiadają po 100,000 i więcej owiec («królowie owiec»).

Z obfitych skarbów mineralnych Australji, których istnienia i wartości pierwotni mieszkańcy nawet się nie

domyślali, szczególnie zasługuje na uwagę złoto. Słyszano o nim w Australji już przed rokiem 1823: zbiegli skazańcy, schwytani powtórnie, utrzymywali, iż widzieli złoto na pustyni, inni tu i owdzie przynosili małe woreczki złota na sprzedaż; niestety jednak przekonano się, że pierwsi oszukiwali w celu złagodzenia czekającej ich kary; drugich zaś uważano za złodziei i karano.

Pierwszego poważnego dowodu istnienia złota w Australji dostarczył Strzelecki w 1840 roku; ale ani on, ani geolog Murchisson, który w swych odczytach mianych w Londynie 1844 roku dowodził podobieństwa w budowie Wschodnio-Australijskiego łańcucha gór ze złotodajnym Uralem i skłaniał rząd angielski do wysłania górników do australijskich Kordyljerów, nie wiele zdziałali.

Dopiero gdy ważne odkrycia w Kalifornji wywarły swój wpływ na Australję tak, iż w roku 1849 przeszło 5,000 ludzi opuściło Sydney, udając się do San-Francisco, kwestja złota w Australji weszła na właściwe tory: wielu z poszukiwaczy złotego runa za oceanem powróciło do Australji, z bogaciwszy się nie tyle złotem, ile doświadczeniem. Jeden z nich Hargreaves, spostrzegł zaraz podobieństwo formacji gór australijskich z amerykańskimi i rozpoczął poszukiwania, które doprowadziły do pomyślnych rezultatów. Skutkiem tego było odkrycie wielkich pól złotych po zachodniej stronie gór Błękitnych (1851 roku), poczem nastąpiła ogólna «gorączka złota,» ogólny exodus kolonistów: warsztaty i kantory zostały opróżnione, pługi porzucone, stada pozbawione pasterzy, okrętom groziło niebezpieczeństwo, jakby od owej bajecznej góry magnetycznej, przyciągającej gwoździe, gdyż niemniej potężna siła przyciągania złota pozbawiała okręty załogi; stały w portach puste, bezużyteczne. Z Melbournu, który za pośrednictwem złotych czarów z nieznacznego miasteczka stał się wielką stolicą, płynął potok ludzi do obiecującego Eldorado. Jak tylko za-

sięgło oko podróżnika, widać było długą linię ludzi to ginącą, to wynurzającą się z falistości gruntu. Wozy ciągnięte przez konie, woły, a nawet psy; ludzie wiozący swe mienie na taczkach; sznury postępujących jeden za drugim Chińczyków z koszami na bambusowych kijach; tłumy robotników, których zwinięte na plecach kołdry wełniane były jedyną wyprawą, a silne mięśnie jedynym kapitałem— wszystko śpieszyło ku spodziewanemu szczęściu. Wszystkie narody miały tu swych przedstawicieli, a nie najmniejszy kontyngens stanowili synowie «Państwa Niebieskiego.» Wprawdzie inni górnicy przyjmowali ich złorzeczeniami, a nawet kamieniami i pięściami, ale Chińczycy byli wytrwali, pracowici i przestający na małym; pracowali na polach wzgardzonych przez Europejczyków, przeszukiwali troskliwie rumowiska porzucone przez innych, jako nie mające wartości. Pod wpływem pracy tych niezliczonych mrówek ludzkich, wielkie obszary pól złotodajnych zmieniły swój wygląd: stały się podobne do olbrzymich plastrów miodu.

Pod magicznym wpływem cielca złotego powstały na tych polach liczne ludne osady i miasta. Ale gdy tylko podziurawiony grunt został wyczerpany, osady znikły (np. miasto Pulmerville w północnym Queenslandzie), kraj zmieniał się w pustynię i dzikie zwierzęta zajmowały napowrót miejsce, wydarte im na chwilę przez człowieka. Nie wszystkie jednak kopalnie mają naturę tak znikomą: niektóre sięgają znacznej głębokości (przeszło 700 m.) i muszą być prawidłowo po górnictwie eksploatowane; to też wywołały one powstanie trwałych, dobrze zbudowanych miast górniczych (Ballarat i Sandhurst w Wiktorji). Główne kopalnie złota znajdują się w Wiktorji, Nowej Południowej Walji i Queenslandzie; o wiele mniej złota dostarcza Tasmanja i Australja Południowa.

Pasterze australijscy.

Życie pasterza owiec w Australji nie jest bardziej kłopotliwe niż w Europie: po całych dniach włóczy on się bezczynnie za swoim stadem lub odpoczywa pod drzewem; za niego psy utrzymują stado w porządku. Wieczorem pasterz zagania owce do przenośnego ogrodzenia i kładzie się spać w chacie skleconej z drzewa lub kory. Owczarstwo jest tu więc łatwą robotą, sąsiadującą z próżniactwem. Płaca zarobkowa jest tak wysoka, iż daje możność po roku stać się samemu właścicielem.

Jednakże pasterstwo na spieczonych od słońca równinach Australji jest dla istoty, która myśli, zajęciem mogącem doprowadzić do rozpacz. Rok w Australji ma także 365 dni, a pasterz pędzi codziennie swe stado po tym samym obszarze, widzi te same wierzchołki drzew, te same pastwiska, te same kałuże, te same zwierzęta, żyje bez żadnego towarzystwa, bez wymiany słów, bez wiadomości. Jedynym jego towarzyszem jest pies. W wielomilowem oddaleniu od tego obszaru rozciąga się inny obszar, gdzie żyje drugi także samotny pasterz i t. d. Tak więc pasterz australijski żyje niby więzień w celi. Wybierając się na takie życie, nie potrzebuje on brać ze sobą wiele rozumu, inaczej bowiem utraci go całkiem. Głównem zajęciem owczarza australijskiego jest gra na kobzie lub harmonijce.

Obok hodowli owiec kwitnie w Australji na wielką skalę hodowla bydła i koni; stada tych zwierząt bujają swobodnie po stepach i zaroślach nieraz całymi miesiącami bez żadnego dozoru. Przeciwno dzikim psom zwierzęta te potrafią się same obronić, a porywanie przez dzikich tuziemców niema wielkiego znaczenia.

Bydło dostarcza skór, rogu i tłuszczu. Wielkie warzelnie do wytapiania tłuszczu, w nowszych czasach obsługiwane

przez parę, znajdują się we wszystkich prawie pasterskich okręgach. Bydło po zabiciu, ściągnięciu skóry i poćwiartowaniu jest rzucane do olbrzymich kotłów, z których każdy może pomieścić 16 do 24 wołów lub trzy razy tyle owiec. Łój wygotowany w tych kotłach kładzie się w faski, które wysyłają do Anglii; tak samo skóry i rogi.

Zajęcie hodowcy bydła jest bardzo zyskowne, jeżeli nie zdarzą się lata niepomyślne, to jest posucha lub choroba na bydło; wtedy bowiem bydło młode musi być wraz ze starem zabite a potem odstawione do warzelni.

Jeszcze gorzej dzieje się w takim razie hodowcom koni. Gdy letnia susza wyniszczy trawę, wtedy hodowcom nie pozostaje nic innego, tylko pędzić całe stado koni na licytację do Sydneyu lub Melbournu, gdzie bywają sprzedawane po 2 do 10 funtów szterlingów od sztuki i wysyłane do Indji lub Nowej Zelandji. Często też w czasie takiej kłęski konie bywają pozostawiane zupełnie własnemu losowi. Gdy jednak lato jest dobre, zwierzęta mają dość paszy i wody, wówczas stado koni, przypędzone do stacji na sprzedaż, przedstawia wspaniały widok. Dwóch lub trzech dozorców wyjeżdża o świcie dla odszukania koni wśród stepów i zarosli. Około południa słychać huczne strzelanie z batów, grzmiące «hallo» i tentent, od którego ziemia drży. W pół godziny potem przybiega stado spienionych koni we wściekłym pędzie, a w parę minut jest już zamknięte w ogrodzeniu.

Z wychowaniem koni niewiele tu sobie zadają kłopotu. Konie przeznaczone pod wierzch bywają chwywane na arkan, przyczem naturalnie rzucają się dziko, gryzą, wogóle bronią się zajadle, aż wreszcie udaje się związać im przednie nogi w ten sposób, iż zwierzę może wprawdzie chodzić ale nie może brykać. O jakiejś systematycznej tresurze konia do jazdy niema tu mowy; w Australji niema na to czasu, dziką naturę konia przełamują tu po barbarzyńsku. Jednakże znajduje się w Australji wiele dobrych koni

wierzchowych, które są szczególnie poszukiwane przez kawalerję indyjską.

Pasterz koni (stockman) lekceważy owczarza i jego zajęcie, uważa bowiem, iż włóczenie się przez cały dzień za owcami nie jest męskim zajęciem. Stockman żyje przeważnie na koniu, przyczem wybiera sobie naturalnie najlepszego z powierzonego mu stada; i nic dziwnego: koń stockmana musi nie tylko przesadzać ogrodzenia, ale także nieraz oprzeć się rogom dzikiego byka. W Australji jeździec przeskakuje szerokie rozpadliny, wielkie wywrócone drzewa, nie troszcząc się bynajmniej o niebezpieczeństwa: unikanie ich jest rzeczą konia. Jeździec musi pamiętać tylko o swojej głowie, a i z tem ma dosyć do roboty, jeżeli bowiem pędzi przez niezbyt wysokopienny las, to w każdej chwili grozi mu niemiłe zetknięcie ze sterczącą gałęzią. Pogonie za bydłem, które w celach rewizji i cechowania bywają często przedsiębrane, są niezmiernie uciążliwe i niebezpieczne tak dla jeźdźców, jak i koni: gdy mianowicie zdziczałe bydło rozjuszone pogonią, zwróci się nagle i rzuci na jeźdźca, wówczas tylko szybka ucieczka jest w stanie go uratować, w przeciwnym razie będzie wzięty na rogi lub rozbity o drzewo.

Rewizja bydła odbywa się zwykle przy współdziałaniu sąsiadów właściciela (squattera): po nieodzownych naradach wszyscy uczestnicy, panowie i słudzy, siadają na konie i pogoń się zaczyna. Wkrótce rozlega się wszędzie trzaskanie z batów, będące postrachem dla bydła, gdyż bat wprawna ręką kierowany zdiera całe pasy skóry z grzbiatów wołów i koni. Przerażone zwierzęta szczególnie stare, które wiedzą z doświadczenia co się święci, pędzą do swego zwykłego legowiska, a za nimi stockman, który je nagania do przeznaczonego z góry miejsca zbornego. Tym sposobem odbywa się pogoń ze wszystkich stron, aż bydło całej stacji zostanie spędzone do kupy. Teraz trzeba je

wpędzić w ogrodzenie: dokoła huczą i świszczą baty, jeźdźcy nawołują, psy szczekają; ryczące bydło gnane pędzi przez góry, przez strome pochyłości, przez wązkie wąwozy lub przez obszerne równiny. Ten cały dziki potok pilnują poganiacze z obu stron, utrzymując go i zwracając w pewnym kierunku, jakkolwiek nieraz tumany kurzu zupełnie skrywają bydło przed oczami dozorców. Tu i owdzie dwa rozjuzowane byki wpadają na siebie, trzeba je więc rozpedzić potężnymi razami bata, to znowu chce wyrwać się krowa, ażeby odnaleźć swe zbłąkane ciele, którego beczenie w oddali usłyszała. Ale konie jeźdźców pałają dziką żądzą gonitwy, jak i jeźdźcy sami. Nareszcie ukazuje się cel gonitwy, ogrodzenie; bydło przypominające sobie męki w tem miejscu doznane, usiłuje się wymknąć, ale tu okazuje się dopiero wielka zręczność, ruchliwość i roztropność koni, które są czujne na najłżejsze podejrzanе ruchy gnanego bydła. Wreszcie zmęczone i kurzem pokryte bydło dostaje się do ogrodzenia. Cechowanie go jest rzeczywiście barbarzyńską operacją. Każde bydło łapią na arkan, wywracają i krępują tak silnie, iż nie może się ruszyć. Następnie żelazo ze znakiem właściciela rozpalone do czerwoności, trzymają tak długo na skórze, aż zostanie na wylot przepalona. Rana goi się później, ale pozostawia znak widoczny do późnej starości.

Z każdą rewizją bydła łączy się zwykle drugie zajęcie, mianowicie wydzielenie tego bydła, które jest przeznaczone do sprzedania lub na rzeź do warzelni. Sztuki takie napędza się do osobnych ogrodzeń, a resztę puszcza się wolno. Bydło puszczone pędzi jak wichur w stepy i lasy do swych dawnych legowisk, przeznaczone zaś na sprzedaż lub do warzelni idzie pod kierunkiem pasterzy do celu swego przeznaczenia. I ta podróż, nieraz wielomilowa, nie obywa się bez zaburzeń i wypadków: to część bydła zbłąka się w okolicy pełnej wąwozów lub w gąszczach zarośli, to umknie w nocy na nieprzejrzanе równiny, to znów powstaje nieopisany tumult podczas przepływania rzeki i t. p.

Do tego wszystkiego przylączają się kłopoty, aby we wszystkich miejscach wypoczynku była dostateczna ilość wody i paszy, oraz aby uniknąć zetknięcia się z pożarem stepów. Z tego wszystkiego zdawałoby się, że zajęcie stockmana przedstawia wiele różnaitości, przynajmniej więcej, niż zajęcie owczarza; ale jest to tylko pozorne. W rzeczywistości jak jedno, tak drugie jest monotonne i nudne, i ta okoliczność objaśnia przynajmniej, po części, dziki, rozpasany sposób życia tych pasterzy, którzy raz uwolnili się od swych codziennych zajęć. Tem się objaśnia również smutny fakt, iż większość chorych australijskich, spotykanych w zakładach dla obłąkanych, rekrutuje się z pasterzy.

Niektóre osobliwości życia społecznego w Australji.

Spółeczności młode, jak australijska lub amerykańska, osiadłe na gruncie zupełnie nowym; społeczności, nad któremi nie ciąży, jak w starej Europie, ani przesady arystokratyczne, ani rutyna biuralistyczna, przedstawiają wiele objawów, które niejednemu Europejczykowi mogą się wydać dziwacznymi, które jednak w rzeczywistości są i bardziej sprawiedliwe i bardziej rozumne, niż nasze.

Tak np. pewien europejski podróżny oburza się na zwyczaj w hotelach australijskich, mianowicie, że posiłek dają tam tylko w pewnych oznaczonych godzinach, a nie na zawołanie: gdy raz zażądał herbaty o świcie, odpowiedziano mu, iż to jest niemożliwe, ponieważ kucharz przychodzi dopiero o siódmej. Nic nie pomogą tu ani perswazje, ani prośby, ani gniew (!). Jestem zwolennikiem porządku we wszystkim, ale nie mogę się zgodzić na to, aby człowiek, ofiarujący swój worek, nie mógł dostać śniadania, kiedy mu się podoba. Przyzwyczajony do stosunków europejskich, uważa on to za skrupowanie, niewolę. A czy kucharz, wychekujący po całych dniach i nocach na zawołanie, nie byłby niewolnikiem? Należałoby Europejczykowi raz zrozu-

mieć, że nie wolno żądać swobody kosztem niewoli cudzej i że nie wszystko na świecie można kupić za pieniądze.

Równie oburzony, a po części rozśmieszony (gdyż w tym razie nie szło o niego samego) był tenże podróżny na służbę australijską. Wielu właścicieli hotelów upewniało go, że nie można w Australji dostać kucharza za cenę niższą, jak 2—3 funt. szterlingów (20—30 rubli) tygodniowo, a są miejscowości, gdzie kucharze żądają cztery funty tygodniowo; nie dość na tym: ci «panowie» (jak się wyraża ironicznie podróżnik) wymagają jeszcze wolnego wieczoru w niedzielę. Służące, mówi dalej, mają także «uroszczenia i zachcianki» niezależności, które przewyższają wszystko, o czym służba europejska mogłaby marzyć. Pewna dama w Melbourne opowiadała mi «ładny» przykład. Wracając pewnego wieczoru ze wsi koleją, znalazła się w pierwszej klasie, razem ze swą służącą, a gdy jej robiła z tego powodu wymówki, otrzymała najspokojniejszą odpowiedź, że kobiecie samej niewłaściwie jest podróżować drugą klasą. Inna dama opowiadała, że jej służąca jeździ na zabawę tańczącą wynajętym powozem; jeszcze inna,—że służąca gra na fortepianie, to znów, że dwa razy tygodniowo używa przejażdżki konno i t. p.

Wszystko to ten podróżnik opatruje wykrzyknikami oburzenia, a jednak chciałoby się go zapytać, dlaczego córka squattera, z bogactwem na cudzej włości, może, nie robiąc nic, jeździć konno dla przyjemności, służąca zaś, zarabiająca sama na swe utrzymanie, nie może sobie pozwolić tej rozrywki za zapracowane pieniądze? Wprawdzie u nas nie mogłaby na to zapracować, musiałyby braki dopełniać «koszykowym,» ale czyż to ma być wyższością Europy nad Australją?

Zato inny zwyczaj, praktykowany w komunikacji omnibusowej, znalazł słusznie u tego podróżnika wielkie uznanie. U nas, mówi on, na każdej stacji ukazuje się zawsze

cały bataljon urzędników najrozmaitszych stopni, których zadaniem jest kontrolowanie; do kontrolowania tych kontrolerów trzeba znów licznych urzędników biurowych, którzy zapisują, rachują, sprawdzają, zdają raporty i t. d. Australczycy, podobnie jak Amerykanie, są praktyczniejsi od nas: pojmują oni, że korzystniej jest być okradzionym od czasu do czasu na kilka kopiejek, niż ponosić ogromne koszta na utrzymanie chmary urzędników. Zamiast więc konduktorów i kontrolerów w omnibusach australijskich jest puszka, w którą wsiadający podróżny wrzuca należną za kurs opłatę lub bilety.

Podróżni kontrolują się w tym względzie wzajemnie: pasażer, któryby nie spełnił obowiązku, stałby się celem uwagi wszystkich innych pasażerów, co znów zwróciłoby uwagę woźnicy. Wypadek, że pasażer może nie posiadać drobnej monety lub biletu, jest przewidziany: woźnica jest zaopatrzony w drobną monetę wszelkiego gatunku i obowiązany jest do zmiany.

Podróżnikowi, który wiele podróżował po Australji, nie zdarzyło się ani razu dostrzedz oszukaństwa, a woźnica zapewniał go, że stratę z tego powodu nie można oceniać więcej nad funt szterling rocznie.

Nowa Południowa Walja.

«Kolonja ta w niedługim czasie stanie się ogniskiem południowej półkuli, najświetniejszym klejnotem oceanu Spokojnego.» — Te prorocze słowa wyrzekł kapitan Philip, gdy w roku 1788 zakładał pierwszą australijską osadę nad zatoką port Jackson.

Jakże świetnie przepowiednia ta się spełniła! Ażeby się o tym przekonać, przyjrzyjmy się geograficznym warunkom tej krainy i działalności zamieszkującego ją czło-wieka.

Ukształtowanie powierzchni tej krainy jest uwarunkowane przez pas górzysty, ciągnący się równolegle do wschodniego wybrzeża w niewielkim odeń oddaleniu, tak, iż zostaje tylko wązki pas równin nadbrzeżnych. Góry wznoszą się z równiny nagle i nadzwyczaj stromo, a dalej ku zachodowi zlewają się z wyżynami wnętrza. Położenie na wschód lub na zachód tych gór, oraz większe lub mniejsze wzniesienie nad poziom morza, wywierają bardzo stanowczy wpływ na stosunki klimatyczne różnych okolic Nowej Południowej Walji. Podczas gdy Sydney posiada prawie klimat Neapolu, w lecie nieco gorętszy, w zimie nieco zimniejszy, to na grzbietach wyżyn śnieg pada przez większą część roku, a podczas gdy równiny nadbrzeżne i ku nim zwrócone stoki gór otrzymują obfite i dość prawidłowo rozłożone opady, to poza górami, w części zachodniej kraju, przejdzie nieraz wiele miesięcy bez kropli deszczu.

Między zajęciami mieszkańców szczególnie zasługuje na uwagę hodowla bydła, to też Nowa Południowa Walja jest najpierwszą z australijskich kolonji, pod względem produkcji wełny, łoju i skór. Już w 1830 roku Macarthur okazał handlarzom londyńskim wełnę australijską, która mogła współzawodniczyć z najlepszymi gatunkami wełny europejskiej, a wkrótce udało mu się nawet dowieść, że grunt i klimat Nowej Południowej Walji «złe runo czyni dobrym, a dobre lepszym.» W krótkim czasie został on nagrodzony dwoma złotymi medalami za «wełnę równą najlepszej saskiej.» W 1813 roku trzech energiczni ludzie przebyli tamującą zaporę górską i odkryli poza nią wschodni skraj niezmierzonej równiny, na której obecnie pasą się niezliczone stada owiec i bydła. Australja dostarcza jednak nietylko wełny, ale i mięsa; od czasu gdy wynaleziono sposób uchronienia mięsa od zepsucia przez zamrażanie, Australja wysyła wiele mięsa zamrożonego do An-

gli; przychodzi ono na targi londyńskie w zupełnie świeżym stanie.

Dla rolnictwa warunki geograficzne Nowej Południowej Walji są mniej dogodne, jednak wydajność gruntu jest znaczna. Produkcja rolnicza tej kolonii przewyższa znacznie wszystkie pozostałe kolonie australijskie na lądzie, a ustępuje tylko Tasmanji i Nowej Zelandji. W okolicach północnych uprawiają trzcinę cukrową, kukurydzę i pszenicę; w południowych—jęczmień, owies, kartofle i tytoń. Produkcja wina jest też bardzo znaczna; kolonia ta posiada obszary ze wszelkimi warunkami do wyprodukowania wina, wystarczającego na potrzeby całej Europy. W roku 1840 przeniesiono tu pierwsze szczepy z nad Renu, a już obecnie wina australijskie dosięgnęły wysokiej wartości, szczególnie z wzgórzy Albury, nad górnym Murrayem. Wielką też sławę pozyskała Nowa Południowa Walja przez swe znakomite pomarańcze, które przewyższają dobrocią nawet najlepsze gatunki sycylijskie. Gaje pomarańczowe oceniają pas nadbrzeżny około Sydneyu i Paramatta. Ale najlepszych owoców dostarczają wyspy na dolnym biegu rzeki Hunter. Dobre drzewo dostarcza około 1000 sztuk pomarańcz rocznie. Znaczna część owoców używa się na wyrób wybornej marmelady, reszta idzie na handel w stanie świeżym.

Wielkie są również mineralne bogactwa kolonii, które zapewniają jej świetną przyszłość. Wydobywanie skarbów ze zwierzchniej warstwy ziemi jest tak zyskowne, że górnicy nie zapuścili się dotąd jeszcze zbyt głęboko. Obok srebra, cyny, miedzi i żelaza, szczególnie zasługuje na uwagę złoto. Komisja, wysłana na zbadanie tutejszych pól złotodajnych, zdała następujący raport: «bogactwa Nowej Południowej Walji, tak pod względem złota, jako też i innych skarbów mineralnych, były znacznie niedocenione. Znaleźliśmy wiele pól opuszczonych, które jednak za-

wierają jeszcze niezmierną ilość złota. Pola te stały się niewydajnymi dla poszukiwaczy, którzy posługiwali się tutaj bardzo pierwotnymi narzędziami, ale nie dla tych, którzy posługiwali się zechcą odpowiednimi maszynami i wielkim kapitałem.» Ważniejszym jednak od wszystkich metali, być może nawet od złota, jest węgiel kamienny. Około 400 milowy pas nadbrzeżny jest jednym wielkim polem węglowym, a stolica kolonji stoi pośrodku tej krainy węglowej. Jak Wielka Brytania większą część swego narodowego dobrobytu zawdzięcza swym kopalniom węgla, tak też i Nowa Południowa Walja, posiadająca najbogatsze, najdostępniejsze pola węglowe na południowej półkuli, stanie się zapewne najważniejszą i najbogatszą z australijskich kolonji. Węgiel australijski jest bardziej zbity, niż angielski, z którym współzawodniczy na rynkach wschodu. Węgiel ten idzie nietylko do kolonji australijskich, ale także do Jawy, Indji Wschodnich, Ameryki Południowej, Japonji, Chin i do wszystkich wysp oceanu Spokojnego, na których usadowili się Europejczycy.

Na podstawie wszystkich wyżej przytoczonych warunków i zasobów omawianego kraju, możemy sobie łatwo wytworzyć pojęcie, jak świetną przyszłość ma przed sobą ta najdawniejsza kolonja Europejczyków w Australji.

S y d n e y.

Okolica, w której kapitan Philip położył kamień węgielny dzisiejszego miasta, posiada szczęśliwe położenie nad dogodną zatoką, ale nie odznacza się przyrodzoną pięknnością; dość tylko trochę oddalić się od dzisiejszego miasta, a znajdziemy się wśród puszczy, porosłej posepnymi eukaliptami, bądź w postaci lasu, bądź zarośli; w miejscach pustych leżą chaotycznie olbrzymie złomy skaliste, a pomiędzy tym wszystkim przebłyskują spokojnie zwiercia-

dła wodne rozgałęzionej we wszystkich kierunkach zatoki. Teraz dopiero można zrozumieć, że to ręka ludzka nadała dzisiejsze piękne ramy wspaniałemu zwierciadłu niezrównanej zatoki Port Jackson. Z zupełnie uprawnioną dumą mieszkańcy Południowej Walji nazwali swoją stolicę «królową południa.»

«Nie jestem w stanie, mówi pewien podróżnik, przedstawić czytelnikowi zachwycającej piękności zatoki Port Jackson; nie widziałem nic powabniejszego! Ani Neapol, ani Rio-Janeiro, ani Lizbona, nie posiadają tylu wdzięków, ile ich się tutaj zebrało.» Szczególniej dla podróżnika, przybywającego od strony morza, widok jest wspaniały. Kto z bezmiernego, sfalowanego oceanu wpłynie przez wązki kanał na spokojną zatokę, ten zdaje się być przeniesionym nagle w zupełnie inny świat. Niegościnne wybrzeże, koło którego podróżny dotąd przepływał, nie przedstawia nic pociągającego, nagie słupy skaliste wazkiej bramy wywierają smutne wrażenie; lecz gdy tylko okręt wpłynie na spokojne lazurowe zwierciadło zatoki, wtedy nagle otwiera się panorama, przewyższająca powabem najpiękniejsze okolice ziemi. Wszędzie ciągną zmiana lądu i wody, a przytym jakież to ląd i jaka woda! Lazurowe fale omywają wybrzeża i wyspy, pokryte bujną roślinnością, pośród której tu i owdzie widnieją malownicze skaliste ściany. Głębokie wązkie zatoki wrzynają się w ląd, a długie, poszarpane przylądki wrzynają się w spokojne lustro wód, po których przeslizgują się spokojnie liczne okręty i łodzie.

Samo miasto nie ma charakteru miast amerykańskich, jaki spotykamy w innych miastach Australji: Sydnej nie jest zbudowany z jednostajnością, z matematyczną regularnością; przypomina on raczej stare miasta europejskie, tylko bez wązkości ulic. Wspaniałe gmachy mogłyby być dumą najpiękniejszych stolic Europy. Liczne ogro-

dy ozdabiają miasto; szczególnie pięknym jest ogród botaniczny nad samym brzegiem morza; tutaj spotykają się obok siebie palmy i dęby, jacaranda z Brazylii obok cyprysów himalajskich, zwrotnikowa damara obok cedrów z Libanu, dziwaczne drzewo flaszkowe, obok kalifornijskiej sekwoi, nasz orzech laskowy obok indyjskiego cyna-



S y d n e y.

monu — wogóle rośliny wszystkich stref posiadają tutaj swoich przedstawicieli.

W pewnym oddaleniu od miasta, pośród uroczych ogrodów, leżą wille bogatych kupców i squatterów, którzy w swych powozach lub yachtach udają się tutaj co wieczór. Szczególniej ostatni rodzaj lokomocji jest ulu-

biony przez Sydneyczyków: liczne wesołe ich grupy przedsięwzięją na łodziach wycieczki po zatoce, wysiadając nieraz na brzeg, gdzie zbierają ostrygi na wspólną ucztę.

Wiktorja i Melbourne.

Najmniejsza, ale najbogatsza z australijskich kolonji, Wiktorja, zajmująca południowy róg lądu naprzeciwko wyspy Tasmanji, posiada powierzchnię urozmaiconą, górzystą lub pagórkowatą; góry ciągną się tu od wschodu na zachód i zawierają pod nazwą Alp Australijskich, najwyższe szczyty całego lądu. Góry są po większej części pokryte gęstymi lasami.

Tylko w północno-zachodniej części Wiktorji rozciągają się równiny, przerywane wzgórzami piaszczystymi, które tworzą rażący kontrast ze świeżymi parkowemi krajobrazami, dzięki którym kolonja ta otrzymała piękne miano: «Australji Sześcieliwej» (Australja Felix). Równiny te składają się po części z obszarów piaszczystych, pokrytych skąpą trawą, po części z zarośli skrubu; mimo to znaczna część tych okolic jest zamieszkała przez pasterzy, którzy przez zakładanie studzien i cystern umożliwili osadnictwo. Grunt składa się tutaj z piaskowca, który panuje w zachodniej części Australji i warunkuje tam pustynność; w Wiktorji te nieurodzajne skały zajmują mniejsze stosunkowo obszary, niż w innych kolonjach Australji, w zamian tego występują w Wiktorji stare skały krystaliczne, między innymi granity, oraz skały wulkaniczne, które, po rozkruszeniu się, wytwarzają grunt urodzajny.

Wulkany Wiktorji są wygasłe, ale wybuchały jeszcze niezbyt dawno, jak to między innymi widać z tradycji, żyjącej wśród krajowców. Z wulkanów tych wylały się po-

toki lawy bazaltowej, które po zastygnięciu utworzyły liczne płaszczyny, jak np. około Melbournu i w zachodniej części kolonji. Niektóre kratery są obecnie wypełnione wodą i tworzą jeziora, nieraz bardzo znacznej głębokości; woda tych jezior jest po części słodka i przyjemna, po części zaś słona lub siarczana.

Rzeki, oprócz Murrayu, stanowiącego północną granicę kolonji, są nieznaczne: po krótkim biegu dosięgają morza; z rzek tych najznaczniejsza jest Yarra-Yarra, która do Melbournu jest dostępna dla okrętów, a powyżej posiada brzegi bardzo malownicze.

Ze wszystkich kolonji australijskiego lądu, Wiktorja, z powodu i znacznego wzniesienia i wysokiej szerokości geograficznej, posiada klimat najchłodniejszy: w Melbourne każdej zimy termometr w ciągu kilku dni spada poniżej punktu zamarzania; nigdy jednak nie dochodzi do trzech stopni zimna. Mimo to śnieg był tam w ciągu wielu lat tylko raz widziany i znikł natychmiast po spadnięciu. Tylko najwyższe góry Alp Australijskich pokrywają się każdej zimy białą oponą śniegu, która znika dopiero pod gorącym słońcem grudniowym (lato południowej półkuli). Jakkolwiek temperatura zimy jest w Melbourne o parę stopni niższa, niż w Sydneyu, to jednak w lecie bywa nieraz znacznie wyższą: w Melbourne obserwowano mianowicie blisko 44° ciepła (Celsjusza); średnia roczna zaś wynosi 14° tak, iż Melbourne odpowiada pod tym względem południowej Europie (Marsylja, Bordeaux, Bologna, Madryt).

Roślinność kolonji na południe od gór jest bardzo bujna; spotykamy tutaj olbrzymie eukalipty, do stu metrów wysokie, współubiegające się o pierwszeństwo ze słynnymi drzewami Kalifornji; z innych roślin szczególną siłą i świeżością odznaczają się paprocie, rosnące w wilgotnych górskich dolinach; dosięgają one wysokości drzew

i tworzą wrażenie nieprzebytych lasów palmowych, sple-
tanych ljanami.

Miastem głównym kolonji jest Melbourne, największe
miasto Australji. Właściwe miasto, Melbourne City, leży
na prawym brzegu rzeki Yarra-Yarra; dokoła rozłożyły
się liczne przedmieścia, jakby oddzielne miasta. Melbourne
więc nie jest właściwym miastem, lecz grupą pięknych
miasteczek, rozdzielonych parkami; wszystkie te miastecz-
ka posiadają wspólne ognisko w Melbourne City. Tutaj
są główne gmachy handlowe i rządowe, najwspanialsze
kościóły, uniwersytet i biblioteka bardzo pięknie zbudowa-
wana i bardzo bogata. Wstęp do tej biblioteki jest wolny
dla każdego; książki stoją otworem, każdy może brać, jaką
mu się podoba i zasiąść do czytania przy pięknym stole, na
wygodnym fotelu. Podłogę pokrywają grube dywany dla
stłumienia odgłosu kroków, który mógłby przeszkadzać
czytającym. W lecie panuje tu orzeźwiający chłód, w zi-
mie przyjemne ciepło. Nic dziwnego, iż bibliotekę taką
odwiedza rocznie kilkakroć sto tysięcy ludzi. Dla kobiet
jest przeznaczona osobna sala do czytania. Asystenci bi-
bliotekarza mówią prawie wszystkimi językami ziemi,
aby mogli udzielić objaśnień każdemu cudzoziemcowi. Bi-
blioteka posiada wszystkie czasopisma ziemi dla użytku
każdego czytelnika.

Prócz tego jest jeszcze wiele innych wspaniałych gma-
chów, jak pałac gubernatora, olbrzymi magazyn wełny,
obserwatorium astronomiczne, posiadające jeden z naj-
większych teleskopów i t. d. Największą dumą miasta
jest wspaniały ogród botaniczny, gdzie powabne gazony
trawiaste, ożywiane sztucznym nawodnieniem, pochylają
się ku jeziorom, przez które prowadzą malownicze mosty;
gdzie róże, kamelje, lilje wodne i t. d., rozwijają swe piękne
barwy, a palmy, agawy, paprocie, araukarje, kaktusy i t. d.
swemi dziwnymi kształtami pobudzają fantazję widza.

Melbourne słynie z wyścigów konnych, które ściągają niezliczone tłumy ze wszystkich kolonji i współbiegają się z angielskimi. Melbourne jest wreszcie ogniskiem, w którym zbiegają się liczne koleje żelazne z wnętrza lądu i liczne linje parowców z oceanicznego przestworu.

Tasmanja.

Tasmanja, z powodu swojego łagodnego klimatu, jest od dawna miejscem letnich wycieczek dla Australijczyków, a z powodu swojej malowniczej przyrody, celem turystów. Całe terytorjum kolonji składa się z wielkiej wyspy głównej i z licznych wysp drobnych, leżących na północ i południo-wschód od wyspy głównej.

Wyspa główna ma formę trójkątnej tarczy, u dołu zaostrzonej, lub też formę serca. Co do wielkości, wyspa ta równa się Ceylonowi lub Irlandji. Linja brzegowa biegnie wogóle dość jednostajnie, ale w szczegółach skaliste i strome krawędzie wyspy są głęboko ponacinane. Pod względem ukształtowania powierzchni, Tasmanja przedstawia sieć łańcuchów górskich, między którymi ciągną się doliny i płaszczyny. Liczne jeziora górskie, będące źródłowiskami licznych rzek, nadają górom tutejszym charakter alpejski.

Rzeki odznaczają się zupełnie innym charakterem, niż rzeki australijskiego lądu; zasilane przez zawsze pełne jeziora górskie, obfite ich wody toczą się przez cały rok w głębokich łożyskach przez wspaniałe lasy i zieleniejące łąki, tworząc często pieniające się wodospady, ku wązkim zatokom ujściowym. Rzeki te, rozplywające w różne strony z wnętrza wyspy, pozwalają żeglarzom wpływać z morza w głąb kraju.

Od dwóch północnych kątów «tarczy» wyspy głównej, wybiegają ku lądowi Australji dwa równoległe szeregi

wysepek. Wyspy wschodniego szeregu są górzyste i bezpłodne; mieszkańcy ich otrzymują tran z ptaków morskich; ptaki te, karmiące się rybami, przebywają w norach; ludzie wyciągają ptaka z nory, naciskają mu piersi i szyję i wtedy tran (wytworzony z pokarmu rybiego) spływa do naczynia, podstawionego pod dziób. Po takiej operacji, ptak, puszczonej wolno, zmyka natychmiast do swej nory, gdzie znów zbiera się w nim tran i t. d. Cała ta manipulacja da się porównać do dojenia krów.

Wyspa King, leżąca w zachodnim szeregu, zasłużyła sobie na nieszczęsną sławę z powodu częstego rozbijania się okrętów, przy których prawie zawsze większa część załogi i pasażerów ginęła u skalistego wybrzeża, gwałtownie chłostanego przez fale. Obecnie liczne latarnie morskie zmniejszają nieco niebezpieczeństwo tego straszliwego wybrzeża.

Kto w dzień pogodny z wysokości latarni morskiej na przyładku Wilsona, południowym krańcu australijskiego lądu, zwróci oczy ku Tasmanji, ten na widok licznych skał, sterczących z cieśniny Bassa nie może oprzeć się wrażeniu, że ma przed sobą ląd zatopiony, który niegdyś stanowił most, łączący kontynent Australji z wyspą Tasmanją.

Dzięki wyspowej naturze, a stąd wilgotniejszemu klimatowi, Tasmanja posiada bujniejszą roślinność, niż sąsiedni ląd Australji. Na stokach góry Wellingtona rosną wysokopienne lasy pierwotne, w których eukalipty przenoszą sto metrów wysokości; w wilgotnych wąwozach rosną drzewiaste paprocie, a nad zachodnimi rzekami nadbrzeżnymi rośnie pewien gatunek sosny, dostarczającej wybornego materiału na budowę okrętów.

Ze zwierząt, pies workowaty, największy ze wszystkich mięsożernych torbaczy, równy mniej więcej szakalowi, był dawniej niezmiernie dokuczliwy kolonistom

przez swe nocne odwiedziny obór i kurników. Jeszcze bardziej szkodliwym w tym względzie był inny torbacznik, zwany przez angielskich kolonistów native devil, t. j. krajowym djabełem, który czynił prawie niemożliwą hodowlę drobiu, obecnie jednak oba te szkodniki są prawie wytępione.

Żadna z australijskich kolonji, wyjąwszy jedynie Nową Zelandję, nie może się pod względem produktyjności mierzyć z Tasmanją. Obok wybornej pszenicy, zasługuje tu na uwagę szczególnie chmiel, którego wiele wywozi się na sąsiedni ląd. Właściwością wyspy jest bardzo rozległa uprawa owoców: jabłka, gruszki, wiśnie i śliwki udają się tu wybornie, zarówno jak brzoskwinie, morele, figi i migdały. Owoce te, oraz winogrona stanowią przedmiot znacznego wywozu tak w stanie świeżym, jako też w konserwach i powidłach. Ważnemi przedmiotami wywozu są także zboże i warzywa. Nie dziw więc, że Tasmanję nazwano «ogrodem Melbournu.»

Wytępienie Tasmańczyków.

Pierwsze zetknięcie się Europejczyków z krajowcami Tasmanji było przyjazne; Tasmańczycy występowali wszędzie życzliwie, skłonni do usług. Gdy jednak pewnego razu Europejczycy gromadę krajowców, polujących na kangury, spotkali wystrzałami, od których 15 z nich padło, wówczas rozpoczęła się zażarta, z okrucieństwem prowadzona wojna, która zakończyła się zupełnem wytępieniem rasy słabszej. Prawo angielskie tak mało zajmowało się słusnością krajowców, iż gubernator Collins musiał wydać nowe prawo, że zamordowanie Tasmańczyka będzie karane, jak rzeczywiste morderstwo; jednakże z historii można się przekonać, że tak to prawo, jak i inne, pozostały martwą literą, bo sądy zawsze uwal-

niały oskarżonego dla braku dostatecznie prawnych dowodów.

Europejczycy nie tylko odparli krajowców od obfitszych w pożywienie wybrzeży morskich, między surowe i ubogie góry, ale nawet porywali im żony. Zbiegli przestępcy, którzy żyli we wnętrzu wyspy z rabunku, także nie przyczyniali się do ułagodzenia stosunków między krajowcami i białymi. Rozporządzenie rządowe, wykluczające krajowców z obszarów, zajętych przez kolonistów, musiało być, naturalnie, uważane przez pierwszych, jako naruszenie ich odwiecznych praw. Pozbawieni środków do życia, krzywdzeni na każdym kroku, traktowani jak zwierzęta na swej własnej ziemi przez przybyszów i zabijani wreszcie bezkarnie, ci ludzie, początkowo życzliwi i przyjaźni, zostali wyprowadzeni z cierpliwości, zmuszeni do rozpaczliwej walki; zaczęli więc ze swej strony mordować wszystkich białych, jacy im tylko wpadli w ręce. Rząd nałożył 5 funtów szterlingów nagrody za schwytanie dorosłego krajowca, a dwa funty za schwytanie dziecka. Rezultatem tego było kilkuset schwytanych, a dziesięćkroć więcej zastrzelonych, lub zakłutych. Kosztem 70,000 funtów szterl. urządzono wreszcie oblęgę na krajowców: rozciągnięto kordon strzelców w poprzek wyspy; kordon ten, posuwając się zwolna, starał się zapędzić krajowców w pułapkę na wążki półwysep. Jednakże rezultatem tego kosztownego polowania był tylko jeden czarny dzieciak, reszta wymknęła się niepostrzeżenie pomiędzy prześladowcami, a płonące osady zbyt prędko uwiadomiły łowców o ich niezręczności. Powróciwszy do domów, zastali tam poczerniałe ruiny, a pod niemi zwęglone trupy swych żon i dzieci.

Nareszcie udało się jednemu człowiekowi osiągnąć to przez układy, o co napróżno starano się przy pomocy

wielkich kosztów: pewien budowniczy z Hobartu, nazwiskiem Robinson, zobowiązał się drogą pokojową skłonić krajowców do wywędrowania. Sam jeden, bezbronny, udał on się bez bojaźni pomiędzy rozwścieczonych czarnych; przedstawiając im ich smutne położenie, przyobiecwał spokojniejszą przyszłość, jeżeli zdecydują się swe dotychczasowe siedziby zamienić na inne, gdzie nie będą narażeni na starcia z białymi. Na skutek tego przewieziono wszystkich krajowców na wyspę Flinders w cieśninie Bassa i tam zaczęto udzielać im lekcji cywilizacji i katechizmu. Jednakże Tasmańczycy nie pozbyli się skłonności do życia tułaczego i nieraz całymi dniami błakali się po lasach.

Ubranie europejskie krępowało ich niezmiernie i było im przykre. Wskutek tak zmienionych warunków życia, oraz wskutek głębokiej tęsknoty za krajem ojczystym, liczba Tasmańczyków zaczęła się nadzwyczaj szybko zmniejszać. W roku 1861 zostało się ich tylko 18-tu (w 1815 liczbę ich oceniano na 5000). Ostatni Tasmańczyk, król Billy, albo William Lanne, umarł w 1869 roku, mając lat 34, w roku zaś 1876 plemię Tasmańczyków wymarło



Król Billy.



Truganini.

całkowicie wraz ze śmiercią ostatniej Tasmanki, Truganini, albo Lalla Roukh.

Nowa Gwinea.

Długi czas Nowa Gwinea walczyła z Borneo o godność największej wyspy na ziemi, nowsze pomiary rozstrzygnęły wątpliwość na korzyść Nowej Gwinei; obszar tej wyspy, dosiegając mianowicie blisko 14300 mil kwadratowych, przenosi swą dawną współzawodniczkę więcej niż o 900 mil kwadratowych. Kształt Nowej Gwinei jest podobny do żółwia, lub do jakiegoś jaszczura z geologicznej przeszłości; ze zbitej, eliptycznej masy, niby kadłuba, wyrastają na północo-zachód i na południo-wschód dwa półwyspy, niby głowa i ogon; pierwsza posiada niby paszczekę otwartą ku zachodowi (zatoka) i łączy się bardzo cienką szyją z kadłubem (przesmyk).

Wzdłuż wyspy ciągną się wysokie góry, które ją dzielą na dwie części, różniące się co do pory opadów. Dzikie formy tych gór widoczne są tylko w głębokich dolinach; zdala nikną pod szatą zieleni, jasnej, trawiastej u dołu, ciemnej, lesistej u góry; na tym ogólnym tle zielonym połyskują tu i owdzie srebrne nici wodospadów.

Pomimo obfitości deszczów, szczególnie na północnej stronie gór, Nowa Gwinea nie posiada wielkich rzek; za mało tu bowiem miejsca dla ich rozwoju. Największą z nich jest rzeka Fly; wypływa ona z centrum Nowej Gwinei i tworzy w biegu swym mnóstwo zakrętów, tak, iż droga wodna przenosi 4 a nawet 5 razy długość drogi lądowej w linii prostej; przy ujściu na południowym wybrzeżu wyspy, tworzy olbrzymią deltę, którą pokrywa wszędzie nieprzebyta roślinność.

Klimat Nowej Gwinei tworzy rażącą sprzeczność z klimatem przeciwległej Australji; tam wielka susza, tutaj

obfitość opadów, która przy zwrotnikowym słońcu wytwarza nieprzebyte lasy, kryjące rozległe bagna. Mimo to, w porze suszy klimat jest dość zdrowy, ale w czasie deszczów, gdy cały kraj pokrywa się zasłoną mgły, która powstrzymuje nawet pionowe promienie zwrotnikowego słońca, powstają febry, którym rzadko kto z Europejczyków może stawić czoło; nawet krajowcy cierpią wiele od miazmatów wilgotnego wybrzeża.

Pory roku zależą od zmiany kierunku monsunów, w obrębie których leży Nowa Gwinea. W czasie panowania monsunu południowo-wschodniego (zima) południowa część wyspy ma porę dżdżystą, północna zaś—porę suszy; w czasie panowania monsunu północno-zachodniego (lato)—odwrotnie: północna część wyspy ma porę dżdżystą, południowa zaś—suchą. Temperatura w tak blizkim sąsiedztwie z równikiem jest naturalnie wysoka; różnice zaś między porami roku są nieznaczne.

Z powodu wilgoci i ciepła, świat roślinny jest nadzwyczaj bujny. Bogata roślinność okrywa najwyższe szczyty gór, a błotniste wybrzeża rzeczne tworzą nieprzebyte pierwobory; przeważają paprocie i palmy, z których wiele dostarcza pożywienia, np. palma sagowa. Najpiękniejszy widok przedstawiają różne palmy wachlarzowe. Lasy, splecione ljanami, schodzą aż do morza, a nawet wkraczają w nie, pokrywając fale morskie. Wprawdzie bujność tutejsza ustępuje nieco indyjskiej, ale ją bardzo przypomina, i tylko w południowej części wyspy występowanie akacji i eukaliptów zdradza bliżkość Australji, z której rośliny te musiały tu zawędrować.

Świat zwierzęcy jest ubogi pod względem zwierząt ssących, ale za to bardzo bogaty w ptaki.

Australijski kangur przystosował się do tutejszych warunków, mianowicie lesistości: utracił siłę ogona, służące-

go w Australji do szybkich skoków po stepie, a natomiast nabył silnych pazurów do łażenia po drzewach.

Między ptakami wiele odznacza się wspaniałym ubarwieniem, szczególnie ptak rajski, któremu z różnych stron ciała wyrastają pęki piór różnobarwnych z metalicznym połyskiem.



Ptak rajski.

Mieszkańcy Nowej Gwinei są prawie wszędzie ludożercami, niektórzy zjadają nawet trupy swych rodaków. W 1858 roku osiadł na mieliźnie w pobliżu Nowej Gwinei okręt, wiozący 317 chińskich kulisów do Australji; gdy w pół roku później zjawiał się tu okręt francuski dla wybawienia rozbitków, zastał tylko czterech przy życiu; reszta była pożarta przez krajowców. Panuje też tutaj stary malajski zwyczaj «rabowania czaszek»: nieraz wojny bywa-

ją przedsiębrane tylko dla zdobycia głów. Głowy zabitych nieprzyjaciół, jako wielkie trofea, są suszone na ogniu, malowane i zawieszane we drzwiach domów. Jeżeli w takiej wyprawie zostanie zdobyta tylko jedna głowa, to dzieli się ona na kawałki pomiędzy wodzów i tego, który ją zdobył. Kto zaś zdobył wiele głów, ten osiąga godności t. zw. *mambris*, t. j. przywódcy w tańcach i na uroczystościach, oraz przodownika w bitwach i może nosić pióra białej papugi kakadu. Niekiedy też głowy te, powleczone woskiem i ozdobione muszlami, opatrzone rączką ze trzciny, napeł-

nione twardemi pestkami lub kamykami, służą jako instrumenty muzyczne podczas tańców uroczystych. Mieszkańcy Nowej Gwinei znali środki pobudzające na długo przedtem, zanim Europejczycy zapoznali ich z wódką. Umieli oni wyrabiać napoje odurzające z soku palm i trzciny cukrowej; betel żują wszędzie; tytuń jest im też znany.

W wielu okolicach Nowej Gwinei człowiek nie wznioł



Świątynia Papuańska.

się jeszcze ponad stan łowiecki i rybacki; po części ciągle napady korsarzy zmusiły mieszkańców do takiego życia, nie pozwalając zajęcia się rolnictwem: we wnętrzu wyspy i na niektórych spokojniejszych wybrzeżach rolnictwo się rozwinęło.

O pojęciach religijnych i stosunkach politycznych wyspiarzy niewiele posiadamy wiadomości. W zachodniej części wyspy niektóre plemiona przyjęły islam, który znajduje więcej zwolenników, niż chrześcijaństwo; islamizm ich

jednak jest czysto formalny, polega głównie na powstrzymaniu się od wieprzowiny; przysięgają oni na swoją broń, na słońce, na pewną wysoką górę: «góra niech ich zasypie, broń niech ich przebodzie.»

Wyspiarze wierzą w dobre i złe duchy, lecz tylko pierwszym składają ofiary; Papua, przynoszący ofiary, udaje się z workiem ryżu, owoców i t. p. pod wysokie drzewo, gdzie krzykiem stara się zwrócić na siebie uwagę ducha; następnie pociąga parę razy dym z palącego się cygara i czeka, aż duch zstąpi ku niemu w dymie i udzieli mu wiadomości o losach jakiegoś przedsięwzięcia, o przebiegu choroby przyjaciela i t. d. Krajowcy są nadzwyczaj skryci pod względem wszystkiego, co się tyczy ich religji, nie chcieli też początkowo dopuścić Europejczyków do zwiedzenia swych świątyń, które wznoszą się na północnym i północo-zachodnim wybrzeżu wyspy. Jedna z takich świątyń jest zbudowana w wodzie, na palach. Podłoga składa się z gałęzi; ściany są zaledwie na metr wysokie; nad tym wznoszą się dwa dachy, jeden nad drugim, oba w kształcie łodzi; na belkach znajdują się rzeźby, przedstawiające ludzi, krokodyle i węże; prócz tego stoją tam małe figury, wyrzniete z drzewa; gdy mianowicie Papua straci ojca, wycina taką figurę, stawia ją w świątyni i modli się niekiedy do niej; gdy zaś sam umrze, to tę figurę, jako już bezużyteczną, strącają do wody, a syn jego wyrzyna nową.

Papuowie są nadzwyczaj zabobonni, co jest naturalne u ludu tak nisko stojącego: przy rozpoczęciu budowy domu lub łodzi, zwracają uwagę na lot i głosy ptaków; zdają się na tak zwane sądy boże, jak to bywało u nas w wiekach średnich: dwaj poważnieni muszą zanurzyć ręce w gorącej wodzie i który z nich dostaje bąbli, ten uważany jest za winnego; to znowu oba rzucają się w morze, i kto dłużej wytrzyma pod wodą, temu przyznają słuszność.

Stanowisko kobiet jest ciężkie: na nich spoczywają wszystkie prawie roboty w domu i w polu, a w podróży muszą one służyć jako zwierzęta juczne. Jednak żony odznaczają się wiernością dla swych mężów, podczas gdy ci ostatni wypędzają swe żony, gdy te się zestarzeją; wielożeństwo jest prawie wszędzie praktykowane. Żonę się kupuje; układ zawiera się zwykle bez pytania osób najbardziej interesowanych, zaręczyny odbywają się zazwyczaj już w dzieciństwie.

Dzieci są traktowane bardzo pobłaźliwie, jakkolwiek znaczna ich część bywa zabijana zaraz po urodzeniu. Straszny ten zwyczaj panuje tu powszechnie i objaśnia się przeciążeniem kobiet pracą. Rzadko też bywa więcej, niż dwoje dzieci w małżeństwie i to w wieku różniącym się o 3—4 lat. Miłość dla dzieci żyjących i boleść po umarłych są wielkie, szczególnie po śmierci dziecka pierworodnego. Ciało takiego dziecka kładą do czółna, postawionego na rusztowaniu, i matka utrzymuje pod nim cią-



Dziewczyna papuańska.

gły ogień, aż głowa oddzieli się od korpusu. Wtedy ciało grzebią, głowę zaś zabiera matka do domu i wysusza; brakujące uszy i nos zastępuje rzeźbą z drzewa, oczy zaś barwnymi pestkami. Taką samą czcią otaczają głowy innych członków rodziny. Są to t. zw. „*korwars*,” bożki domowe, które pozostają w domu po wszystkie czasy i przy każdej ważniejszej okoliczności są pytane o radę; gdy jednak rada ta wypadnie niepomyślnie, bożki otrzymują surową naganę.

Moralność Papuów nie stoi zbyt wysoko: kradną oni co i gdzie się tylko da. Podróżnik włoski *d'Albertis*, musiał rzucić postrach na krajowców za pomocą rakiet, wybuchów dynamitowych i innych sztuczek, ażeby mu oddali różne przedmioty, skradzione w jego domu. Gdy mu pod jego nieobecność, zrabowali mieszkanie,



Papuowie na czatach.

kwów i oświadczył, że musi mieć skradzione przedmioty napowrót w przeciągu 24 godzin, inaczej będzie strzelał do każdego krajowca, przechodzącego koło jego mieszkania. A panowało ono nad wieloma drogami lądowymi i nad cieśniną, dzielącą Nową Gwineję od wysepki nadbrzeżnej. Następnie porobił przygotowania do rozpaczliwej obrony w razie napadu: nabił kilka bomb i podminował drogi, wiodące do jego domu, tak, iż mógł za pomocą długiego lontu wysadzić je

w powietrze, nie narażając się sam na niebezpieczeństwo. Gdy 24 godzin upłynęło, a skradzione rzeczy nie zostały oddane, rozpoczął kroki zaczepne: najprzód sprawił wybuch pięciu ładunków dynamitu, który, powtórzony przez echo, robił wrażenie kanonady; następnie puścił rakiety na najbliższe domy krajowców, oświecając swój własny ogniem bengalskim. Wszystko to wywołało ogromne zamieszanie wśród dzikich; nazajutrz zjawili się najznakomitsi naczeln-

nicy z ludźmi, którzy przynieśli znaczną część rzeczy skradzionych, a tak drżeli ze strachu, że nie mogli słowa przemówić. D'Albertis zażądał jednak i reszty rzeczy skradzionych, aby zaś okazać swoją stanowczość, strzelił nazajutrz do naczelnika, który przechodził koło jego domu w odległości trzystu metrów; umyślnie jednak chybił, gdyż chciał go tylko nastraszyć; podobnie uczynił z łodzią krajowców, przepływającą cieśninę: kula koło samej łodzi uderzyła o skałę. Skutek okazał się nazajutrz: przyniesiono znów wiele rzeczy; niektórych jednak jeszcze brakowało. D'Albertis skorzystał ze sposobności, aby ludzi tych zbliżka przekonać o swej potędze: najprzód kazał im gruby kawałek cynku przebić lancami, ale te tylko się stępiły, podczas gdy on wystrzałem przebił cynk na wylot; następnie celnie strzelił do cienkiego drzewa, o 100 metrów odległego, aby okazać, że człowiek mu nie ujdzie. Podczas tego dzicy siedzieli na wielkim kamieniu, który d'Albertis podminował; później kazał im się usunąć i zapalił potajemnie lont: nastąpiła straszliwa eksplozja, kamień rozleciał się na tysiączne kawałki. Dzicy, przerażeni, prosili o litość i zwrócili wszystkie przedmioty. D'Albertis zasłynął wśród nich, jako istota nadprzyrodzona.

Wyspiarze Nowej Brytanji (Archipelagu Bismarka).

Taniec Duk-Duk.

Mieszkańcy Nowej Brytanji należą do rasy melanezyjskiej, co okazuje się z ich włosów wełnistych i ciemnej barwy skóry, która zresztą przechodzi różne odcienie od miedziano-brunatnej do czarnej. Często jednak pierwotna barwa skóry znika pod pomalowaniem na czarno, biało i czerwono. Szczególniej ceniony jest kolor czerwony. Gdy podczas odwiedzin okrętu *Gazelli*, pewien wyspiarz został na żądanie pomalowany na czerwono

i okazywał się Europejczykom, wzbudziło to wielki zachwyty w jego towarzyszach, którzy starali się zazdrośnie część jego ozdoby przenieść palcami na swoje własne ciało. Naturalnie, że o ubraniu niema tu prawie mowy, za to wszelakie ozdoby są bardzo liczne: na szyi noszą perły, opaski obwieszane zębami, muszle i t. d.; na rękach pierścienie z szyldkretu i muszli, nos służy także za miejsce do ozdób. Uszy bywają przedziurawiane, rozcinane i wyciągane tak, iż zwisają aż do ramion. Włosy



Melanezyjczyk.

farbują na żółto lub smarują wapnem, niekiedy tylko po jednej stronie, podczas gdy drugą, krótko ostrzyżoną, pozostawiają czarną. W szczególnych zaś wypadkach zawieszają dzwonki, zrobione z muszli, w którą wkładają ząb; przytym przywdziewają dziwaczne, brunatne, białe lub czarne maski, używane w tańcach religijnych i zwykłych. Używanie ma-

sek jest w związku z pojęciami religijnymi: mieszkańcy tutejsi, jak i inni Melanezyjczycy, oddają cześć czaszkom, t. j. przodkom. Z czią tą związana jest pewna uroczystość zwana «Duk-Duk,» gdyż przy tańcach, wykonywanych podczas tej uroczystości, posługują się szczególnie pomalowanymi maskami, z czaszek zrobionymi; przez naśladowanie części mięsnych i pomalowanie, czaszkom tym starają się nadać podobieństwo do zmarłych bohaterów, do których należały.

Duk-Duk, jest to w pojęciu wyspiarzy, najwyższa istota, duch olbrzymich rozmiarów, który wędruje z wyspy na

wyspę; na każdej gości i umiera, ażeby na drugiej zmar-
twychwstać i też same odmiany przebywać.

W pewnym, perjodycznie powtarzającym się dniu, wódz
objawia narodowi, że «Duk-Duk przychodzi;» wówczas na
obszarze poświęconym, w osobnym domu, zaczyna się
przygotowywanie masek: «Duk-Duk się lęgnie!»



Taniec «Duk-duk.»

Do tego poświęconego obszaru nie mają wstępu ani ko-
biety, ani nikt z osób, nie należących do związku. Wyjawia-
nie używanych przy tym zwyczajów, karane jest śmiercią.
Tancerz, któremu, czy to wskutek upadku, czy innej jakiejś
przygody, zleci maska, ulega też karze śmierci; tenże sam
los spotyka każdego, któryby chciał podpatrywać przygo-
towania do uroczystości.

Maski składają się z liści pewnego gatunku kolczastej
trzciny, tworzą one odzienie, wiszące wolno na ciele. Na

tym sterczy, niby wieża, właściwa maska z włókien palmowych, fantastycznie pomalowana, ozdobiona piórami, muszlami i t. d. Ta górna część musi być przytrzymywana rękami.

Gdy wszystko już jest gotowe, uczestnicy uroczystości siadają do pięknie przystrojonej łodzi i płyną od wyspy do wyspy, zbierając «dewaro,» t. j. pieniądze dla wodza, w postaci muszel, nawiązanych na patyczki trzciniowe; to zdaje się być głównym celem uroczystości. Następnie powracają do domu Duk-Duka, gdzie tańczą i uczują. Po upływie około 14 dni Duk-Dukowi zaczyna się przykrzyć na tym świecie, ma zamiar umrzeć. Ludzie zbierają się w domu Duk-Duka, zapasy żywności dzielą na tyle części, ile jest zebranych masek i przed każdą z nich stawiają jadło. Znaczy to, że «Duk-Duk chce jeść.» Po kilku minutach oczekiwania, młodzi ludzie chwytają maski i wynoszą na spalenie. Na tym kończy się uroczystość Duk-Duka na rok bieżący, aby w następnym powtórzyć się w ten sam sposób.

Nowe Hebrydy i ich mieszkańcy.

Archipelag ten, jak i wszystkie prawie wyspy pasa wewnętrznego, ciągnącego się równolegle do wschodniego wybrzeża Australji, posiada naturę wulkaniczną; wiele tu wulkanów nietylko wygasłych, ale i czynnych. Działalność taką widzimy np. na wyspie Ambrym, gdzie, tak zwana, góra Kraterowa wyrzuca ciągle gęste słupy dymu i od czasu do czasu pokrywa okolicę popiołem; na Lopewji, której wulkan wydziela pary siarczane,—i na Tanna, której wulkan, wznoszący się z nagiej, pokrytej popiołem i zuzłami równiny, wyrzuca w powietrze co 5 lub 10 minut kawały lawy i dostarcza siarki. Na tejże samej wyspie znajdują się też liczne źródła mineralne, oraz źródła gorącej

wody i par siarczanych. Na innej wyspie są źródła siarczane, które z otworów kraterowych wyrzucają obłoki gorącej wody, a nawet płyną strumienie siarczane, wlewające się do pobliskiego morza.

Wnętrza wysp są wszędzie wysokie, a nawet często wyspa wznosi się stromo od samego wybrzeża, pod wodą zaś spada również nagle do wielkich głębin. Rify koralowe są rzadkie i występują tylko jako rify nadbrzeżne; wskutek tego, podobnie jak na wszystkich wyspach Melanezji, pozbawionych raf tamowych, na Nowych Hebrydach niewiele jest portów.

Przyjemny widok, jaki sprawiają na pierwszy rzut oka malownicze kształty wysp, potęguje się jeszcze zblizka, dzięki bujnej roślinności, pokrywającej góry i równiny. Palmy kokosowe wieńczą wybrzeża i roz-



Ludożercy z Nowych Hebrydów.

ciągają się cienistymi gajami daleko we wnętrze, pośród żyznych pól uprawnych; roślinność ta sięga aż do najwyższych szczytów górskich, jeżeli tylko wybuchy wulkaniczne jej nie niszczą. Na wyspach tych spotyka się roślinność indyjska z nowozelandzką; prócz tego mieszają się tu także formy łądu australijskiego. Świat zwierzęcy jest bardzo ubogi. Klimat gorący i wilgotny, jest bardzo niezdrowy, przytym orkany zrzadzają tu straszne spustoszenia.

Mieszkańcy należą do rasy melanezyjskiej z przymieszką pierwiastku polinezyjskiego, który wpłynął na upiększenie typu. Czysto melanezyjskim jest charakterystyczny zwyczaj noszenia włosów, po części spiętrzonych wysoko, po części splecionych w warkoczce, jako też farbowanie włosów i ciała na czarno, czerwono i biało. Mieszkańcy Nowych Hebryd lubią ozdoby wszelkiego rodzaju, między innymi pióra i wonne kwiaty, którymi zdobią nie tylko szyję i ramiona, ale nawet nosy i uszy; za to mają nieprzewyciężony wstręt do wszystkiego, co należy do ubrania: przepaski u mężczyzn, fartuszki u kobiet, są ich jedynym ubraniem. W wyrobie sprzętów domowych, w budowie łodzi i chat stoją niżej od innych Melanezyjczyków; tylko domy, należące do gminy (domy narad i świątynie), poobwieszane czaszkami, mają lepszą budowę. Za to w wyrobie broni widać więcej starania; główną broń stanowi łuk z kazuarynowego drzewa, na półtora metra długi, i przeszło na metr długie strzały z trzciny, opatrzone ostrzem z twardego drzewa. Ostrza te są niekiedy zatrute i opatrzone haczykami. Prócz tego wyspiarze posiadają ostrokańciste maczugi i proce. Dla ochrony od napaści, mieszkańcy otaczają wsie wałami i płytkimi rowami ukrytymi za pomocą liści; na dnie tych rowów sterczą ostrza niebezpieczne dla bosych wojowników tamtejszych.

Wojna jest prawie jedynym zajęciem mężczyzn, bitwy bywają prowadzone z dzikością większą, niż u innych Melanezyjczyków, którzy wogóle nie odznaczają się wcale łagodnością. Zabity nieprzyjaciół bywa pożerany, gdyż wyjąwszy Fidżyjczyków, niema ludu bardziej oddanego ludożerstwu, niż wyspiarze Nowych Hebryd. Gdy pewien misjonarz robił z tego powodu zarzuty wyspiarzom, odpowiedzieli mu: «święskie mięso może być dobre dla ciebie, my wolimy ludzkie.» Kanibalski smakosz woli przytym mięso człowieka kolorowego, niż białego; ten ostatni jest «za

słony.» Wszelkich rozbitków, wyrzuconych na brzeg, zjadają, uważając ich poprostu jako «ryby.»

Jeżeli wypiarzom uda się schwytać więcej niewolników, niż na jedną ucztę potrzeba, to pozostałych wiążą do drzew i roztrzaskują im nogi siekierą, aby odjąć wszelką możliwość ucieczki. Nieraz ci nieszczęśliwi muszą w tym okropnym położeniu przeżyć wiele dni i być świadkami, jak towarzysze ich niedoli są chwytni i pożerani z kolei, aż i na nich czas przyjdzie. Na szczęście wpadają oni zwykle w pewien rodzaj letargu, w którym przestają czuć i cierpieć.

Zresztą pożywienie jest przeważnie roślinne. Kobiety są wykluczone z uczt męskich, jedzą osobno, są uważane za istoty niższe, niegodne przyjmować posiłku w towarzystwie mężczyzn; na kobietach też spoczywają najcięższe roboty w polu i w domu. Mąż kupuje żonę: zwykłą cenę stanowią trzy świnie. Zbyteczne dzieci bywają zabijane, szczególnie dziewczyny; niekiedy grzebią dzieci żywcem; jednakże dla dzieci, pozostawionych przy życiu, surowi ci ludzie okazują wiele przywiązania. Dawniej, gdy dziecię umierało, musiała z nim razem być pochowaną i matka, lub najbliższa krewna, aby mu się nie przykrzyło samemu. Dlatego każda kobieta od chwili wyjścia za mąż nosiła stryczek na szyi, w widokach przypuszczalnego użytku.

Wogóle umarłemu musiała towarzyszyć na tamten świat pewna liczba ludzi: za mężem musiała iść żona; różnym znakomitościom kładziono też do grobu ludzi żywych lub zabijanych! Starców grzebano żywcem i to na ich własne żądanie, albowiem zstąpienie żywcem do grobu, poczytywane było starcom za zaszczyt. Trupy po części rzucano w morze, po części grzebano w ziemi; jeżeli to była znakomitość, to pozostawiono jej głowę sterczącą nad ziemią. Gdy z czasem mięso odpadło, to czaszkę zabierano i za-

wieszano w domach gminnych, gdzie oddawano jej cześć, albowiem dusze zmarłych wodzów miały zajmować miejsca bogów. Składano im ofiary z ludzi, których kawałkami rzucano do morza, przyczym wzywano pomocy zmarłych wodzów, szczególnie w chorobach.

Europejscy podróżnicy nie zdołali zresztą dotąd zbadać dokładnie ani przyrody tych wysp, ani człowieka; napotykają bowiem co krok na wrogie usposobienie mieszkańców, którzy ze swych leśnych i górskich kryjówek napadają na karawany.

Oto jaki wypadek opowiada nam podróżujący przed kilku laty po Nowych Hebrydach niemiecki podróżnik Pfeil. «Kraj przed nami stawał się coraz dzikszy; miejscami ścieżka była tak stroma, że musieliśmy wdrapywać się na czworakach. Dosięgnęliśmy wysokości 1800 m., gdzie pośród martwej pustyni znaleźliśmy jeszcze wspaniałe paprocie i mchy.

Mglisty deszcz przenikał we wszystkie pakunki i sprawiał nam wiele kłopotów. Zdecydowaliśmy się rozbić namioty, gdy oznajmiono nam wizytę. Dwaj szkaradni krajowcy, olbrzymiego wzrostu, z dzikim wyglądem, kłaczastymi głowami i rzadkimi brodami stanęli przed nami, zupełnie nadzy. Z rozmowy, prowadzonej z wielką trudnością, dowiedzieliśmy się, iż w odległości około godziny drogi znajduje się wieś.»

Przy końcu rozmowy, jeden z gości tęższej budowy, wyrażał się bardzo pochlebnie o podróżniku, co powtórzone przez tłumacza, robiło wrażenie, jak gdyby pochwały te odnosiły się do kwalifikacji osoby podróżnika na cele kuchenne!

Następnego dnia podróżni dosięgnęli wsi i rozłożyli się pod nią obozem. Pierwsze zetknięcie się z krajowcami wywołało kłótnię, która przyjęła ostry charakter; wyraziło się to przedewszystkim w oddaleniu ze wsi kobiet i świń.

Wobec grożącego niebezpieczeństwa, trzeba było zwinąć obóz i rozpocząć odwrót.

Wszyscy czuli, że niebezpieczeństwo wisi w powietrzu, więc Pfeil przy wymarszu udał się na koniec karawany, zasłaniając odwrót przed spodziewanym atakiem.

W takim porządku karawana przebyła strumień, nie napastowana przez nikogo; sądzono więc, że niebezpieczeństwo minęło. Dokoła panowała cisza dziewiczej puszczy.

Pfeil udał się teraz na czoło karawany dla prowadzenia obserwacji naukowych, a na koniec karawany kazał przejść metysowi, nazwiskiem Ramsay.

«Szliśmy tak, mówi Pfeil, z godzinę czasu, gdy wtym dano mi znać, że karawana została zaatakowana z tyłu. Ramsay i pewien towarzyszący mu czarny, nazwiskiem Martin, zostali zarzuceni asagajami (włóczniami), przyczym ostatni z nich został zabity. Ramsay chciał strzelić, strzelba jednak zawiodła, pobiegł więc w kierunku karawany, ale silnie rzucona włócznia trafiła go w plecy i wyszła piersiami; wtedy krajowcy rzucili się na niego, pocięli go na kawały i unieśli w krzaki.»

Pfeil z towarzyszami nadbiegł na pomoc, ale było już zapóźno, tymczasem czoło karawany zostało napadnięte przez przeważne siły krajowców; tragarze porzucili pakunki i zaczęli uciekać, lecz powrót Pfeila z towarzyszami i strzały karabinowe odparły napastników, którzy zresztą unieśli pakunki.

«Byliśmy, mówi Pfeil, napadnięci bez żadnego powodu, nie uczyniliśmy krajowcom żadnej krzywdy, owszem, ofiarowaliśmy im podarki, a jednak zabrali nam oni dwa życia.»



Nowa Kaledonja.

Nowa Kaledonja, wyspa wązka i długa, jest otoczona pasem raf koralowych, ciągnącym się w dość znacznej odległości od brzegów wyspy, tak, iż między tą ostatnią i rafą, rozciąga się szeroki kanał ze spokojną wodą, albowiem rafa stanowi groblę ochronną przeciw burzliwym falom otwartego oceanu. Przerwy w rafie, stanowiące bramy z oceanu do kanału, leżą zwykle naprzeciwko ujść rzecznych, albowiem korale unikają pasów wody słodkiej.

Nowa Kaledonja od 1863 roku znajduje się w posiadaniu Francuzów, a od 1871 służy za miejsce wygnania. Położenie wyspy w niewielkiej odległości od lądu i angielskich kolonji, nadaje jej ważne znaczenie w razie wojny między Francją i Anglią.

Wzdłuż wyspy, bliżej wschodniego brzegu, ciągnie się łańcuch gór, który pagórkami pochyła się ku wybrzeżom; właściwe równiny znajdują się tylko przy ujściach rzek. Z gór spływają liczne potoki, niknące począćsi wśród buj-

nej roślinności. Klimat przy niewielkiej szerokości wyspy ulega przeważnemu wpływowi morza, jest łagodny, mimo położenia na północ od zwrotnika Koziorożca; dla Europejczyków znośny; wschodnia część wyspy jest wilgotniejsza od zachodniej.

Wyspa wydaje mimo to płody zwrotnikowe: bawełnę, trzcinę cukrową, kawę. Dzika roślinność jest przeważnie



Przechodzenie przez las mangrowiowy.

australijska, jednak z przymieszką form indyjskich i nowozelandzkich. Najeczęściej napotykanym drzewem jest niauli, cenne z powodu swych aromatycznych własności, tworzące wraz z araukarjami wspaniałe lasy. Znaczne obszary na wybrzeżach są porośnięte lasami mangrowiowymi, których korzenie sterczą wysoko ze spokojnej, błotnistej wody morskiej; po korzeniach tych podróżnik musi nieraz z trudnością dostawać się z morza na ląd.

Świat zwierzęcy jest nadzwyczaj ubogi: krajowcy przed przybyciem Europejczyków nie znali nawet świni i psa; obecnie na zachodniej, suchszej, stepowej stronie wyspy, pasą się liczne stada owiec i bydła. Ze zwierząt miejscowych szczególnie zasługuje na uwagę notu, gatunek gołębia bardzo wielkiego; wydaje on tony podobne do ryczenia wołu, przytym barwa jego piór jest tak przystosowana do barwy liści, wśród których żyje, że tylko wprawne oko krajowca zdoła go dostrzec; jest to największe zwierzę wyspy. Moskity i szarańcza są plagami tego kraju.

Skarby mineralne wyspy są znaczne, szczególnie obfituje ona w nikiel.

Wyspy Fidži i ich mieszkańcy.

Archipelag ten, stanowiący przejście od Melanezji do Polinezji, leży między Nowemi Hebrydami na zachodzie i wyspami Tonga na wschodzie, bliżej tych ostatnich. Liczba wysp i wysepek wynosi dwieście kilkadziesiąt, a cały obszar nie dosięga nawet 380 mil kwadratowych, t. j. nie dosięga nawet $\frac{1}{6}$ Królestwa Polskiego. W każdym razie wyspy te rozmiarem przenoszą inne grupy wysp Polinezji. Na ogólnej mapie Australji przedstawiają się one jako mała plamka, inaczej jednak wyglądają rozpatrywane zblizka: obie główne wyspy to jakby małe lądy, większa z nich niewiele ustępuje obszarem gubernji Radomskiej.

Położone pośród srebrnego pierścienia fal, łamiących się na rafie koralowej, wyspy te nęcą to cudownym powabem, to malowniczą dzikością krajobrazu. Wygasłe kratery i tryskające gejzery zdradzają wulkaniczną naturę tych wysp. Kopułowate lub stożkowe szczyty, ziejące otchłanie, fantastyczne skały, niby zwaliska dawnych zamków, składają tutaj pełne różnaitości krajobrazy. Tu i owdzie widnieje wieś krajowców, uczepiona niby orle gniazdo na

niedostępnej, zdaje się, krawędzi skał. W głębokim wąwozie szumi po skałach górski potok, to spadając spieniony po czarnych skałach bazaltowych, to zwężając się między zbliżonymi ścianami wąwozu, to rozlewając się w spokojne lustro wody. W powabnych, żyznych dolinach wzrok napotyka to grupę wysmukłych palm kokosowych, to gaje drzew kasztanowych, lub chlebowych, to szeregi bananów, wyrastających wśród pól rośliny taro, która dostarcza mącznych bulw, zastępujących tam nasze kartofle.

Ale osiągnięcie tych pięknych wysp jest związane z wielkim niebezpieczeństwem, gdyż dokoła nich sterczą rafy podwodne, a przez otaczające rafy tamowe prowadzą tylko wązkie i niebezpieczne przejścia; lecz gdy tylko okręt przebędzie szczęśliwie niebezpieczną cieśninę, wpływa na spokojną, dogodną do żeglugi lagunę.

Systemat górski tych wysp odznacza się wielką chaotycznością, a wskutek tego takiż sam charakter nosi i układ siatki wodnej. W dolinach, ciągnących się tuż przy sobie, płyną nieraz rzeki we wprost przeciwnych kierunkach; rzeka Singa Taka płynie w tak głębokim i wązkim wąwozie, iż leżąca na jego dnie miejscowość Naudrau, otrzymuje promienie słońca tylko w godzinach południowych; liczne zaś dopływy rzeki Rewa, wypływają tak blisko wysokiej (około 300 m.) krawędzi nadbrzeżnej, że można stąd rzucić kamień do łożyska głęboko poniżej płynącej rzeki. Na jednym z działów wodnych rosło niegdyś drzewo, którego owoce, spadając, staczały się w dwa różne systematy rzeczne. Wobec bystrości biegu, tylko nieliczne rzeki są żeglowne; ale Fidżijczycy, nie zważają na niebezpieczeństwo i pływają po nich na tratwach.

Na wszystkich wyspach niema ani jednego kawałka ziemi, któryby nie mógł być zamieniony na pole orne lub

pastwisko. Po stronie dowietrznej (zwróconej ku panującym wiatrom) widok krajobrazu jest zupełnie inny, niż po stronie odwietrznej: pierwsza, południowo-wschodnia, posiada bujną roślinność leśną z ljanami i roślinami pasorzytnemi; ta zielona szata rozciąga się prawie bez przerwy po wzgórzach i dolinach. Zupełnie inny jest widok po stronie odwietrznej, t. j. północno-zachodniej: tutaj rozciąga się rozległy kraj trawiasty, przerwany tylko tu i owdzie grupami drzew. Część ta, nadająca się do hodowli owiec i plantacji bawełnianych, jest szczególnie korzystna dla europejskich kolonistów. Rąbek wybrzeży jest obrosnięty gęstymi wieńcami palm kokosowych; wogóle krajobraz ma charakter zwrotnikowy. Uprawa palm kokosowych zajmuje przeszło połowę obszaru uprawnego; dlatego głównym produktem świata roślinnego jest tu kopra, wysuszone jądra orzecha kokosowego.

Większą sławę zyskały wyspy Fidzi swą piękną bawełną, jednakże uprawę jej coraz bardziej zarzucają, a wprowadzają uprawę trzciny cukrowej. Znaczna znów część wnętrza kraju nadaje się najlepiej pod plantacje kawy. Jak na wyspach Sandwich taro, na wyspach Samoa drzewo chlebowe, tak na wyspach Fidzi yams stanowi główny środek pożywienia; uprawiana tu odmiana tego mącznego korzenia dosięga dwóch metrów długości i 50 km. wagi.

Wielką rolę w życiu towarzyskim odgrywa tutaj, jak i na innych wyspach Polinezji, roślina kawa (piper methysticum). Roślina ta tworzy krzew do 2 metrów wysokości; Fidżijczycy przygotowują z niej napój narodowy i szczytą się, że nie czyni on ludzi kłótliwymi jak wódka. Napój ten posiada kolor naszej kawy mlecznej, smak korzenny, lecz tak przyjemny, iż staje się wkrótce rzeczą niezbędną dla człowieka; wszyscy koloniści europejscy z ludności uboższej stali się namiętne pijakami «kawy,»

tak, iż gdy komuś trzeba napisać świadectwo dobrych obyczajów, wymienia się wyraźnie, że nie oddaje się on piciu «kawy.»

Świat zwierzęcy miejscowy jest bardzo ubogi. Europejczycy zastali tu ze zwierząt ssących tylko świnie i psy, szczury i nietoperze. Później sprowadzono konie, bydło i owce, a prócz tego kozy angielskie; tutejsza wełna angielska otrzymała medal na wystawie w Sydney.

Pierwotni mieszkańcy stanowią lud piękny, wysmukły i muskularny; nie są oni tak wysocy jak Tongańczycy, ale średnio wyżsi i silniejsi od Europejczyków; szczególnie w klasie uprzywilejowanej spotyka się, jak to zwykle bywa, osobistości rosłe i dobrze zbudowane. Kształt twarzy ma piękny owal, rysy twarzy są po większej części przyjemne, rzadko tak surowe, jakby się należało spodziewać



Fidżyjczyk.

u tych najgorszych kanibalów. Oczy poziomo osadzone, są ciemno-brunatne, nos szeroki, usta grube, zęby wspaniałe. Między młodemi kobietami napotyka się często bardzo piękne i powabne postacie, lecz starzeją się one szybko. Barwa skóry jest czekoladowa, a nawet czerwono-brunatna, to jaśniejsza, to ciemniejsza. Zresztą właściwe zabarwienie znika często zupełnie pod smarowidłem z oleju kokosowego i żółtej farby. Na ułożenie czarnej fryzury mężczyźni dawniej zużywali wiele czasu i starań: chodziło o możliwie najwyższe upiętrzenie włosów, przez co po-

wstawały wielkie peruki, które były w stanie udaremnić nawet potężne uderzenie maczugi. Niektóre z takich peruk robiły wrażenie hełmów. Dla ozdoby, a także dla wytepienia robactwa, włosy zabarwiano na czerwono wapnem. Do wykończenia takiej doskonałej fryzury biegli mistrze potrzebowali nieraz do 6 godzin. Kobiety obcinały dawniej włosy krótko, co czynią obecnie mężczyźni wszędzie, gdzie mają wpływ misjonarze. Fidżijczycy nie siedzą, tak jak my, lecz na skrzyżowanych nogach, lub też na łydkach, przyczym podeszwy spoczywają na ziemi w całości.

Nigdzie może na świecie ludożerstwo nie dosięgnęło tak wysokiego stopnia rozwoju, jak do ostatnich czasów na wyspach Fidżi. Pewien podróżnik sądzi, że jeżeli nie było ono skutkiem braku wielkich zwierząt ssących, to w każdym razie brak ten przyczynił się do spotęgowania tego zwyczaju. Wodzowie tutejsi mieli zwyczaj osadzania jeńców wojennych na małych wysepkach, ażeby stale mieć mięso ludzkie na obiad; była to formalna hodowla. Zdała od siebie mieszkający wodzowie przysyłali sobie w darze zabitych nieprzyjaciół; «delikatne jak ludzkie mięso» było przysłowiowym wyrażeniem. Jakkolwiek ludożerstwo przyjęło tu w końcu formę smakoszostwa, to jednak i tutaj, jak gdzieindziej, musiały istnieć pierwotnie pobudki religijne, albowiem pewne ofiary były przeznaczane bogom, a widelce, używane tylko przy ucztach ludożerczych, były uważane za świętość. Żywych ludzi używano za walce, na których spuszczano do morza nowe łodzie; ludzi tych następnie zjadano. Ale i zemsta grała tutaj rolę: pewien wódz zabił i pożarł swą żonę dlatego tylko, że go rozniewała. Ciała ofiar pieczono w osobnych piecach, które dotąd jeszcze wszędzie na tych wyspach widzieć się dają; niekiedy ofiary były wrzucane tam żywcem. Kobiety, oraz ludzie niższego stanu, nie mogli przyjmować udziału

w ucztach; owszem, oni sami zwykle stanowili potrawę. Wiadomo, że i w naszym społeczeństwie niektórzy odmawiają im prawa do kształcenia się; zapatrywania takie są zupełnie analogiczne do zapatrywań ludożerców Fidżijskich. Każdego zjedzonego oznaczano znakiem na drzewie, lub kamieniem, położonym na ziemi. Na jednej z wysp widziano 872 takich kamieni, które stanowiły pamiątkę po ucztach dwóch wodzów. Ostatni król, który poddał wyspy Fidzi pod panowanie Anglii, był jednym z najnamiętniejszych ludożerców: «za jego panowania piece rzadko były zimne.»

Przed objęciem w posiadanie wysp przez Anglję, panował też tutaj zwyczaj zabijania dzieci: dwie trzecie noworodków ginęło w ten sposób i to z rąk matek. Jak u wszystkich surowych ludów natury, tak i tutaj głównie dziewczyny padały ofiarą. Jednakże dzieci pozostawione przy życiu były otaczane wielką czułością i troskliwością.

Zabijano nie tylko dzieci, lecz także ludzi starych; wprawdzie przedtem pytano ich uprzejmie, czy wolą być uduszeni, czy też pochowani żywcem. Po śmierci męża żona szła dobrowolnie za nim do grobu. Gdy pewnego razu misjonarz uchronił taką wdowę od śmierci, uciekła ona w nocy, przepłynęła cieśninę i powróciła do swych krewnych, od których żądała śmierci przez uduszenie. Jakże idjotyczną i jak szkodliwą bywa często potęga zwyczaju!

To małe przywiązanie do życia było wynikiem silnej wiary, iż życie zagrobowe jest zupełnie takie same, jak ziemskie, jeżeli tylko człowiek zasłużył sobie na to swemi czynami: człowiek, który za życia zasłużył się bogom przez zabicie człowieka maczugą, mógł być już pewien szczęścia w niebiesiech. Tutaj przytym nie odmawiano, jak na wyspach Tonga, nieśmiertelności ludowi prostemu, owszem, Fidżijczycy przyznawali ją nie tylko ludziom,

ale i zwierzętom, roślinom, a nawet kamieniom i narzędziom. Gdy siekiera popsuła się, to znaczy, że dusza jej poszła na służbę bogom.

Dawniej archipelag Fidzi rozpadał się na wiele drobnych państweczek, które prowadziły ze sobą bez ustanku krwawe walki, odznaczające się okrucieństwem.

W jednej z takich wojen schwytano kilkadziesiąt dzieci, wpakowano je do koszów i zawieszono, jako oznaki zwycięstwa na masztach powracających statków. Wskutek kołysania się statków, kosze tłukły się o maszty, kalecząc nieszczęśliwe ofiary; lecz to bynajmniej nie wzruszało zwycięzców. Po powrocie, te dzieci, które pozostały jeszcze przy życiu, użyto jako celu do strzelania, ażeby młodzież uprawiała się na nich w użycie broni. Potym nastąpiły wstrętne uczty kanibalskie.

Głównym zajęciem Fidżijczyków była wojna; nie można tam było spotkać mężczyzn, którzyby nie byli uzbrojeni. Z wielu gatunków broni najulubieńszymi były maczugi z twardego drzewa, często wysadzone zębami ludzkimi; obecnie Fidżijczycy używają wszędzie strzelb. Tarcz żadnych nie używali; za to potrafili doskonale obwarowywać dogodnie pozycje: do wioski, zbudowanej na stromej skale, prowadziła wążka na jednego tylko człowieka ścieżka; palisady i kamienne wały, poprzerywane tylko strzelnicami, obwarowywały już i tak z natury trudno dostępne miejsca. Około dużych wsi przeprowadzano wały ziemne, w które wbijano pale; wszystko to było opasane bagnistemi rowami. Ścieżki, według zwyczaju melanezyjskiego, czyniono niedostępnymi za pomocą ostrych kółków bambusowych i krytych dołów, których dno było również najeżone kolcami. Na bój otwarty rzadko się odważano: Fidżijczyk umiał zwykle wiele mówić o wielkich czynach, jakich dokonał, ale w gruncie był tchórzem i zwykle wroga napadał z zasadzki. Jednakże wypowiedzenie

wojny odbywało się ze wszelkimi formalnościami. Przed wojną w obecności naczelnego wodza, była parada, podczas której każdy z kolei dużo rozprawiał o swoim męstwie, obiecywał «napełniać piece» (mowa o piecach, używanych do uczt kanibalskich) rozkruszać skały i t. d.

Chepliwość Fidżyjczyków ujawnia się na każdym kroku także i w życiu codziennym, zwłaszcza w przechwalaniu się arystokratycznym pochodzeniem, starością drzewa genealogicznego, w ścisłym przestrzeganiu śmiesznej etykiety i t. p.

Widać stąd, że próżność, błaga i fanfaronada, te szkodliwe wady ludzkie, kwitną i na drugiej półkuli, wiążąc się, jak zwykle, z ciasnotą umysłową i niskim stopniem kultury.

Handel drzewem sandałowym i niewolnikami.

Mieszkańcy Melanezji poznali Europejczyków pod dwiema postaciami: jako misjonarzy, którzy osiedlili się między nimi, aby im odjąć ich dawną wiarę, a narzucić nową, oraz—jako handlarzy i rabusiów, którzy zaczęli wycinać ich lasy, oszukiwać krajowców przy zamianie produktów miejscowych na wyroby europejskie, a wreszcie zwabiali ich podstępnie na swe wielkie okręty i zawozili na odległe wyspy, gdzie zmuszali ich do pracy na plantacjach.

Z tego powodu stosunki między Europejczykami i krajowcami były do ostatnich czasów wcale nie pocieszające; często przychodziły stamtąd wiadomości o mordach, popełnianych przez krajowców na misjonarzach, podróżnikach i żeglarzach.

Gdy w roku 1828 Europejczycy dowiedzieli się, iż na tych wyspach rośnie drzewo sandałowe, bardzo poszukiwane na targach chińskich, zaczęły się ożywione stosunki, mianowicie z Nowemi Hebrydami. Z początku handlarze

Europejscy zachowywali się dość skromnie: zarzucali koticę w pewnej odległości od brzegu i brali drzewo, które przywozili im łodziami krajowcy. Wkrótce jednak zaczęli sami wylądowywać i wycinać lasy, nie pytając krajowców o pozwolenie i nie dając im za to żadnego wynagrodzenia. Kto z krajowców stawiał opór temu bezprawiu, padał pod kulami białych.

Ale wkrótce Europejczykom zamało było rabowania lasów, zachcieli jeszcze czego innego.

Przy końcu roku 1842, na jednej z wysp trzy angielskie okręty zajęte były ładowaniem drzewa. Załoga składała się po części z białych, po części z Polinezyjczyków (Tongańczyków), którzy, tak jedni jak drudzy starali się na wyścigi pochwycić wszystko, co tylko miało dla nich jakąkolwiek wartość. W czasie wyprawy po zapasy żywności, załoga przywłaszczyła sobie 200 sztuk świń i znaczną ilość yamsu, przytym chaty i pola krajowców zostały zniszczone. Przywiedzeni do rozpaczycy krajowcy, schwycili za broń, lecz nie mogli stawić czoła broni palnej; część ich zginęła w nierównej walce, reszta zaś ukryła się w jaskini. Ale Tongańczycy wysledzili kryjówkę, ułożyli kupy chróstu przy wejściu, zapalili je i podusili wszystkich zbiegów. Niema się też czemu dziwić, że załoga innego statku, który tu wkrótce potym zawinął, została wymordowana do ostatniego człowieka.

A oto drugi przykład: do wybrzeża innej wyspy przybija okręt dla nabrania drzewa, trzech krajowców podpływa dla zawiązania stosunków handlowych. Zaledwie wstąpili na pokład, strzelono do nich; dwóch zabito na miejscu, trzeci skoczył do wody, chcąc się ratować ucieczką, ale posłana za nim kula i jemu zgotowała koniec. Niezadługo przybył tu drugi okręt i wskutek zemsty krajowców stracił prawie wszystkich swoich ludzi. Przykłady takie możnaby znacznie pomnożyć, ale i te wystarczą.

Wskutek bezmyślnego wyniszczania drzew, handel drzewem sandałowym ustał obecnie, a z nim fatalny wpływ handlarzy na krajowców. Niestety, jednak w miejsce jednego złego, nastąpiło inne, jeszcze gorsze.

Gdy tylko angielscy osadnicy wschodniego wybrzeża Australji i wysp Fidzi, zwrócili się ku uprawie trzciny cukrowej i bawełny, zaczęli, jak na plantatorów przystało, oglądać się za tanim robotnikiem. Między białymi, tam mieszkającymi, robotników takich nie można było znaleźć, tamtejsi krajowcy okazali się niezdolni do tak natężonej pracy. Mieszkańcy wysp Fidzi, silnie zbudowani i do pracy zdadni, nie mieli jednak do niej wielkiej ochoty, szczególnie wobec hojnej przyrody, która zadawałnia wszystkie, niezbyt zresztą wielkie wymagania tutejszego człowieka. Zato ubożsi mieszkańcy wysp Melanezji, ku północo-zachodowi od Fidzi, zdawali się być materiałem bardzo ku temu celowi odpowiednim. Że zaś i ci nie okazywali wielkiej ochoty opuszczania swej ojczyzny w towarzystwie znienawidzonych białych, więc zmuszano ich do tego podstępem lub siłą.

Już w roku 1856 wprowadzono w ten sposób dziesięciu młodych wyspiarzy i przywieziono do Sydneyu; przybyli oni na pokład okrętu w celu sprzedaży swych produktów, tu zwabiono ich do kajuty i uwięziono. Najprzód zawieziono ich na jedną z wysp i zmuszono do wycinania drzew sandałowych, następnie sprzedano kapitanowi okrętu z Sydneyu za świnie, yams i drzewo opałowe. Sześciu z nich uciekło na statku, odpływającym do Honkongu; z tych pięciu zmarło. Pozostali czterej, przy pomocy misjonarzy amerykańskich, dostali się do Honolulu, a stamtąd, błędząc od wyspy do wyspy, powrócili po trzech latach do ojczystych ziem.

Łatwo zrozumieć, że takie postępowanie musiało obudzić w wyspiarzach straszną nienawiść do białych żeglarzy. Wszędzie powtarzały się podobne sceny, tylko za każdym

razem biali musieli wymyślać nowe podstępny dla omylenia czujności wyspiarzy.

Postępowano np. w następujący sposób: statek pomalowany na biało, podobnie jak statki, wiozące misjonarzy, wpływa do portu; na pokładzie stoi kapitan, trzymając w ręku księgę i śpiewa z towarzyszeniem załogi pieśń, znaną wyspiarzom z ust misjonarzy. Zebrani na brzegu krajowcy, nie podejrzewając nic złego, podpływają na łodziach do statku i wspinają się na pokład, lecz tutaj załoga ich wiąże i uprowadza w niewolę.

Gdy krajowcy już i ten sposób poznali, wymyślono inny. Okręt przybywa do portu i wysyła łódź z osobistością w czarnym ubraniu z białą przepaską, w niebieskich okularach, z parasolem w ręku, z książką pod pachą, niby biblią; osoba ta ma reprezentować misjonarza. Szybko rozbiega się po wyspie wiadomość, że «biskup» przybywa, zbiera się więc gromada mężczyzn, kobiet i dzieci na wybrzeżu; ale okazuje się, że nie jest to biskup, lecz obcy misjonarz, który im objawia smutną wiadomość, że dobry biskup pozostał na okręcie i nie może go opuścić, albowiem złamał nogę. Zanim jednak przybędzie do Sydneyu dla zasięgnięcia pomocy lekarskiej, pragnąłby zobaczyć swych starych, poczciwych przyjaciół. Czy nie zechcą więc oni odwiedzić jego łoża boleści? Odpowiedź nie może być przecząca. Natychmiast kobiety udają się dla przyniesienia orzechów kokosowych, yamsu i bananów, podczas gdy mężczyźni wstępują do łodzi, aby się udać na okręt. Obcy misjonarz pozostaje na lądzie i zwiedza okolice. Wkrótce pokład okrętu napełnia się krajowcami, pozwalają im iść do chorego biskupa, leżącego w kajucie, lecz tylko po parze, kolejno. Pierwszą parę, ukazującą się w kajucie, przyjmuje nie mniemany biskup, ale silni majtkowie z nabitemi pistoletami, którzy wiążą im ręce; tym sposobem wszyscy, jedni po drugich, zostają uwięzieni.

Na brzegu krajowcy ani się domyślają zdrady, i łódki, obficie obładowane płodami wyspy, płyną do okrętu, aby tam złożyć swe dary. Nakoniec i obcy misjonarz opuszcza otaczające go kobiety i dzieci, które, gdy okręt wypływa na morze, niestety za późno zaczynają pojmywać prawdziwy stan rzeczy. Na ich rozdzierające krzyki i skargi, odpowiadają tylko drwiące śmiechy rabusiów.

Jakiegoż przyjęcia może doznać następny okręt, przypluwający do wyspy, choćby w najżyczliwszych dla wyspiarzy zamiarach?

Oto są przyczyny, dla których w gazetach australijskich pojawiają się wciąż doniesienia o mordowaniu białych żeglarzy. Wprawdzie mała flotylla angielska krąży po wodach australijskich, ale nie zdołała jeszcze w zupełności wytepić zła. Niestety bowiem, europejscy osadnicy na wyspach Fidzi i w Queenslandzie, nie zupełnie potępiają ten handel ludźmi, i prawa, wydane w celu opieki nad robotnikami melanezyjskimi, rzadko są praktykowane, naturalnie jako niepatryjotyczne!

Gdy okręt zwany «Young-Australian,» upoważniony przez rząd Queenslandzki do werbowania i przewożenia robotników, płynął pewnego razu po wodach nowo-hebrydzkich, natrafił na łódź z krajowcami; zaraz spuszczone łódzie okrętowe dla schwytania krajowców, co się też naturalnie udało; jednego z nich schwytano hakiem, zaczepionym o ciało. Gdy ludzie ci, w liczbie około 70, znalazzyszy się pod pokładem okrętu, chcieli się stamtąd w nocy wydostać, wówczas dla oświetlenia kajuty zapalono napojone naftą pakuły, zatknięte na sztabie żelaznej; wystrzelano, jak zwykle, przywódców buntu i wrzucono ich trupy do morza.

Gdy następnie, za staraniem kilku odważnych ludzi, mordercy zostali wreszcie stawieni przed sądem w Sydney, to i wtedy zaledwie udało się przeprowadzić ich skazanie.

Przysięgli jednak polecili ich łasce gubernatora, który karę śmierci zmienił na dożywotnie więzienie; ale i od tej kary zostali później uwolnieni.

Czasami jednak los mści się na zbrodniarzach. Pewnego razu niewolnicy w liczbie 280, zbuntowawszy się na okręcie, zamordowali kapitana i handlarza i wskoczyli do wody, aby osiągnąć najbliższej wyspy; niestety tylko 30 dostało się do lądu, reszta znalazła śmierć na dnie morza. Zemsta więc była drogo okupiona. Plantatorzy z pewnością twierdzili, że Pan Bóg ukarał zuchwalców, zwykle bowiem tak bywa, że ludzie interes własny, choćby niency, uważają za coś postanowionego przez Boga, za coś odwiecznego, niezmiennego i świętego.

Nowa Zelandja.

Podróż z Australji lub Tasmanji do Nowej Zelandji jest wogóle uciążliwa. Niezmierzone zwierciadło oceanu Spokojnego niema w sobie nic spokojnego, prócz nazwy: bezprzestannie prawie jest wzburzone falami tak olbrzymiemi, jakich się nie napotyka na żadnym innym oceanie.

Na południe rozciąga się mało znany, a po części zupełnie nieznanym obszar wód, z którego zaledwie tu i owdzie sterczy kilka skał odosobnionych; obszar ten gubi się w okolicach antarktycznych, do których dostęp jest zatomowany niedostępną ścianą lodową, krawędzią olbrzymiego lodowca, spływającego z okolic tajemniczego bieguna. W czasie tej żeglugi, myśl i wzrok podróżnika toną w nieznanym bezmiarze i w zamglonym horyzoncie, tak, iż wydaje nam się, że jesteśmy na krańcu świata.

Cóż bowiem w rzeczywistości znajdujemy poza krańcem południowym Nowej Zelandji, to jest na południe 43° szerokości? Zaledwie kilka wysepek odosobnionych, jak Auckland, jak wyspa Antypodów i t. d., nie zamieszkanym przez

człowieka, a służących tylko za schronienie niezliczonym ptakom morskim, jak albatrosy, pingwiny i t. d.

Do niektórych z tych wysp są przywiązane straszne wspomnienia z powodu licznych rozbić okrętów. Zdarzały się wypadki, że rozbitki przebywali po roku na tych wyspach, zanim zostali wyratowani przez jakiś zabłąkany statek; inni znaleźli tutaj swój grób. Na wielu wyspach znaleziono tylko ślady rozbitków, którzy pomarli po przebyciu długich i niewymownych cierpień; kupy kamieni oznaczają miejsca ich pogrzebu.

Opowiadania tych, którzy pozostali przy życiu, skłoniły rząd angielski do zbudowania na tych wyspach schronisk drewnianych, zaopatrzonych w zapasy żywności, opału i odzienie dla nieszczęśliwych, wyrzuconych na te niegościnne, samotne skały.

Wybrzeża Nowej Zelandji przypominają pod wielu względami wybrzeża Norwegji; jest to szereg nieprzerwany skał, częścią nagich i dzikich, częścią pokrytych bujną roślinnością. Zachodzące słońce oblewa tę bujną ciemno-zieloną szatę roślinną jakimś aksamitnym tonem i rzuca wspaniałe blaski na szczyty gór, pokryte oponą wiecznych śniegów.

Nazwa Nowej Zelandji jest wynikiem zwyczaju dawniejszych odkrywców, którzy ziemiom przez siebie odkrytym, nadawali nazwy zapożyczone ze swej ojczyzny. W danym razie nie można było obrać nazwy mniej odpowiedniej: mała, płaska, wydarta morzu Północnemu prowincja holenderska, Zelandja, jest tak podobna do wulkanicznej, napełnionej śnieżnemi górami, Nowej Zelandji, «jak śleść do wieloryba.»

Nowa Zelandja leży prawie pod naszymi stopami, to jest na wprost przeciwległym miejscu kuli ziemskiej. Jej górska masa lądowa wznosi się majestatycznie z pośród nieprzejrzaney, wiecznie ruchliwej powierzchni wodnej; góry

są pokryte bujnemi, zielonemi lasami, pośród których pojedyncze, stożkowe szczyty wkraczają do krainy wiecznych śniegów.

Wyspa ta stanowi ostatnie, południowe, podwójne ogniwo długiego łańcucha wysp, uwiecznionych wspaniałemi wulkanami i towarzyszących wschodnim wybrzeżom dwóch części świata, Azji i Australji.

Nową Zelandję nazywają niekiedy Wielką Brytanią oceanu Spokojnego i porównywają z wyspami Brytańskimi, ale obie siostrzane wyspy Nowej Zelandji leżą tu nie obok siebie, jak Anglja i Irlandja, lecz jedna za drugą. Pod względem konfiguracji poziomej zarysów wybrzeży, Nowa Zelandja przypomina odwrócone Włochy, lecz szerokość jej przenosi szerokość półwyspu Apenińskiego dwa, a często nawet trzy razy. Obszar Nowej Zelandji 270,000 klm. □ (4,900 mil □) nie o wiele przenosi obszar Anglji ze Szkocją (230,000 klm. □). Największa jej rozciągłość przeniesiona na grunt Europy, sięgałaby od źródeł Wisły do Matapanu.

Nowa Zelandja składa się z dwóch wielkich wysp, rozdzielonych cieśniną Cooka. Północna z tych wysp jest osobliwą krainą wulkanów i źródeł wrzących; południowa posiada wysokie góry alpejskie, pokryte wiecznemi śniegami. Wspaniałe lodowce, malownicze górskie jeziora, spienione wodospady, ponure wąwozy z szumiącemi potokami i t. d., stanowią ozdoby tych dzikich krajobrazów górskich, które człowiek opanowuje coraz bardziej, nęcony bogactwem skarbów mineralnych, mianowicie złotem.

Wulkany wyspy północnej. Zniszczony kraj cudów.

Właściwy obszar wulkaniczny leży we wnętrzu wyspy: tutaj, na północ od wygasłego, zawsze przysłoniętego chmurami, stożka Ruapehu i grupy po części czynnych

wulkanów Tongariro, rozciąga się pełna osobliwości kraina jeziorna (Lake-District), posiadająca źródła buchającej pary, wulkany błotne i wspaniałe gejzery.

Wysoki na 2,800 m. szczyt Ruapehu jest pokryty wiecznym śniegiem; najwyższy szczyt grupy Tongariro nie dosięga linii śnieżnej, w zimie jednak na szczytach tej grupy leżą wielkie masy śniegu; tylko najwyższy, główny stożek, rozgrzany z wewnątrz, pozostaje nagim. Na wschodnim stoku szczytu Ruapehu wypływa najznaczniejsza rzeka Nowej Zelandji, Waikato, przepływa-



Gejzery i źródła pary.

jąca przez jezioro Taupo; jezioro to powstało prawdopodobnie przez zapadnięcie się podziemnej jaskini, będącej w związku z wulkaniczną naturą kraju. Zachodni brzeg jeziora jest utworzony przez strome skaliste ściany, tak, iż wylądowanie jest tu możliwe tylko w ujściach małych rzeczek. Szeroki, płaski, piaszczysty brzeg wschodni jest ograniczony skałami pumeksowymi, od których

kraj wznosi się lesistemi tarasami ku nagim malowniczym góróm, stanowiącym kontrast z prawidłowemi stożkami wulkanicznemi, sterczącemi na południowej stronie jeziora. Z ciemno-błękitnych fal jeziora wynurza się mała wyspa, w pobliżu której żeglarzom grożą niebezpieczne wiry; według wiary krajowców mieszkają tam wodne bóstwa.

Kraina jeziorna jest ograniczona dwiema linjami równoległemi, które, dotykając wschodniego i zachodniego brzegu jeziora Taupo, biegną na północ do zatoki Plenty. W niezliczonych punktach wybuchają tu z ziemi gorące pary i wywołują liczne zjawiska, przypominające Islandję, lub «Krainę Cudów» w Ameryce Północnej.

Gorące źródła występują nad jeziorem Taupo i wzdłuż rzeki Waikato; gdzie rzeka, pędząc bystro, tworzy kaskady, tam na brzegach wznoszą się też obłoki pary, wytwarzające się z wrzących kaskad, spadających do rzeki, i z kotłów wrzącej wody, obramowanych białym cementem skalnym. «Tam—mówi pewien podróżnik—tryska w górę dymiąca fontanna i wkrótce opada, lecz zaraz w innym miejscu wznosi się druga; i ta opada, by ustąpić miejsca innej. I tak scena wciąż się zmienia, jak gdyby ktoś w jakimś olbrzymim zakładzie hydraulicznym robił próby, czy wszystkie fontanny dobrze działają i czy kaskady mają dość wody.»

W połowie drogi między jeziorem Taupo i zatoką Plenty leży cała grupa jezior, z których najznacniejsze jest Tarawera u stóp góry tegoż nazwiska. Ale najwspanialszą częścią całej krainy jeziornej jest (a raczej była) okolica jeziora Rotomahana, na południe od Tarawery, opisywana pięknymi barwami przez różnych podróżników, szczególnie przez Hochstettera.

Jezioro Rotomahana leży w dolinie, której zbocza posiadają liczne źródła wrzące i wulkany błotne. W dwóch

przeciwległych miejscach zbrocza te są pokryte dwoma, jakby zakrzepłemi strumieniami tufu krzemionkowego (osad kamienny, wydzielony z wody), w kształcie tarasów, które czynią wrażenie zamarzłych wodospadów. Tarasy te posiadają wgłębienia, niby wanny, w których zatrzymuje się spływająca woda, tym cieplejsza, im wyżej, im bliżej krateru, dającego początek strumieniowi. Gromady stalaktytów (sopli) zdobią te kamienne tarasy.



Tarasy krzemionkowe.

Jeden z tych zakrzepłych potoków krzemionkowych, Tetarata, jest lśniaco-biały, drugi, Otukapuarangi—różowy. Woda, zbierająca się w wannach, ma barwę turkusowo-błękitną.

Niestety! ten cudowny utwór natury, tak żywo opisany przez Hochstettera, już nie istnieje obecnie: straszliwy wybuch Tarawery pogrzebał te piękne tarasy pod masą popiołu.

Było to w nocy dnia 10 czerwca 1886 roku; nie zdradzało katastrofy, jaka się przygotowywała we wnętrzu.

trzu ziemi, prócz lekkich drgań w okolicach tarasów; lecz zjawisko to w tych okolicach wulkanicznych było tak zwykłym, iż nie zwróciło niczyjej uwagi. W dniu 7 czerwca towarzystwo turystów zwiedzało okolice Rotomahana, a w dniu 9 czerwca wróciło do Ohinenutu, pozostawiając we wsi Wairoa jednego młodego człowieka w odległości 16 klm. od tarasów. Wieczorem tego dnia spadły potoki deszczu i dały się uczuć silniejsze wstrząśnienia; mieszkańcy Wairoa przestraszeni, wybiegli z domów i zauważyli, że szczyt Tarawery był osłoniiony czarnymi chmurami, rozdieranymi przez błyskawice.

Okolo godziny 2-iej w nocy rozległ się straszliwy wybuch; szczyty gór zapłonęły, z rozdartych zboczy wulkanów wylały rozżarzone zuzle i popłynęły potoki lawy. Wstrząśnienia gruntu, huk piorunów, gwałtowne wybuchy z trzech kraterów, składały się na obraz pełen isticie piekielnej grozy. Odłamki skał spadały na dachy domów, a nieco później potoki błotnisteo deszczu rzuciły ostateczny popłoch na mieszkańców wsi; nigdzie nie można było znaleźć schronienia, domy waliły się pod ciężarem gradu kamieni, gniotąc nieszczęśliwych mieszkańców.

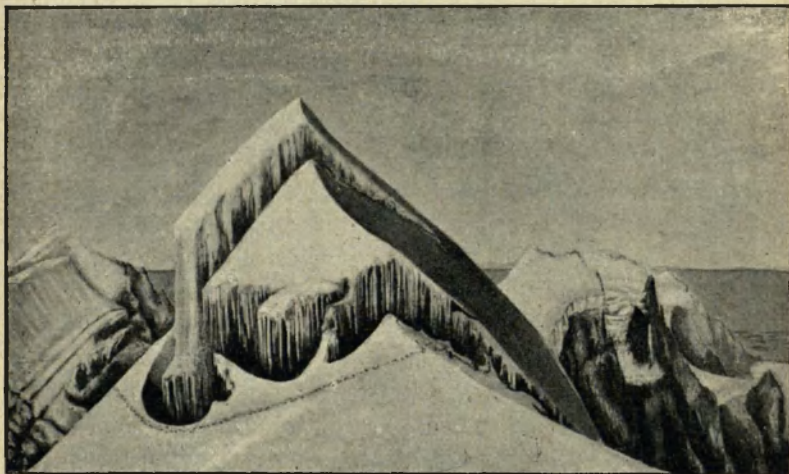
Szczegóły tej strasznej nocy przewyższają wszystko, co najbujniejsza fantazja może sobie przedstawić; jęki rannych i rozpaczliwe krzyki pozostałych przy życiu, którzy oplakiwali żony, dzieci lub przyjaciół, rozdierały duszę; a deszcz zuzli i błota nie ustawał. Podobna katastrofa, która w 79 roku po Chrystusie zniszczyła Herkulanum i Pompeje, nie była chyba straszniejszą.

Wejście na szczyt Hochstettera.

W najwyższej, środkowej części Alp Nowozelandzkich, pokrytych olbrzymiami lodowcami, zstępującemi po stronie zachodniej prawie do poziomu morza, wznosi się na północ

od lodowca Tasmana, okuty lodami szczyt Hochstettera na 2840 m. wysoki. Podróżnik niemiecki, Lendenfeld, znany już nam ze swej wycieczki w góry Kościuszki, wdarł się pierwszy na ten szczyt niedostępny; była to wyprawa wielce niebezpieczna.

Rozpatrując zdala drogę, którą należało przebyć, dostrzegłem, mówi Lendenfeld, że trzy wielkie rozpadliny przecinały firn, pokrywający szczyt Hochstettera. Dolna



Szczyt Hochstettera.

z tych rozpadlin otacza szczyt Hochstettera zwartym pasem dokoła na 100 m. poniżej wierzchołka. Stanąwszy u tej rozpadliny, przekonałem się, że jest ona napełniona szczątkami dawnych lawin i byłaby stosunkowo dość łatwa do przebycia; ale powierzchnia firnu z tej strony rozpadliny uległa obsunięciu o jakie 40 m., a wskutek tego przeciwległy brzeg rozpadliny sterczy, naksztadt stromej, tu i owdzie nawet pionowej ściany lodowej, ponad mostami śnieżnymi, pokrywającymi rozpadlinę; jeden z tych mostów

jednak wznosi się dosyć wysoko ku przeciwległej ścianie; przekraczam więc szczelinę po tym moście i staję z siekierą przed ścianą lodową. Dwaj moi towarzysze zajęli miejsce poniżej szczeliny i trzymają linę, która mnie opasuje. Ściana lodowa jest twarda, ale robota postępuje stopniem za stopniem; po godzinie pracy staję na górnej powierzchni firnu; towarzysze postępują za mną przy pomocy liny. Wkrótce dosiegamy drugiej takiej samej rozpadliny, tylko, że jej przeciwległa ściana jest jeszcze bardziej stroma, niż pierwsza. Niepodobna się na nią wdrzeć w żadnym punkcie przez wyrąbywanie samych stopni, trzeba wbijać szpice dla uchwycenia się rękami; była chwila, gdy uczepiony rękami za szpic, zawisnąłem nad przepaścią; ale wreszcie znaleźliśmy się wszyscy na przeciwległej krawędzi. Lecz powierzchnia firnu, wiodąca ku szczytowi, jest silnie pochylona i tutaj więc można postępować, tylko wyrąbując przed sobą stopnie. Wkrótce przybyliśmy do trzeciej rozpadliny, rozszczepiającej sam wierzchołek szczytu Hochstettera; ma ona ten sam kształt, co poprzednie. Przebywamy ją w ten sam sposób i wyrąbując stopnie, rozpoczynamy ostatnie wstępowanie po silnie pochylonej powierzchni firnu, prowadzącej już bezpośrednio do wierzchołka.

Już słońce chyli się ku zachodniej stronie horyzontu i błękitne cienie padają na głębokie doliny Alp Nowozelandzkich. Przedemną stok lodowy wznosi się stromo, niby dach świątyni. Długo nikt z nas nie wyrzekł ani słowa. Tylko uderzenia mojej siekiery i łoskot odrabywanych kawałów lodu, spadających w przepaść, przerywały głęboką ciszę alpejskiej krainy. Nie myślimy wcale o tysiącmetrowej przepaści poza nami, ani o czekających nas niebezpieczeństwach powrotu podczas nadchodzącej nocy, i zapominamy, że od rana jesteśmy naczczo: jedyną naszą myślą jest — dosięgnąć wierzchołka. Długo trwa

praca — wreszcie koniec podniesionego drążka zabłysnął w promieniach słońca, przechodzących ponad wierzchołkiem i w jednej chwili staje na najwyższym punkcie szczytu Hochstettera. Okrzyk radości zwiastuje towarzyszom, wspinającym się przy pomocy liny, o udaniu się przedsięwzięcia. Była godzina 5 minut 50 wieczorem.

Szczyt Hochstettera składa się z ostrej, jak nóż, firmowej krawędzi, na której siadamy, jak na koniu, jeden za drugim, i napawamy się cudowną panoramą.

Na północ wzrok biegnie w dolinę Wataroa, ograniczoną z obu stron dziko poszarpanymi łańcuchami gór. Między skalistymi grzbietami płyną strumienie lodowe. Na prawo, ku północowschodowi, wznoszą się chaotycznie szczyty alpejskie, o stokach, pokrytych lśniącymi polami śnieżnymi, z których dalej spływają ku dolinom lodowce. Na wschodzie spostrzegamy długą zachodnią ścianę grzbietu Darwina, którego warstwy skalne stoją pionowo; posiadają one niejednakową twardość, przedstawiają więc niejednakowe stosunki zwietrzenia. To też cała ta wysoka, pionowa, na wiele kilometrów długa ściana czyni wrażenie olbrzymich organów, gdyż głowy warstw odporniejszych wysterczają ze ściany, jak piszczałki.

Najwyższy szczyt Alp Nowozelandzkich, Mount Cook, leży zbyt daleko stąd, by imponująco wyglądać, ale Mount Tasman strzela ostro w niebo, niby srebrny grot. Słońce płonie czerwono i swą dolną, nieco przyplaszczoną krawędzią zanurza się w morze, które lśni, niby płynne złoto. Tu i owdzie pośród tej oślepiająco jasnej płaszczyzny ukazują się fioletowe plamy, gdzie lokalne podmuchy wiatru warunkują inne położenie grzbietu fali. Szybko zmieniają się wspaniałe barwy na niezmiernie płaszczyźnie. Ciemną czerwienią płoną szczyty, a błękitne cienie zbliżającej się nocy pełzają w górę po wschodnich stokach gór i kładą się w głębokich dolinach. Niebo na zachodzie pło-

nie, niby wrota do raju, a ziemia rzuca szaro-błękitny cień w przestwór świata na wschód. Słońce się pogrąża...

»Tam śpieszy ono, by budzić nowe życie.

O, czemuż skrzydła nie wzniosą mnie nad ziemię,
Bym za nim wiecznie mógł dążyć po błękitie...«

Około 7-ej godziny wieczorem opuściliśmy wierzchołek i zaczęliśmy zstępować po stoku z większym pośpiechem, niż ostrożnością; zdążyliśmy też jeszcze przed zapadnięciem zupełnej ciemności przekroczyć dolną z trzech rozpadlin. Później szliśmy przy świetle księżyca, kierując się śladem stopni wyrąbanych zrana, i około północy dosięgnęliśmy górnego końca płaskiej powierzchni lodowca. Tutaj zrana nie pozostawiliśmy żadnych śladów, więc teraz, choć księżyc świecił, straciliśmy drogę pośród groźnych szpar lodowcowych. Czekać światła dziennego wobec wielkiego mrozu, było to narazić się na pewną śmierć, więc błędziliśmy dalej przy niepewnym świetle.

Złowrogo połyskiwały krawędzie lodowe przy srebrzystym blasku księżyca; bezdenne przepaście przerażały swą czarnością. Na ich krawędziach uczone rumowiska morenowe za najłżejszym dotknięciem staczały się w głąb z grzotem piorunowym. Jesteśmy już 22 godziny w drodze. Członki nasze poruszają się mechanicznie, duch zubożniał. Opanowują nas znużenie. Niepewne zarysy księżycowego krajobrazu zlewają się ze sobą. Ściany i szczyty lodowe zdają się zmieniać w zastęp Tytanów, którzy na swych potężnych barkach znoszą zwałiska gór w doliny. Wciąż kroczą oni bez wytchnienia; jednak od czasu do czasu temu lub owemu brzemieniu staje się zbyt ciężkie, rzuca więc gniotące skały ze swych bark. Łoskot spadających głazów nie jest przywidzeniem, rozprasza on więc twory fantazji, które opanowały nasze umysły.

I znów, jak poprzedniego ranka, przekraczamy niby konno, ostre krawędzie lodowe; wymijamy z niebezpieczeń-

stwem sterczące wśród nich skały; skaczemy z krawędzi na krawędź. Ten chaos szczelin wydaje się nie mieć końca; już księżyc zbliża się do szczytu Cooka, już pierwsze blade światło dnia zaczyna igrać na szczytach, a my wciąż błądzimy wśród szczelin. Nagle, pod porannymi promieniami słońca, szczyt Cooka zapala się czerwonym blaskiem. Błada, zielonawa tarcza księżyca znika poza górami, ustępując miejsca gorącej, pomarańczowo-czerwonej barwie światła słonecznego, ozłacającego wierzchołki. Słyszymy wołania: to dwaj pozostawieni w dolinie tragarze, którzy wyszli nas szukać. Łączymy się z nimi i przybywamy do naszego obozowiska w dolinie Malte Bruna o 8-ej godzinie rano po 27-mio godzinnym marszu. Po paru dniach, 2-go kwietnia, znaleźliśmy się w Christchurch, naszym punkcie wyjścia.

Powróciliśmy na obszerną równinę stoczek rzecznych, ciągnącą się wzdłuż wschodniego podnóża Alp Nowozelandzkich. Wciąż jeszcze rzeki znoszą z gór materiał skalny, lodowce pomagają im w tej pracy i zapobiegają wypełnieniu dolin górskich przez rumowisko, ciągle staczające się ze zboczy skalnych, rozkruszanych przez znaczne zmiany temperatury. Tak ciepło, lód i woda jednocześnie tutaj ku wspólnemu celowi—zniesienia gór na równinę i do morza.

Lecz temu nieustannemu procesowi natura przeciwstawiła inny — proces fałdowania ziemskiej skorupy. Stare góry znikają i szczątki ich wypełniają morze. Nowe łańcuchy alpejskie fałdują się tam i wynurzają z wody, wznosząc swe głowy na tysiące metrów ponad jej powierzchnię. Jak fale oceanu, tak samo grzbiety górskie wznoszą się i opadają w kolei wieków. Wszystko jest zmienne na powierzchni ziemi, tylko jej zmniejszanie się jest stałe. Człowiek ze zdumieniem staje wobec olbrzymich, niezmiernych okresów czasu, których przyroda uży-

wa na dokonanie tych procesów; jednak jakże drobnemi są one w porównaniu z długością życia całego systematu planetarnego!

Myśli te budzą w nas jakieś drżące poczucie nieskończoności i duszę naszą przenika technienie absolutu.

Równina Canterbury.

Między środkową częścią Alp Nowozelandzkich i wschodniem wybrzeżem wyspy, rozciąga się obszerna równina, znana pod nazwą «Canterbury Plains.» Śród tej równiny leży miasto Christchurch na brzegu nieznaczej rzeczki. Jest to drugie, co do wielkości, miasto Nowej Zelandji (po Dunedinie), a pod względem położenia najpiękniejsze zapewne z miast australijskich: mała rzeczka przerzyna wężowemi skrętami miasto, jej woda jest kryształowo czysta i orzeźwiająca, a wzdłuż brzegów zieleni się bujna roślinność. Wierzby płaczące, zasadzone tu przed ćwierćwiekiem, ocieniają wody tej rzeczki, a między niemi, rośnie miejscami, podobny do trzciny, len nowozelandzki, dosięgający około trzech metrów wysokości; roślina ta dostarcza wybornej przędzy.

Cała równina Canterbury jest przerznięta licznymi rzekami, spływającymi ze wschodniego stoku Alp Nowozelandzkich i jest przeważnie pokryta odczyskiem rzeczynym. Rzeki w jesieni i w zimie są ubogie w wodę, ale na wiosnę, w czasie tajania śniegów, przyjmują wielkie rozmiary i unoszą wtedy masy otoczków i piasku z gór na równinę. Dzieląc się na liczne ramiona, pokrywają gęstą siecią równinę i zasypują ją kamieniami. Delikatniejszy zaś i lżejszy materiał — piasek i muł, unoszą do morza. Ponieważ spadek kraju, a stąd też szybkość i unosząca siła wody stale maleją od gór ku wybrzeżu, więc wzdłuż całej drogi, w miarę posuwania się od gór ku morzu,

osadza się materiał napływowy o coraz drobniejszych ziarnach. Z materiału tego każda wylewająca rzeka buduje sobie groblę, po której płynie. Gdy jednak grobla taka, a z nią i dno, dosięgnie pewnego stopnia wzniesienia, rzeka opuszcza ją i rozlewa się po bokach, gdzie rozpoczyna budowę nowej grobli. W ten sposób poziom całej równiny ciągle się podnosi. Zachodzą tu więc te same stosunki, co na nizinie Lombardzkiej, tylko, że tam przez sztuczne wały nadbrzeżne rzeki są utrzymywane w swych łożyskach; w Nowej Zelandji to nie ma miejsca.

Drobny materiał, unoszony do morza, osadza się przy ujściu, po części w formie delty, t. j. mniej więcej obszernej równiny napływowej, poczęści tworzy przed ujściem poprzeczny wał, który bądź utrudnia, bądź całkowicie uniemożliwia wpłynięcie z morza do rzeki. Linja brzegowa, uchroniona przez te wały od silnego działania fal morskich, ulega zamuleniu i wzrostowi delt i tym sposobem wkracza coraz bardziej w morze; rośnie nie tylko ku górze, ale i w kierunku poziomym. Jak obecnie równina Canterbury zyskuje na obszarze, tak samo urosła ona w przeszłości; jej linja brzegowa tworzyła zawsze wklęsły łuk, rozpięty między granicznymi przylądkami i zbliżała się coraz bardziej do linii prostej.

Podczas takiego tworzenia się równiny, a nawet jeszcze przedtem, odbywały się gwałtowne wybuchy wulkaniczne w morzu, w odległości około 40 klm. od ówczesnej linii brzegowej; wybuchy te wytworzyły wyspę wulkaniczną, która wciąż powiększała się przez nowe wybuchy do wysokości przeszło 1000 m. Jakkolwiek nie wszystkie wybuchy występowały w tym samym miejscu, to jednak centra wybuchów w ilości pięciu, leżą blisko siebie, wewnątrz koła o 12 klm. średnicy.

Dno każdego z tych pięciu kraterów pozostało poniżej poziomu morza, a ponieważ z biegiem czasu krawędzie

kraterów, łącznym działaniem czynników atmosferycznych i fal morskich, zostały przerwane i morze wlało się do kraterów, więc w miejsce dawnych pięciu kraterów powstało pięć zatok. Ta wielka wyspa wulkaniczna, napętniając okoliczne morze splukanym z niej materiałem i chroniąc równocześnie pobliskie wybrzeże Nowej Zelandji od falowania, sprzyjała wypełnieniu cieśniny mułem rzek, spływających z Alp Nowozelandzkich; z czasem ląd dosięgnął wyspy i obecnie nizki pas ziemi łączy z lądem grupę wulkaniczną, która stała się przylądkiem. Na tym pasie ziemi leży Christchurch, a największy krater tworzy najważniejszy port Nowej Zelandji, Lyttelton, z miastem tegoż nazwiska.

Prawie cały handel zamorski prowincji Canterbury odbywa się przez Christchurch i Lyttelton. Liczne drogi prowadzą od jednego miasta do drugiego przez krawędź starożytnego krateru, a że krawędź ta jest wysoka i komunikacja była uciążliwa, więc wał krateru prześwidrowano tunelem, przez który obecnie idzie kolej żelazna. Tunel ma około 2 klm. długości i ma wielki naukowy interes, jest bowiem jedynym na ziemi prześwidrowaniem wału wulkanicznego; wprawdzie kierunek tunelu nie idzie dokładnie w kierunku promienia ku środkowi krateru, ale jest dostateczny do zbadania wewnętrznej budowy wulkanu.

Z najwyższego szczytu krawędzi około 1,000 m. rozciąga się malowniczy widok: na zachód rozciąga się równina Canterbury, poprzerzynana srebrzystymi niemi rzek, spływających z urozmaiconych gór, które wznoszą się na dalekim planie. W środku leży miasto z licznymi wieżami, otoczone gajami, przerzniete krętą rzeczką, która wolno i spokojnie przepływa kraj równy. Na południu błyszczą zwierciadło jeziora Ellesmere, oddzielonego wąską, smugą od otwartego morza. Poziom tego jeziora, zasilane przez dopływy, wciąż się wznosi, aż wysokie ciś-

nienie wody przerywa mierzeję, poczym poziom jeziora wyrównywa się z morskim. Lecz przy gwałtownych wiatrach południowo - wschodnich silne falowanie morza odbudowuywa wał piaszczysty i ta sama gra znowu się rozpoczyna. Poza linią brzegu rozciąga się na północ, wschód i południe, równa linja horyzontu morskiego. U stóp postrzegacza sterczą ostre formy starej krawędzi krateru, która nazewnątrz pochyla się łagodniej, ku wnętrzu zaś, to jest ku dnu krateru, spada stromo, miejscami nawet, w górnej części, pionowo, jak ściana. U stóp tej stromej krawędzi błyszczy woda zatoki, a na jej nieruchomej powierzchni olbrzymie parowce spoczywają po żegludze okołoziemnej.



Pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandji i kolonizacja.

Pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandji, zwani Maorami, należą do rasy polinezyjskiej; są silni i dobrze zbudowani; odznaczają się śmiałym, energicznym wyra-

zem twarzy, tatuowanie zaś nadaje im cechę dzikości. Te rysunki na ciele robią się za pomocą ostrego narzędzia, przyczym, dla utrwalenia znaków, operacja powtarza się wielokrotnie. W powstałe z tej operacji rany, wciera się węgiel lub żywicę. Tatuowanie u mężczyzn pokrywa zwykle całą twarz, u kobiet ogranicza się do podbródka i warg; obecnie zresztą zwyczaj tatuowania coraz bardziej zanika, ku wielkiemu oburzeniu zwolenników



Pah.

dawnego porządku rzeczy; i nic dziwnego: ten «święty» obyczaj, przekazany przez przodków, był jednym ze sposobów wynoszenia się bogatych nad biednymi, albowiem «piękne» tatuowanie drogo kosztowało.

Wsie Maorów były dawniej fortecami: otaczały je dwa rzędy palisad; rząd zewnętrzny był wysoki na dwa do trzech metrów, wewnętrzny—na sześć do dziesięciu metrów. Między temi dwiema palisadami był wykopany rów do ośmiu metrów głęboki. Warownie takie, zwane

«pah», składały się nieraz z 80 do 100 domów i były zwykle budowane w miejscach, których i sama przyroda broniła.

Na przesmyku Auckland wznosi się stromo góra stożkowa, Maunga Wau, obecnie Mount Eden; jest to stary gród Maorów. Na szczycie tej góry mieszkał wódz z rodziną i znaczniejszemi osobistościami pokolenia, u podnóża zaś leżały osady ludu prostego.

W takich warowniach Maorowie stawiali dzielnie czoło wyćwiczonym wojskom angielskim i ich armatom. Przeciw jednej z takich warowni Anglicy użyli, prócz wielkiego działa Armstronga, 14 mniejszych armat i 1700 ludzi; Maorów było tylko 300. Anglicy utrzymywali przeciwko nim nieustający ogień działowy i karabinowy od świtu do 4 godziny po południu. Możliwe było sądzić, że cały «pah» ze wszystkimi obrońcami zostanie zamieniony w pył; gdy jednak oblegający przypuścili wreszcie szturm, zostali odparci ze stratą 93 ludzi, a między nimi 11 oficerów! Ten bohaterski bój pod Rangariri Maorowie wspominają dotąd z dumą.

Maorowie byli straszliwymi ludożercami: gdy Cook, w czasie swej pierwszej podróży przybył do Nowej Zelandji, spostrzegł, iż krajowcy jedli mięso ludzkie i psie, które w koszach obok nich leżało. Na pytanie dlaczego nie jedzą trupa kobiety, który pływał w wodzie, odrzekli, iż ta kobieta umarła naturalną śmiercią i jest ich krewną, oni zaś jedzą tylko ciała nieprzyjaciół, zabitych w walce. W tym celu zabijali również niewolników.

Wielu podróżników europejskich i misjonarzy padło tu ofiarą ludożerstwa. Charakterystyczną jest w tym względzie jedna pieśń wojenna Maorów: «o mój synku! płaczesz, krzyczysz o pokarm. Oto tu masz mięso Hekamanusa i Weratasa. Chociaż jestem nasycony miękkim mózgiem Putu Riririki i Raukauri, tak wielką jest

moja nienawiść, że chcę jeszcze dalej spożywać mięso Pau i Pipi, oraz wyborne przysmaki z mięsa nienawistnego Teau.»

Maorowie nie widzieli nic grzesznego w pożeraniu swych bliźnich; gdy misjonarze czynili im pod tym względem uwagi, otrzymali odpowiedź: «duże ryby pożerają małe, psy pożerają ludzi, ludzie—psy; psy pożerają się wzajemnie, ptaki również, jeden bóg pożera innych.»

Czasy owe już minęły; dla dzisiejszego pokolenia Maorów wspomnienie o tym brzmi jak bajka. Gdy pewien stary wódz, podróżujący wspólnie z młodym Maorem, przechodził koło dawnej warowni i przypominał sobie dawne czasy, rzekł do swego młodego towarzysza: «patrz, tutaj schwytailiśmy twego ojca i zabili go, a tam ugotowaliśmy go i zjedli.» Młody człowiek słuchał tego, jakby go to nic nie obchodziło: obaj spali spokojnie w tym samym namiocie, jedli z tego samego garnka i byli dobrymi przyjaciółmi. Ostatni wypadek ludożerstwa zdarzył się w 1843 r.

Głowy zabitych nieprzyjaciół stanowiły dla Maorów najpiękniejsze trofea; głowy te były zatykane na palach, otaczających mieszkania, jako oznaki zaszczytne. Głowami temi prowadzono następnie ożywiony handel z Sydneyem, dla europejskich muzeów; w tym celu przedsiębrano nawet umyślnie wyprawy; szczególniejsz poszukiwane były głowy wyraźnie tatuowane.

Znakomity podróżnik, Hochstetter, opisuje wrażenie, jakie odniósł, odwiedzając jednego z dawnych wodzów tego mężnego i okrutnego plemienia, nazwiskiem Takerej. «Nigdy — mówi podróżnik — nie widziałem piękniejszej i szlachetniejszej czaszki wśród Maorów, nad dumną głowę Takereja; ale nigdy też — bardziej surowych i lodowatych rysów, jak na jego tatuowanym obliczu. Ani cień uśmiechu, a choćby tylko uprzejmości, nie przebiegł

po twarzy tego człowieka podczas całej, wielogodzinnej naszej obecności. Siedział on, owinięty w wełnianą kołdrę, palił fajkę i rzucał dokoła siebie ponure, dzikie spojrzenia. Przytym dawał wchodzącym i wychodzącym podwładnym szybkie, urywane rozkazy. Było coś niezwykle imponującego, ale zarazem niezwykle dzikiego, w dumnych, poważnych rysach tego człowieka, który wydawał się, jakby wykuty ze stali.

Lecz obecnie postacie takie, zabytki dawnych czasów, już znikły. Europejscy koloniści wpłynęli na zmianę ludzi i kraju, wprowadzili bydło, owce, świnie, kartofle i zboża europejskie; nauczyli krajowców rolnictwa i hodowli bydła, zaprowadzili chrześcijaństwo. Obecnie Nowa Zelandja posiada kwitnące miasta i wyborne drogi; parowce kursują po jej rzekach i jeziorach, oraz wzdłuż wybrzeży, a koleje żelazne przeryniają kraj cały. Nowa Zelandja staje się Wielką Brytanią południowej półkuli.

Nigdzie to przeciwieństwo między *dawniej* i *teraz* nie występuje tak wyraźnie, jak na wązkim przesmyku Auckland, łączącym główną masę wyspy północnej z jej północno-zachodnim półwyspem. W dawniejszych czasach, przed przybyciem Europejczyków, przesmyk ten musiał być pokryty wielkimi lasami, w których królowała wspaniała sosna kauri na 40 i więcej metrów wysoka; albowiem w gruncie znajdują się tutaj wielkie bryły żywicy, dostarczającej wybornego lakieru. W owe czasy przesmyk ten był siedliskiem potężnego wojowniczego plemienia Maorów; wygasłe wulkany grały wówczas rolę górskich warowni.

Obecnie znikły wszelkie prawie ślady dawnych puszczy; lasy są wyniszczone i ustąpiły miejsca europejskim roślinom uprawnym; europejskie trawy i koniczyna pokryły zielonym kobiercem miejsca, niegdyś krwią przesiąknięte.

We wszystkich kierunkach kraj jest przetrzęsany pieknymi drogami, usiany miasteczkami i wsiami. Czarne

ściany bazaltowe i zielone żywopłoty odgraniczają pojedyncze posiadłości: łąki, ogrody i niwy. Na łąkach pasie się bydło; po drogach snują się omnibusy i jeźdźcy: obraz pełen świeżości i życia. Na wybrzeżach morza widnieją żagle i dymy parowców, wiozących wieści z dalekiej ojczyzny.

Tylko gdzie na horyzoncie zamkniętym górami, leżą ciemne cienie, tam szumią jeszcze puszcze; ale dym, wznoszący się stamtąd, świadczy, że i tam już dostał się człowiek. Są to pierwsi osadnicy, torujący drogi dla przyszłych pokoleń. Mały blokhaus stoi tu samotnie wśród dzikiej puszczy, ubogie schronienie rodziny, która przebyła tysiące mil po oceanie, aby w tym dziewiczym kraju stworzyć sobie w walce i pracy drugą, lepszą ojczyznę. Ojciec jest w lesie, pod silnemi ciosami jego siekiery pada drzewo za drzewem, ciemna puszcza rozjaśnia się. Matka przygotowuje południową strawę w żelaznym kotle, który wisi na łańcuchu nad żywo buchającym płomieniem. Przed drzwiami bawią się dzieci, promieniejące zdrowiem; wierny pies, kury i owce są ich towarzyszami. Jest to praca twarda, życie samotne, pełne trudów i zaparcia. Ale z roku na rok byt się polepsza; puszcza znika, żniwo idzie za żniwem; w miejsce ubogiego blokhausu, wznosi się teraz powabny dworek wśród ogrodów i pól. Na łąkach pasą się stada tłustego bydła i hasają konie; w pobliżu osiedlili się przyjaciele; dogodne drogi prowadzą przez las od osady do osady. Przy drodze stoi kościół, karczma i pierwsze sklepy—zawiązek miasta. I tak, w jesieni życia, starzy cieszą się jego pełnią; ich dzieci wdzierają się dalej w lasy, i nowe, silne pokolenie bierze coraz bardziej w posiadanie ten kraj, w którym niegdyś żyli ludzie innej barwy, zjadający się wzajemnie i trzymający się uparcie dzikich obyczajów swych ojców.

Owce i króliki w Nowej Zelandji.

Chociaż pora strzyży owiec już mijała w czasie, gdym przebywał na wyspie południowej, mówi pewien podróżny, udało mi się jednak, wracając z Glenorchy do Queenstown, zatrzymać się w jednej ze stacji hodowli owiec na brzegu jeziora. Statek, stojący na nim, miał właśnie zabrać ładunek wełny. Tutaj miałem sposobność być świadkiem operacji strzyży.

Kilkaset owiec, trzymanyh w ogrodzeniu, komunikującym się z wielkim śpichrzem drewnianym, czekało na swą kolej, podczas gdy ich poprzedniczki wewnątrz śpichrza ogałacano z gęstej wełny. Szesnastu strzygących, usadowionych w jednej linii, posuwają swe olbrzymie nożyce po przerażonych zwierzętach, trzymanyh między kolanami i lewym ramieniem. Rzecz ta wymaga znacznej siły muskularnej, by opanować owce, usiłujące wciąż wyrwać się, oraz wprawy, którą nabyć można jedynie przez długie terminatorstwo. Robotnik jest płatny od sztuki, a zwykły jego zarobek wynosi 15 szylingów, to jest około 19 franków od 100 owiec; doświadczony robotnik może ostrzyć od 100 do 130 owiec dziennie, co przedstawia średni zarobek 20 do 25 franków.

Śledziłem z zajęciem pracę tych 16-stu robotników o potężnych bicepsach; to nie rzemieślnicy, lecz prawdziwi artyści! Ciężkie nożyce z zadziwiającą szybkością i zręcznością przesuwają się poprzez gęstą masę wełny, pokrywającą ciało zwierzęcia, i po upływie 3—4 minut, nie więcej, całe runo leży już na ziemi, jakby było płaszczem, który zrzucano. Tu i owdzie kilka cięć dotknęło skórę, nieostrożny ruch nożyc uczynił ranę otwartą, z której obficie płynie krew; lecz robotnik nie zwraca na tę drobnostkę uwagi; rzuca on owcę ku otworowi, znajdującemu się po jego prawej stronie; biedne zwierzę, chcąc nie chcąc zsu-

wa się po desce, schodzącej prawie prostopadle, i wkrótce znajduje się między swemi poprzedniczkami, drżącemi od chłodu w ciasnym ogrodzeniu, skąd znów je wyprowadzą na pastwiska w doliny lub góry.

W czasie, gdy kontroler zapisuje na kredyt robotnika numer owcy ostrzyżonej, ten już schwycił drugą i rozpoczyna na nowo swą mechaniczną robotę. Specjalni robotnicy pakują runo i ściskają je w małą objętość za pomocą maszyny. Po przywiezieniu wełny na ląd Australji objętość ta zostaje zredukowaną jeszcze bardziej za pomocą siły pary. Wtedy wełna płynie na targi europejskie.

Wielką przeszkodą w rozwoju hodowli owiec w Nowej Zelandji, są króliki, które i tutaj ogromnie się rozmnożyły. Z ogólnej liczby 250,000 owiec, które w ostatnich czasach tworzyły wspólną posiadłość kilku squatterów, osiadłych nad jeziorem, pozostało obecnie zaledwie 15000; reszta zginęła z braku pożywienia, gdyż króliki rozmnożyły się w sposób przerażający i zniszczyły pastwiska. Inny squatter, który w 1882 roku posiadał 40,000 owiec, ma ich dziś tylko 5,000.

Sposób szczepienia jadu królikom, wymyślony przez Pasteura, nie sprowadził, jak się zdaje, skutków oczekiwanych, a opinja, wyrażona przez komitet delegowanych z kolonji australijskich, Tasmanji i Nowej Zelandji, nie okazała się przychylną temu środkowi tępienia. Inni twierdzą, że środek ten sprowadzi rezultaty dopiero po upływie pewnej liczby lat. Dotychczasowe środki, używane przez hodowców w celu powstrzymania zalewu królików, nie zmniejszają go, ale i nie powiększają.

Jeden ze sposobów tępienia najbardziej używanych jest ten, że gotują zboże w roztworze fosforu i rozrzucają masami po równinach; ale w porze letniej, gdy na wzgórzach i równinach jest jeszcze trawa, króliki nie mają ochoty na ten zdradliwy specjał. Tylko w zimie, gdy brak trawy,

rzucają się nań z głodu, a wtedy trupy nieszczęśliwych zwierząt obficie pokrywają ziemię. Środkiem mniej skutecznym są sidła rozstawione w miejscach, najczęściej odwiedanych przez króliki; czynność ta stała się tu rzemiosłem dla pewnej liczby ludzi; taki myśliwy w swoim rodzaju zamieszkuje chatę w gąszczach lub w stepie i spędza czas na rozstawianiu jakiej setki sideł codziennie, a zachody jego bywają uwieńczone złowieniem takiej samej ilości królików.

W okolicach hodowlanych widnieją, jak oko zasięgnie, rozwieszane na drucianych płotach granicznych, trupy nieszczęśliwych królików. Ściągnięte skórki (w ilości 12 milionów rocznie!) idą do Anglii na wyrób kapeluszy, mięso zaś staje się pastwą ptaków drapieżnych, tak, iż w końcu pozostają jedynie kołysane wiatrem szkielety.

Pracownicy morza.

Znaczna część wysp Polinezji zawdzięcza swe powstanie budowniczej pracy małych zwierzątek, zwanych koralami. Ci niestrudzeni »pracownicy morza,« budujący podwodne skały i wyspy, nie należą do znanych nam, używanych na ozdoby, czerwonych koralu szlachetnych, które żyją w morzu Śródziemnym. Tutejsze korale nie posiadają wartości handlowej, chyba jako okazy do zbiorów przyrodniczych. Czerwonawe zabarwienie posiadają tu tylko niektóre odmiany, występujące w kształcie cienkich, połączonych ze sobą rurek, nakształt piszczałek organów. Inne gatunki, z których najważniejsze są madrepory, mają po większej części barwę szarą, lub białawą. Wszystkie składają się z wapienia. Pod względem kształtu przypominają one formy roślinne, zarówno mechy i porosty, jak krzaki i drzewa; to znów—ozdobne wazony i kopuły. Masa wapienna stanowi szkielet zwierzęcia, które mate-

rzał do tej budowy ciągnie z wody morskiej. Dla tego to korale nie napotykają się nigdy w pobliżu ujść rzecznych. Korale potrzebują również pewnego określonego ciepła, dla tego najobficiej występują w pasie gorącym i tylko w górnych warstwach wody morskiej rozwijać się mogą, gdyż głębiny są zimne.

Na tej własności koralu, uczony angielski, Darwin, zbudował znakomitą hipotezę, według której, powstanie raf koralowych, sterzących z wielkich głębini morskich, wyjaśnia się powolnym obniżaniem dna morskiego, na którym osiedliły się korale.

Darwin rozróżnia trzy rodzaje raf koralowych: atolle albo rafy lagunowe, rafy tamowe i rafy nadbrzeżne. Ostatnie, najmniej ważne, ciągną się przy samym brzegu lądu, który oddzielają od morza; tu i owdzie wązkie przerwy w rafie pozwalają małym łodziom wpływać na płytką kałużę nadbrzeżną, dzielącą rafę od lądu. Rafa taka posiada zwykle małą szerokość, tworzy też tylko bardzo drobne wysepki.

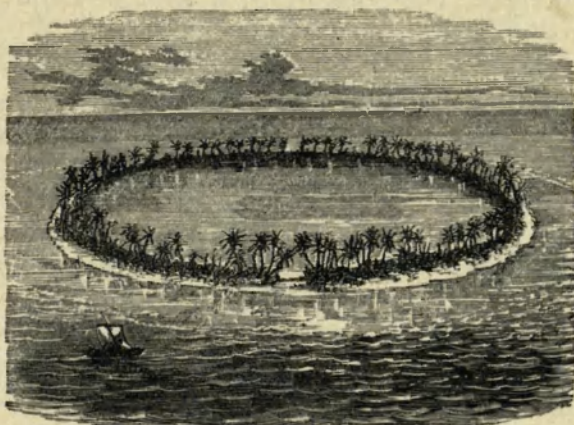
Rafy tamowe ciągną się wzdłuż wybrzeża lądu, lub wyspy. Między tą rafą i lądem rozciąga się szeroki i głęboki kanał. Ląd ten składa się czasem tylko z jednej wyspy, czasami jednak kilkanaście oddzielnych wysp bywa otoczonych takim wałem. Ku wnętrzu rafa spada bądź łagodnie, bądź stromo pod wodę kanału, na zewnątrz zaś spada zawsze stromo ku wielkim głębynom.

Co może być bardziej zadziwiającego, jak te utwory koralowe? Widzimy tu wyspę, podobną do zamku, wzniesionego na szczycie góry podmorskiej, obwarowaną wielkim wałem koralowym, który tu i owdzie jest przerwany bramami, dozwalającymi wpływać największym okrętom.

Jeżeli sobie wyobrazimy, że w rafie tamowej wewnętrzny ląd zniknie, to otrzymamy atoll; tak więc atollem nazywamy taką rafę koralową, która nie obejmuje żad-

nej wyspy, lecz tylko gładką powierzchnię wodną, jezioro centralne (lagunę).

Korale mogą żyć tylko w wodzie morskiej i nie mogą wznieść się ponad poziom najniższego stanu wody. Wzniesienie rafy ponad powierzchnię morza, może wynikać bądź wskutek wzniesienia dna morskiego, bądź wskutek falowania: wielkie fale, bijące w rafę, odrywają z jej boków wielkie głazy i rzucają je na grzbiet rafy. Drobne odłamki oraz muszle, wypełniają luki między



Atoll.

wielkimi głazami i tym sposobem grzbiet rafy wznosi się nieco nad powierzchnię morza. Pałace promienie zwrotnikowego słońca kruszą wielkie głazy na drobne kawałki, prądy morskie przynoszą nasiona i owoce, które przyjmują się w nowej siedzibie i pokrywają błyszczący biały grunt koralowy świeżą zielenią. Fale wyrzucają na wybrzeże kłody drzew, w których szczelinach, gałęziach i korze, siedzą drobne zwierzęta, jak: jaszczurki i owa-
dy; tym łatwiej dostają się tu ptaki. Tym sposobem, wyspa, pierwotnie naga i martwa, ożywia się życiem ro-

ślinnym i zwierzęcym. Wieniec palm kokosowych zieleń się rozkosznie w orzeźwiającym morskim powietrzu i nęci człowieka, który na nowo powstałym, gruncie zakłada swoją siedzibę.

Do obszaru, zamkniętego rafami, prowadzą szersze lub węższe kanały, zwłaszcza po tej stronie, która nie jest wystawiona na panujące wiatry; przez te kanały płynie zwykle silny prąd, który stawia opór wpływającym okrętom, albowiem fale morza zewnętrznego, pędzone wiatrem, przerzucają się do wewnętrznej laguny i podnoszą jej poziom ponad poziom morza zewnętrznego.

Rafy koralowe posiadają prawie zawsze wyspy na swej powierzchni, czasami jednak tylko silne falowanie lub pojedynczo sterczące głazy koralowe zdradzają egzystencję rafy podwodnej; z drugiej strony rzadko się zdarza nieprzerwany pierścień koralowy, otaczający wewnętrzną lagunę; po największej części rafa sterczy nad powierzchnią wody tylko oddzielnymi wysepkami różnej wielkości, ciągnącemi się jedna za drugą, to blisko siebie szeregiem, to pojedynczo w większych oddaleniach. Czasami wypełniają one też małą i płytką lagunę tak, iż nie raz tylko zagłębienie wewnętrzne obecnej wyspy koralowej wskazuje miejsce znikłej laguny; taka wyspa czyni wrażenie olbrzymiego półniska pływającego na morzu. Na rafach tamowych i nadbrzeżnych tworzą się też pojedyncze małe wysepki a nawet czasami cała rafa zamienia się, jak np. u wyspy Borabora, w zielony wieniec palm, otaczający ład wewnętrzny.

Obok tych wysp koralowych niskich zdarzają się też i wysokie, wznoszące się do stu i więcej metrów nad powierzchnię oceanu. Tu i owdzie zagłębienie we wnętrzu wyspy i wąwozy w jej krawędziach wskazują dawną lagunę i dawne kanały, łączące ją z morzem. Na Nowej Gwinei, Nowej Brytanji i Nowych Hebrydach widać wapien

koralowcy na zboczach gór, utworzonych ze skał starszych, na znacznych wysokościach.

Według Darwina trzy powyżej wymienione rodzaje raf koralowych—rafy nadbrzeżne, tamowe i lagunowe, powstały jedne z drugich wskutek obniżania się dna morskiego: korale, osiedlając się na nieznacznej głębokości u wybrzeża lądu lub wyspy, budują najprzód rafę nadbrzeżną. Następnie wskutek obniżania się dna morskiego, kanał między rafą i wyspą rozszerza się, a korale budują rafę wyżej, aż dojdą znów do powierzchni morza; tym sposobem powstaje rafa tamowa. Przy dalszym obniżaniu dna morskiego i nowym budowaniu koralu ku górze, wyspa wewnętrzna może całkiem zniknąć i powstaje rafa lagunowa czyli atoll.

W nowszych czasach przekonano się, że poglądy Darwina nie dla wszystkich wysp są słuszne, że niektóre atolle i rafy tamowe mogły powstać niezależnie od siebie, bez obniżania dna morskiego. Przypuśćmy mianowicie, że na jakiejś mieliźnie osiada kolonja koralu i wznosi swą budowę ku górze; wówczas korale, znajdujące się na skraju zewnętrznym, będą miały obfitsze pożywienie przynoszone przez fale morskie niż korale środkowe; pierwsze więc będą prowadziły budowę energiczniej i prędzej dosięgną powierzchni morza. Jeżeli obszar kolonji jest mały lub jeżeli kształt ma wązki i długi, to i środek zostanie wypełniony i nie będzie laguny; ale przy większym obszarze kolonji, środkowe korale będą zbyt upośledzone pod względem pożywienia, umrą przed dosięgnięciem powierzchni morza i utworzy się laguna, która przytym będzie się rozszerzać i pogłębiać wskutek rozpuszczającego działania wody morskiej na martwe korale. Przez toż samo rozpuszczające działanie wody morskiej mogą rafy nadbrzeżne zmienić się w tamowe; gdzie podmorskie wyniosłości nie były dość blisko powierzchni, aby stać się sie-

dliskiem koralu, tam mogły one z biegiem czasu wznieść się do potrzebnej wysokości przez gromadzenie się muszli i innych stworzeń morskich, umierających i spadających na dno.

Jeżeli jednak jedne wyspy koralowe mogły powstać w ten sposób, jak chce nowa teoria, to inne mogły przechodzić takie fazy, jakie wskazał Darwin, bo tylko przez obniżanie dna morskiego można wytłómaczyć sięganie budowli koralowych do niezmiernych głębin.

»Jesteśmy zachwyceni—mówi Darwin—gdy nam podróżnicy opowiadają o wielkich rozmiarach piramid i innych budowli ludzkich; jakże drobnymi jednak wydadzą nam się największe z nich, jeżeli je porównamy z temi kamiennymi górami, które zostały zbudowane pracą drobnych i delikatnych zwierzątek.« Ileż to tysiąceci musiało upłynąć, zanim te olbrzymie budowle dokonane zostały! Żeglarz francuski Dumont d'Urville znalazł kotwicę rozbitego przed 40 laty okrętu Laperousa pod Wanikoro, w głębokości 15 stóp pokrytą przez skorupę koralową tylko na niewiele cali grubą. Nic też dziwnego, iż żaden z żeglarzy, przepływających Ocean Spokojny, nie mógł się oprzeć zdziwieniu na widok tych cudownych olbrzymich budowli.

Polinezyjczycy.

Jak z północno-wschodniego rogu Azji plemię mongolskie rozprzestrzeniło się na północnym skraju Ameryki, aż do Grenlandji, (Eskimowie), tak z południowo-wschodniego rogu starego świata, półwyspu Malakki, wyszedł żeglarski lud Malajów i rozprzestrzenił się aż do najbardziej wschodnich wysp Oceanu Wielkiego z jednej strony, a do Madagaskaru—z drugiej. Ale o ile piękniejszymi są wyspy zwrotnikowego oceanu, uwieńczone

palmami, ożywione przez piękne papugi i ptaki rajskie, aniżeli lodowate pustkowia polarne, o tyle piękniejszemi są Malajowie morza Południowego od Eskimów z nad morza Lodowatego.

Ten dzielny naród żeglarski, który możnaby nazwać Normanami morza Południowego, wyparł z wysp archipelagu Indyjskiego i Polinezji oraz Nowej Zelandji pier-



Sztuki pływackie Polinezyjczyków.

wotną rasę papuańską, tak, iż ta ukryła się w górzystych wnętrzach większych wysp.

Na tak wielkie rozprzestrzenienie Malajów, których odłam australijski nosi miano Polinezyjczyków, wpłynęły prądy powietrzne i morskie. Wędrowki te były częścią swobodne, częścią mimowolne (burze); tak np. jeden z Polinezyjczyków z wysp Karolińskich, błędził po morzach w swej łodzi przez pięć miesięcy, utrzymując się

wraz z trzema towarzyszami zbieraniem wody deszczowej i łowieniem ryb, aż wreszcie łódź została zagnana na wyspy Marshalla.

Pod względem cielesnym, Polinezyjczycy są wyżsi i piękniejsi od właściwych Malajów, odznaczają się wielką zręcznością, szczególnie w wspinaniu się i pływaniu. Niema palmy tak wysokiej, na którą by się nie wdrapali, a są tak wybornymi pływakami, że przewyższają w tym wszystkie narody ziemi: łódź uważają tylko za miejsce wypoczynku, wchodzą do niej tylko gdy są znużeni. Przy najmniejszej sposobności wyskakują z łodzi, pływając dokoła niej lub udając się do łodzi towarzyszków, chociażby najbardziej oddalonych. Już jako dzieci ośmioletnie skaczą w falujące morze, aby wydostać coś ze znacznej głębiny. Jeżeli łódź się wywróci, to pływają dokoła niej, póki jej nie odwrócą i nie wyleją wody, poczym wesoło płyną dalej. Pod wodą przebywać mogą 4, 5, a nawet 7 minut; nie więc dziwnego, że potrafili pokraść gwoździe ze spodu okrętu Cooka. Jest to lud prawdziwie ziemnowodny; Hawajczycy lubią np. przez wiele godzin wylegiwać się na wodzie w leniwym spokoju. Na wzburzonym zaś morzu urządzą igrzyska: używają do tego celu desek, długich na półtora wzrostu człowieka; leżąc na nich, to nurkują pod spienionymi falami, to wypływają i tym sposobem pędzą z niepojętą szybkością, oddalając się od lądu tak, iż wreszcie widnieją tylko czarne punkciki wśród wzburzonego oceanu. Następnie zwracają się ku lądowi i płyną po linii zygzakowatej. Leżąc na deskach, spadają w doliny fal, gdy się zaś dostaną na ich grzbiecie, wstają na nogi i unoszą się przez chwilę ponad wodą. Zresztą sztuka ta coraz bardziej zanika. Zato, gdy europejczycy wprowadzili konie wyspienne, stali się dzielni i namiętni jeźdźcami i to nie tylko mężczyźni ale i kobiety, które jeżdżą po męsku.

Pod względem charakteru Polinezyjczycy odznaczają się lekkomyślnością, wesołością, wogóle namiętnym oddaniem się uciechom. Ale z biegiem czasu utracają te cechy.

Wyspy Tonga.

Wyspy Tonga ciągną się dwoma równoległymi szeregami; zachodni składa się z wysp górzystych, wysokich, wschodni dłuższy, z niskich koralowych.

Wyspy wysokie są to szczyty wulkanów, które sterczą stromo z wielkich głębin morskich i nie przedstawiają dla żeglarzy ani jednego miejsca dogodnego do rzucenia kotwicy. Gdzie wybuchy wulkaniczne, powtarzające się z wielką siłą aż do ostatnich czasów, nie zniszczyły roślinności, tam na stokach gór rosną wspaniałe lasy. Niestety jednak straszliwe wybuchy pokryły grunt dookoła czynnych kraterów popiołem i lawą i poszarpały go głębokimi szparami. Założone ogrody zostały zniszczone, a mieszkańcy musieli uciekać.

Wyspy koralowe archipelagu Tonga różnią się znacznie od innych podobnych utworów: są one stosunkowo dość wysokie, wznoszą się bowiem na kilkanaście metrów nad powierzchnią morza, a w ich wnętrzu zdarzają się wyniosłości, sięgające nawet do 200 metrów. Nie są one, jak inne wyspy koralowe, skaliste, suche i bezpłodne, owszem posiadają grubą warstwę ziemi rodzajnej i nadzwyczaj bujną roślinność.

Tongańczycy są oddawna wybornymi rolnikami; wprawdzie nie używali nawozu, ale pozostawiali pola ugiorem i znali się na płodozmianie. Podróżnik Dumont d'Urville był tak zdziwiony czystością pól, pięknie poogrodzanych, iż twierdził, że żaden publiczny ogród w Europie nie może pod tym względem równać się z tongańskimi. Główną rośliną uprawną jest yams; pośród pól,

zasadzonych tą rośliną co dwa lub trzy lata, stoją rzędami banany, których owoce rosną w pękach, ważących do 40 kg. Ponieważ jednak nad temi wyspami srożą się częste orkany, sprowadzające wielkie spustoszenia pośród tych drzew do 5 metrów wysokich, więc w nowszych czasach wprowadzono tu chińską karłowatą odmianę bananów, której wysokość wynosi nie więcej nad 1 metr i która z tego powodu mniej cierpi od burz. Szerokie i długie liście bananowe chronią rosnący pod niemi yams, który najprzód zasadza się na grzędach a potem przesadza na właściwe pola. W tym celu wykopują wielkie doły na 1 metr średnicy, a do 2 metrów głębokie; wyrzucona ziemia poddaje się przez długi przeciąg czasu wpływowi powietrza i następnie w stanie sproszkowanym wysypuje się napowrót do dołów. Korzenie yamsu rozwijają się tutaj do olbrzymich rozmiarów: największe okazy mają do 2 metrów długości i do 40 kg. wagi.

Klimat archipelagu nie zawsze jest zdrowy, gdyż upały bywają znaczne i deszcze obfite, nocami zaś są mgły. W czasie deszczów przypadają wyżej wspomniane orkany. »W czasie takiej burzy niebo i ziemia zdają się być w ruchu; najwspanialszą jest jednak niezrównana groza wzburzonego morza. Wycie wichru, trzask łamiących się drzew, szum gałęzi pędzonych w powietrzu, potoki deszczu, niezwykła ciemność, łoskot walących się domów—wszystko to stanowi jeden z najstraszliwszych obrazów, jakie tylko rozszalałe żywioły są w stanie wywołać.«

Mieszkańcy wysp Tonga odznaczają się silną budową ciała, wysokim wzrostem, rysami twarzy podobnemi do europejskich, jasnobrunatną barwą skóry, czarnemi kędzierzawemi włosami i ciemnymi, żywymi oczami, których przyjazny, ale zarazem męski wyraz czynił zawsze korzystne wrażenie na podróżnikach (stąd nazwa »Wyspy Przyjacielskie«). Pod względem charakteru Tongań-

czyicy odznaczają się poczuciem godności, dumą i zamiłowaniem swobody, co się łączy z wielką odwagą i siłą. Nazwano ich z tego powodu Anglo-sasami morza Południowego. Jak niegdyś Wikingowie normańscy, tak Tongańczycy byli wszędzie groźnymi gośćmi.

Pożywienie Tongańczyków było przeważnie roślinne, obok tego jednak ważny dodatek stanowiły ryby, kury,



Tongańczycy.

psy, szczury i myszy. Świnie ukazywały się tylko na uroczystych, a żółwie zachowywane były dawniej tylko dla bogatych.

Król i jego gubernatorowie mieszkają w willach, zbudowanych w guście angielsko-australijskim; w pokojach bywają posadzki, piękne meble, okna z szybami kolorowymi, na stołach srebro i szkło. Na wszystkich wyspach są dobre drogi. Oświata znajduje się w rękach misjonarzy, którzy tu pozakładali szkoły. Wojsko jest

pod kierunkiem instruktorów niemieckich, angielskich i amerykańskich. Król przy uroczystościach nosi czerwony mundur, ozdobiony złotem i jedwabną szarfą.

Wyspy Samoa.

Wyspy Samoa, widziane zdaleka, przedstawiają się jako długi szereg gór o szczytach kopułowych. Podpłynawszy bliżej, dostrzegamy malownicze szczegóły: głębokie wąwozy, to znów łagodne pochyłości, pokryte od szczytów do morza bujną roślinnością. Rozłożone u stóp gór pagórkowate równiny, falujące zielenią, niemniej czarują wzrok, jak wyniosłe kopuły gór, szczególnie w blasku porannym. Tu i owdzie pośród roślinności pierwotnej widać oznaki młodzieńczej kultury: majestatyczne gaje kokosowe, plantacje bawełny i pola bananowe.

Nawodnienie jest wszędzie obfite; miejscami tylko porowaty grunt wulkaniczny (tuf), wyżej leżących obszarów, pochłania wodę deszczową tak, iż dopiero nisko na wybrzeżach morza występuje ona na jaw, tworząc przezrocyste źródła. Zresztą wszędzie z gór porosłych lasami płyną liczne potoki ku morzu, to spadając w otchłanie z wysokich ścian skalistych, to znikając po za ciemnozieloną zasłoną liści, aby po pewnym czasie znów wystąpić na światło słoneczne, jako spokojne, kryształowe strumienie. Rzeki podziemne, płynące w jaskiniach skał wulkanicznych, występują na jaw w miejscach niższych i pędzą z szumem ku spokojnym lagunom, po których mkną łodzie mieszkańców wiosek, rozsianych na wybrzeżu.

Do tych zalet krajobrazowej piękności łączy się zadziwiająco łagodny klimat. W mieście Apia temperatura nie wznosi się nigdy ponad 32° C. i nigdy nie spada poniżej 15° C. Upały są łagodzone z powodu sąsiedztwa morza i stale wiejących ożywczych wiatrów. Taki

klimat pozwala Europejczykom pracować tu pod gołym niebem, cieszyć się wyborynym zdrowiem i osiągać wysokiej starości. Tylko panujące tu silne orkany (dążące stąd na wyspy Tonga i Fidżi), stanowią ujemną stronę klimatu; druzgoczą one okręty i niszczą plantacje; jedynie bardzo giętkie palmy kokosowe, gnące się bez złamania aż do ziemi, mogą przetrwać tu korkan.

Z powodu panującego tu południowo-wschodniego passatu, skraplającego swą wilgoć na górach, południowo-wschodnie części wysp, oddzielone od północno-zachodnich górami, posiadają klimat wilgotniejszy, a stąd warstwę gruntu, pochodzącą ze zwietrzenia skał wulkanicznych, grubszą; są więc żyzniejsze od północno-zachodnich. Te ostatnie cierpią posuchę i brak wody do picia, albowiem rzeki znikają tu w rumowiskach, niepokrytych dostatecznie warstwą zwietrzałą. Nawet woda



Samoanki.

morska przecieka w ten grunt luźny tak, iż studnie w niższych okolicach dają wodę słoną.

Wśród dzikiej roślinności samońskiej przeważają paprocie, a między niemi paprocie drzewiaste, dosięgające znacznej wysokości. Nizkie zaś paprocie otulają stopy potężnych drzew, których prosto w górę strzelające pnie i wysoko rozgałęziające się korony, są często aż do kończyn gałęzi splecione wijąciami się roślinami. W dole rosące ro-

śliny i kwiaty z powodu niedostateczności światła rzadko posiadają inną barwę prócz białej lub szarej.

Między dwiema największemi wyspami tego archipelagu, Sawai i Upolu, w cieśninie leżą dwie ciekawe skaliste wysypki: Apolima i Manono, których mieszkańcy są uważani jako najdorodniejsi z Samończyków. Apolima, co znaczy «próżna ręka», jest krawędzią starego krateru, wznoszącą się na sto kilkadziesiąt metrów stromo ponad falami morskimi. Po stronie zachodniej ściana skalista zapadła się i z tej strony jedynie można dostać się do nieckowatego dna krateru, pokrytego obecnie wspaniałą roślinnością. Tu pośród bujnych gajów palmowych wznoszą się lekkie chaty krajowców. Niegdyś Apolima była miejscem schronienia w wojnach domowych: boczny otwór krateru zamknięto sztucznym murem i tym sposobem uczyniono z wyspy silną warownię. Mieszkańcy tutejsi, jako dzielni wojownicy i śmiały żeglarze, osiągnęli pewną przewagę nad mieszkańcami sąsiednich wysp większych.

T a h i t i.

Słońce zaledwie ukazało się na horyzoncie — mówi pewien podróżny — i powiał lekki, orzeźwiający wiatr, gdyśmy się zbliżali do wybrzeży Tahiti. O tej rozkosznej porze dnia wszystkie szczegóły wyspy występowały z cudowną wyrazistością. Korona gór wysokich, dziwacznie poszczerbionych, wznosiła się ku niebu pośród obłoków lekkich zaróżowionych od promieni wschodzącego słońca. Ze szczytów zbiegały aż do poziomu morza długie doliny, a nieprzerwany, świeży kobierzec zieleni pokrywał całą wyspę.

Promienie słońca, padając prawie poziomo, muskały wyżyny, pozostawiając w cieniu dna dolin, rzucając jasny ton na zieleńjące grzbiety pagórków i wspinając się do szczy-

tów, które rzucały poza siebie długie cienie, pełne oparów błękitnych i przezroczych.

W pewnym oddaleniu od nas długa biała linja biegła po morzu,—to fale się łamały, ukazując miejsce podwodnej rafy koralowej, która okrąża Tahiti.

Przez wązki kanał przebyliśmy rafę i wpłynęliśmy na wspaniałą spokojną tafłę wód, oddzielonych rafą od falującego oceanu. Tu zarzuciliśmy kotwicę i wylądowali na piękną wyspę, która słusznie otrzymała miano «perły oceanu Spokojnego», «kwiatu Oceanji i t. d.

Pomimo położenia w pobliżu równika, upały nie dają się tu we znaki, łagodzą je bowiem wiatry od morza wiejące i góry. Wciąż podnoszą się z okolicznego morza opary, czepiają się gór i spadają na ziemię kroplami rosy. W każdej porze dnia wiatr od morza wiejący zmniejsza żar promieni słonecznych, a w nocy powietrze, spływające z gór, sprowadza dobrotliwą rosę. Średnia temperatura wynosi tu 25° C.; jako maximum obserwowano 31° C., jako minimum 17° C. Najgorętsza pora roku jest porą deszczu: od grudnia do marca; następnie w miejsce passatu występują gwałtowne wiatry północne, które często przyjmują charakter orkanów i sprowadzają niszczące skutki.

Trzęsienia ziemi są rzadkie i ślady działalności wulkanicznej dają się dostrzec w niewielu tylko wygasłych kraterach; jednakże skały, składające wyspę, są wszędzie wulkaniczne, tworzą one góry stożkowe, wznoszące się stromo do 2.000 m. wysokości. Od wysokich szczytów biegną promienisto wąwozy, oddzielone między sobą ostremi grzbietami. Grunt tych grzbietów składa się z gliny czerwonej, powstałej z rozkładu gór wulkanicznych; dna dolin posiadają zwykle ziemię czarną, nadzwyczaj żyzną, powstałą z nagromadzenia materiałów roślinnych. Idąc w górę tych dolin, niepodobna dosięgnąć szczytów, albowiem doliny kończą się wysokimi ścianami skalnymi, które na

setki metrów wznoszą się do tych szczytów. Dokoła tego górzystego jądra wyspy rozciąga się płaszczyna, przerywana tu i owdzie odgałęzieniami gór; równina ta jest bardzo żyzna i jest jedyną zamieszkaną częścią wyspy. Z wąwozów górskich spływają na tę równinę liczne, obfitujące w wodę strumienie, które z początku, jako dzikie potoki, wypełniają wąskie doliny i z szumem spadają ze skały na skałę, — po wyjściu zaś na równinę wiją się jako powabne rzeczki, zmierzające do cichej laguny, którą pierścień rafy koralowej oddziela od spienionych fal oceanu.

Doliny i zbocza gór, z powodu obfitych opadów atmosferycznych, są pokryte gęstymi lasami, a gdzie drzewa nie są w stanie zapuścić korzeni, tam porastają krzaki i paprocie. Rośliny, dostarczające pożywienia, rosły obficie na wyspach Towarzyskich już przedtym, zanim Europejczycy sprowadzili tu obce drzewa owocowe i nasiona. Prócz palmy kokosowej rósł pizang w wielu odmianach, dalej słodkie bataty, yams, taro i inne. Prócz tego było też wiele roślin technicznych, z których mieszkańcy otrzymywali włókna na maty, materiał do wyrobu różnych naczyń, łodzi, broni; otrzymywali z nich barwniki, oleje, żywice i lekarstwa. Europejczycy sprowadzili tu ananasy, cytryny, pomarańcze, kawę, kakao, wanilię, bawełnę i trzcinę cukrową.

Świat zwierzęcy miejscowy jest bardzo ubogi w gatunki (wyjąwszy na morzu). Ze zwierząt ssących napotkali tu pierwsi europejscy żeglarze tylko szczura, świnie z zastrزونemi uszami i psa; zwierzęta te obecnie już zniknęły; natomiast wprowadzono wszystkie europejskie zwierzęta domowe, konie z Ameryki Południowej, bydło z Nowej Południowej Walji; prócz tego kozy, owce. Najbardziej jednak rozwiniętą jest hodowla świń, od których wyspiarze ponazywali prawie wszystkie zwierzęta domowe. I tak: bydło nazywają *bua-toro*, co znaczy świnia z długą szyją; konia —

bua-horofema, świnia, która szybko biega po ziemi; kozę—
bua-niho, świnia z zębami na głowie i t. d.

Głównym miastem Tahiti jest Papeiti; właściwie mówiąc, jest to tylko wielka wieś, ale taka, którą przyroda zwrotnikowa uposażyła we wszelkie powaby. Dla obserwatora, patrzącego od strony morza, widok na miasto jest zachwycający: zdaje się ono leżeć w jakiejś krainie

czarów. «Wspaniałe magnolje odbijają się w przezroczystej wodzie laguny; zielony kobierzec traw, wyglądający jak aksamit, rozciąga się do samej zatoki, nad którą leży miasto. Po obu stronach drogi, wijącej się jasną wstęgą, ciągną się szeregi małych drewnianych domków, które toną prawie w falach zieleni i kwiatów. Ludzie, tak mężczyźni jak i kobiety, są odziani w jaskrawe materje i ustrojeni w kwiaty, na murawie leżą całe góry owoców, przeznaczone do ładowania na okręty; na dalszym zaś planie tego zachwycająco pięknego krajobrazu wznoszą się powabne wzgórza, pokryte bujną roślinnością.»



Tahitijczycy.

Miasto Papeiti jest bardzo prawidłowo zbudowane. Ulice, równoległe i prostopadłe, noszą szumne nazwy, jak: Rue de Rivoli, Rue de Paris i t. d. Wielkie aleje drzew chlebowych i pomarańczowych, oraz palm tworzą prawdziwe tunele roślinne, wzdłuż których przewiewa orzeźwiający wiatr morski.

Mieszkańcy Tahiti bywają uważani za najpiękniejszych ludzi pośród wyspiarzy Polinezji,—i rzeczywiście zasługują na tę pochwałę, jakkolwiek twierdzenie niektórych podróżników, iż jest to gatunek ludzki, przewyższający pięknoscią wszystkie ludy ziemi, jest przesadnym. Szczególniej silną budową i pięknoscią, oraz jaśniejszą barwą skóry odznaczają się ludzie wyższego stanu.

Dawniej rzadko można było spotkać się z rzeczywistą barwą ich skóry: w ósmym lub dziesiątym roku zaczęli tatuować całe ciało z wyjątkiem twarzy; zwłaszcza plecy ozdabiali wyszukanemi figurami. W trzydziestym roku cała operacja musiała być ukończona; była ona tym wyszukaną, im wyższe stanowisko zajmowała dana osobistość. Rysunki pokrywały całe ciało, jakby jaka szata mocno przylegająca; właściwego zaś odzienia było bardzo mało. Obecnie ubierają się kobiety wogóle w fałdziste, przez misjonarzy wprowadzone szaty, głowy okrywają słomianemi kapeluszkami własnej roboty, albo też wieńcami wonnych kwiatów. «Bardzo malowniczy widok przedstawiają w swych lekkich, czarnych i barwnych jedwabnych sukniach, gdy w czasie uroczystości wychodzą tłumnie dla przyjęcia udziału w zabawach ludowych.»

Wyższe klasy noszą ubiór europejski, lecz czują się w nim niezbyt wygodnie. Dawna królowa, Pomare nosiła w czasie uroczystości okazały strój aksamitny i djadem wysadzany drogiemi kamieniami. Gdy podróżniczka, Ida Pfeiffer w czasie swej wielkiej podróży (1846—1848) odwiedziła Tahiti, była zaproszona na wielki bal. Między licznemi gośćmi, Francuzami i krajowcami, znajdowała się też i królowa Pomare; była to wysoka, otyła dama w bluzie z niebieskiego atlasu, przyozdobionej czarnemi koronkami. W uszach miała wielkie kwiaty jaśminu, w czarnych włosach wianek, w rękach chustkę od nosa zdobną koronkami. Pończochy i trzewiki krępowały ją widocznie. Król nie



Święto kwiatów.

dał się opanować europejskiej modzie i ceniąc więcej własną wygodę, spacerował boso. Białe spodnie i kanarkowo-żółty surdut zdobiły jednak jego dostojną osobę. Królowa nie należała do tańców, wolała palić cygara. Przy stole deser tak bardzo jej smakował, że nałożyła sobie drugi talerz dla zabrania go do domu. Niektórzy panowie i damy tak zasmakowali w szampanie, że musiano ich powstrzymywać w zapale do opróżniania butelek. Zresztą, ogółem biorąc, zabawa odbywała się przyzwoicie i kanarkowy król przy stole zajmował rozmową panią Pfeiffer.

Wogóle Tahitjczycy porzucają coraz bardziej dawne zwyczaje, tak np. zwyczaj zabijania dzieci dawniej bardzo był rozpowszechniony: według świadectwa misjonarzy, można było napotkać rodziców, którzy sami przyznawali się, że zadusili po dziesięcioro i więcej dzieci; wyspiarze twierdzili, że mordowanie to jest koniecznością, inaczej bowiem nastąpiłoby przeludnienie i wyspa nie mogłaby wyżywić

tylu ludzi. Głównie ofiarą padały dziewczyny, to też w czasie przybycia pierwszych misjonarzy przypadła jedna kobieta na pięciu mężczyzn.

Uciążliwym z pomiędzy dawnych zwyczajów było prawo *tabu*, którym głównie rozporządzał król: każda rzecz, którą on dotknął, stawała się nietykalną; nie mógł on więc wejść do cudzego domu, stanąć na cudzym polu, albowiem w takim razie rzeczy te byłyby stracone dla swego właściciela. Dlatego króla noszono na ramionach z miejsca na miejsce. W każdej okolicy posiadał on osobny dom i pola. Wszędzie oddawano mu cześć boską, w jego obecności, nawet przed jego domem obnażano na znak czci górną część ciała.

Wojny na Tahiti odznaczały się okrucieństwem i były bardzo krwawe. Zanim jeszcze wyruszą na wojnę, już ginęli ludzie przeznaczeni na ofiarę: jeden przy radzie wojennej, jeden przy wypowiedzeniu wojny i jeden, gdy już wszystko było gotowe. Większość bitew staczano na morzu. Bitwy na lądzie rozpoczynały się walką wodzów; gdy jeden z nich padł, wtedy rozpoczynała się walka o jego ciało, która zamieniała się wkrótce w ogólną bitwę. Podczas bitwy obiegali szeregi walczących wybierani w tym celu mówcy, którzy zachęcali do walki: «Uderzcie na nich, hucząc i szumiąc, jak fale na rafie, pokażcie waszą siłę, waszą wściekłość, wściekłość dzikiego psa, aż szeregi ich zostaną złamane i uciekną jak morze w czasie odpływu.» Około pierwszych zranionych wrzała najdziksza walka; jeżeli udało się jednego z nich dostać żywcem, to niesiono go na dzidach do świątyni i tam z jego śmiertelnych drgawek kapłani przepowiadali losy walki. Wojownicy tahitjscy przy wdziewali w czasie bitwy straszliwy strój: miażdżyli ciało zabitego wroga, przebijali w pośrodku i zawieszali je sobie na szyję, ażeby przejmować strachem nieprzyjaciół. Wściekłość zwycięzców nie zadawała się mordowaniem walczących, lecz wpadali oni do wiosek, mordowali starców,

kobiety i dzieci, palili domy, wycinali drzewa owocowe. Zabitych porzucano na wybrzeżu morskim, na pastwę dzi-
kim psom i ptakom drapieżnym: zabierano tylko niektóre
kości dla wyrabiania z nich różnych narzędzi.

Te okrucieństwa, jeszcze znacznie złagodzone w niniejszym
opisie, wykazują, jak bardzo mylili się niektórzy dawni po-
dróżnicy, którzy zachwycali się cnotami i szlachetnością Ta-
hitijczyków. Wiele z tych właściwości znikło wprawdzie
obecnie, nie wszystkie jednak; mimo długiego zetknięcia
się z Europejczykami, Tahitijczycy uczynili mniej postępów,
aniżeli można się było spodziewać, chociaż od samego po-
czątku wykazywali wiele skłonności do przyjęcia cywili-
zacji. Tak np. Cook przywiózł do Londynu pewnego Tahitijczyka, który doznał nadzwyczaj przyjaznego przyjęcia od
dworu i arystokracji angielskiej; przejął on wybornie ogładę
angielskiego towarzystwa, nauczył się nawet świetnie grać
w szachy. Po czterech latach powrócił do ojczyzny, gdzie
Cook kazał dla niego zbudować dom, w którym znalazły
pomieszczenie liczne podarki przywiezione z Anglii. Mimo
to wszystko Tahitijczyk ów wkrótce pozbył się wszel-
kich cech europejskich i powrócił do dawnych zwyczajów.
Uczucie powolniej doskonali się niż rozum, dlatego czło-
wiek trzyma się nieraz dawnych przyzwyczajzeń, choćby
rozumem pojmował ich niedorzeczność i szkodliwość.

Archipelag Hawajski (Sandwich).

Jezioro płonącej lawy.

Wszystkie wyspy Hawajskie odznaczają się naturą wul-
kaniczną; składają się z law i starszych skał wulkanicz-
nych. Lawy są różnorodne, przeważnie jednak bazaltowe;
wnętrze gór zawiera przeważnie trachit i fonolit. Niekiedy
dają się dostrzegać ławice wapienia koralowego. Tam,
gdzie wybuchy wulkaniczne już oddawna ustały, rozwija

się bujna roślinność; jednakże kraj nie jest tak powabny obecnie, jakim był w czasie jego odkrycia: wiele okolic uprawnych wówczas są obecnie pustyniami.

Trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów zdarzają się często na wszystkich prawie wyspach i zrzadzają straszne spustoszenia: najgrubsze ściany domów pękają, w cysternach woda znika, co grozi zniszczeniem plantacjom, i t. d.

Archipelag Hawajski można uważać jako kulminacyjne punkty łańcucha gór wulkanicznych, który w obu najwyższych szczytach: *Manua Loa* i *Manua Kea*, prawie dorównywa najwyższemu szczytowi Alp Europejskich, górze Mont-Blanc. Jednakże z powodu niskiej szerokości geograficznej (zwrotnik Raka) góry te nie dosięgają linii śnieżnej.

Największą wyspą archipelagu i zarazem najwschodniejsza jest Hawaj. Na nagich złomach lawy, ciągnących się tu wzdłuż wybrzeża, rozbijają się z hukiem spienione fale morskie, wlewają się one do jaskiń nadbrzeżnych i, odbite, powracają znowu do morza, lub, przecisnąwszy się przez szczeliny sklepienia, wytryskują jak fontanny pośród rosnących paproci.

Zachodnia część wyspy, zasłonięta od wilgotnych wiatrów wschodnich wysokimi górami wnętrza, nosi charakter pustkowiec, tymbardziej, że nieznaczna ilość deszczu znika szybko pośród skał lawy, popękanych w liczne szczeliny. Mimo to niegościnna ta kraina jest zamieszкана, albowiem niewybredna palma kokosowa udaje się i tutaj, a prócz tego morze dostarcza różnego pożywienia. Wschodnia część wyspy jest daleko bujniejsza i dobrze nawodniona; żeglarz płynący z północy wzdłuż wybrzeża to stromego i dzikiego, to powabnie zniżającego się, widzi prawie ciągle jakiś z licznych wodospadów, które po skalnych ścianach, do 200 metrów wysokich, spadają z szumem do morza. Od krawędzi skalnych wznoszą się ku górzystemu

wnętrzu ciemne lasy, poprzerywane jaśniejszemi płatami plantacji trzciny cukrowej; z zieleniejących wąwozów wglądają tu i owdzie małe wioseczki z białemi kościołami.

Miasto główne wyspy—*Hilo*, leży na południowym wybrzeżu pięknej zatoki Byrona, otoczonej dokoła palmami kokosowemi i innemi roślinami zwrotnikowemi. Powabne to miasteczko w roku 1877 zostało prawie całkowicie zburzone przez wielką falę seismiczną ¹⁾, przyczym wielu ludzi utraciło życie; ale miasto wkrótce wróciło do pierwotnego stanu. Domy stoją pośród wysokich drzew, użyczających cienia. Pod samym miastem wlewa się rzeka Wailuku do morza.

«Ten dziki górski potok szumi przez wąwozy wśród małowniczo popekanych skał lawy, to dzieli się na liczne ramiona, to znów się łączy w jednolitą wstęgę; tutaj rzuca się wodospadami, tam płynie w szerokim łożysku z otoczków, wspaniale i dziko, jak wszystko na tych wyspach. Po bokach bystrego strumienia potworzyły się liczne kałuże z wodą spokojną, która służy do kąpieli. Dziwaczne drzewa pandanusowe, przyczepione do ścian skalistych, zwisają z góry na dół i kołyszą się poruszane łagodnym passatem.»

W pobliżu miasta rzeka dzieli się na trzy ramiona, które, wciśnięte między potężne złomy lawy, płyną z początku z szybkością strzały, a następnie wodospadami rzucają się do rezerwoaru, otoczonego wysokimi skałami.

Krajowcy dla uciechy rzucają się w spienione fale; nawet dziewczyny z *Hilo*, złożywszy wdzięcznie ręce na głowie, pozwalają się unosić falom, znikają w odmęcie wodospadu, aby w najbliższej chwili znów wynurzyć się z wiru, niby rusalki.

¹⁾ Fala powstała na morzu wskutek trzęsienia ziemi.

Półgodzinna droga konno przez piękne podmiejskie ogrody prowadzi do wspaniałego wodospadu Rambow (t. j. tęczowy). Rzeka Wailuka spada tu dwoma ramionami ze ściany na 20 metrów wysokiej do okrągłego wodozbioru. Ponure tło ściany skalistej odbija silnie białość spienionych fal, a we wznoszących się obłokach mgły, promienie słońca łamią się licznymi tęczami; jedne z nich błyszczą najwspanialszemi barwami, drugie zlewają się w odcieniach łagodnych. Naprzeciwko wodospadu wznosi się na 30 metrów wysoka ściana skalista, z której krawędzi młodzi wypiarze wykonywują niebezpieczny skok w wodną głębinę. Wysoko na górze, ponad głowami widzów, którym przerażenie tamuje oddech, widać wielkie, silne postacie, odrzynające się wyraźnie na czystym lazurze nieba; ich głowy i ciała są zdobne w wieńce z kwiatów i liści. Orlim wzrokiem mierzą przez chwilę odległość; następnie silny rozpęd, skok, wielokrotny zwrot w powietrzu — i znikają w falach, aby natychmiast znów, niby korek, pojawić się na powierzchni i wdrapać się szybko po nadbrzeżnej pochyłości, oblanej światłem zwrotnikowego słońca.

Od równiny Hilo wznoszą się powoli zbocza wulkanu Mauna Loa. Na jego szczycie ciągnie się szereg kraterów z południa na północ. Najczynniejszym z nich jest *Kilauea*, zajmujący wschodnią stronę wulkanu i stanowiący prawdziwy cud archipelagu Hawajskiego. Leży on w oddaleniu 44 km. od Hilo; droga ta, prowadząca przez złomy lawy, twarde i śliskie jak szkło, jest bardzo uciążliwa, ale podróżnik po trudach znajdzie tu wypoczynek w hotelu Volcano, zbudowanym na krawędzi krateru. Przy samym hotelu otwiera się przepaść, 180 m. głęboka; po ścianach jej prowadzi zygzakowata droga do dna krateru. Powierzchnia lawy świeża, błyszcząca jak metal, przedstawia najrozmaitsze kształty: tu wznoszą się wzgórza stożkowe, tam fali-

ste; w innych miejscach dają się widzieć jakby puszczalki organów, jeszcze gdzieindziej zastygła lawa wygląda jak gdyby masy nagromadzonych na sobie lin; to znowu znajdujemy się jakby w olbrzymim kotle, którego zawartość steżała w momencie wrzenia. Im dalej postępujemy, tym gorętszym staje się grunt, a z licznych szpar, przecinających różnobarwne potoki lawy, wznoszą się gazy siarczane; kryształki siarki, ałunu i innych minerałów błyszczą tęczowymi barwami. W wielu miejscach powierzchnia gruntu i krzaki są pokryte delikatnymi włóknami; jest to lawa wyciągnięta i unoszona przez wiatr, a następnie zastygła; włosy bogini *Pele*, według pojęć tamtejszych mieszkańców.

Podróżniczka angielska, Brassey, która zwiedziła krater Kilauea, przyczym przewodnik często załamywał się na cienkiej pokrywie zastygłej lawy i musiał szybko uciekać przed wybuchającymi gorącymi parami, opisuje nam przerażający i wspaniały obraz, jaki się przedstawiał jej oczom.

«Okolo 100 stóp pod nami falowało ogniste jezioro. Ogniste fale łamały się z szumem, jak fale wzburzonego oceanu na stromym wybrzeżu; uderzały o skaliste przylądki, wznosiły się do góry i wyrzucały płonące piany wysoko w powietrze. Ze szczególniejszą gwałtownością pieniały się fale dokoła małej wyspy: zdawało się iż nie spoczną, póki wyspa nie zniknie we wrzącej otchłani. Na drugiej stronie fale rzucały się do wielkiej jaskini, z łoskotem podobnym do grzmotu piorunowego odrywały zwisające u wejścia olbrzymie stalaktyty i podrzucały swe własne płonące masy, aby utworzyć stalaktyty nowe. Każda chwila ukazywała inne widoki: raz była to jakby rzeka z roztopionego złota, płynąca majestatycznie; to znowu tworzyło się kilka płonących strumieni, które rozdzielały masę ciemno-czerwoną, pokrytą szarawemi pianami. Bez przerwy coś bełkotało i syczało, wrzało i szumiało; ogniste fale

wznosiły się i opadały, a od czasu do czasu, jak gdyby z otwierającej się szczeliny, występowały potężne czerwone i żółte słupy promieni, fontanny, snopy i deszcze ogniste— to tu, to tam—wszędzie!»

Ognista lawa nigdy nie występuje ponad krawędzie krateru, znajduje ona sobie drogi podziemne przez liczne jaskinie i szczeliny w skałach wulkanicznych; daleko poni-



K i l a u e a .

żej, gdzie pokrywa skalna nie jest tak gruba, otwierają się nieraz szczeliny, w głębi których widać płonącą lawę. Czasami jednak przerywa ona zbocza góry i wtedy ognisty potok, płynący w dół, niweczy na swej drodze wszystko: lasy, plantacje, mieszkania i ludzi.

Najważniejszą ze wszystkich wysp archipelagu jest *Oahu*, wprawdzie znacznie mniejsza od *Hawaii*, ale stanowiąca środkowy punkt handlu i główny obszar produkcyjny; dlatego jest siedliskiem rządu. *Oahu* jest zupełnie ina-

czej zbudowana, niż inne wyspy archipelagu Hawajskiego: tam, od zwykle wysokiego brzegu kraj wznosi się bądź powoli, bądź tarasowato ku jednemu lub kilku punktom kulminacyjnym; tutaj dwa górskie łańcuchy, ciągnące się z północo-zachodu na południo-wschód równolegle do brzegów, przerzynają wyspę i ograniczają szeroką dolinę. Oba grzbiety są wulkaniczne, jednak w południowym grzbiecie niema śladu kraterów; w północnym zaś tylko na pochyłości zwróconej ku morzu. Południowy skraj nadbrzeżny i środkowa równina, zasłonięte od passatu, są suche i dlatego nadają się tylko do hodowli bydła. Grzbiet północny jest stromy i wązki, podobnie jak i południowy. Strome ściany skalne z bazaltu i lawy zamykają malownicze i żyzne doliny, kończące się niekiedy w górze kotlinami wygasłych kraterów. Żaden podróżnik nie omieszka odwiedzić tych pięknych miejscowości, gdzie z wyniosłych punktów rozciągają się wspaniałe widoki na zieleniejącą nizinę, obrębią błyszczącym pasem piaszczystego wybrzeża, a dalej lśniąco-białą linią piany falującego oceanu, którego modra powierzchnia podnosi się ku linii horyzontu.

Od głównego miasta, Honolulu, prowadzi droga wzdłuż domów wiejskich i ogrodów pod orzeźwiającym cieniem drzew wiecznie zielonych, około spokojnie w głębi leżących cmentarzy i fabryki lodu. Dolina zwęża się, a drogę przecina po wielekroć w węzowych skrętach szumiący strumień; ludzie zmusili go do służenia im, zużytkowali na zawodnienie plantacji taro, rozciągających się na prawo i lewo od drogi. Droga wspina się wyżej i wyżej pośród najwspanialszych widoków, strome góry zostały poszarpane w rozmaite fantastyczne formy i spadają nagle do zięjących otchłani. Po obu stronach przejścia wznoszą się olbrzymie skały bazaltowe i grunt pokryty wijąciami się roślinami, spada nagle do otchłani na 400 metrów głębokiej. Dopiero niezbyt dawno wyrąbano tu w skałach ścieżkę dla

koni; dawniej stały tu kamienne posagi bogów otchłani, przed którymi krajowcy po szczęśliwym przebyciu drogi, przy pomocy ljanów, składali zielone gałązki lub wieńce z kwiatów jako dziękczynne ofiary; tutaj staczano też stanowcze walki w czasie wojen domowych.

Honolulu jest miastem głównym archipelagu Hawajskiego i najważniejszym punktem handlowym w Polineezji; leży ono na południowym wybrzeżu wyspy Oahu. Rąfy koralowe i ławy piaszczyste, obnażone w czasie odpływu, ciągną się od wybrzeża daleko w morze i do portu prowadzi tylko wązkie, kanałowe wejście, w którym grozi ciągłe silne falowanie. Miasto jest zbudowane na niskim pasie ziemi, za ledwie wznoszącym się nad powierzchnię morza; wyższe budowle, wieże i flagi pozwalają jednak podróżnikowi, przybywającemu od strony morza, domyślać się istnienia miasta, tonącego w gęstej zieleni ogrodów zwrotnikowych.

Prawo Kapu na archipelagu Hawajskim i jego upadek ¹⁾.

Z drobiazgowych i tajemniczych przepisów kapłańskich, dotyczących się zakłęb i składania ofiar, od najwcześniejszych czasów we wszystkich religjach pierwotnych zaczęły powstawać rozmaite zakazy, które z biegiem czasu, otrzymały charakter przykazań, charakter moralny. Takie zakazy w religjach ludów Polinezyjskich noszą nazwę *Tabu*, a na wyspach Hawajskich *Kapu*. Prawo to w rękach kapłanów hawajskich stało się potężnym środkiem, za pomocą którego wynieśli się oni sami ponad resztę ludności i stali się sprzymierzeńcami królów; za pomocą którego urządzili sobie życie według własnych upodobań, a życie ludu nagięli do potrzeb i interesów swoich. Przekroczenie kapu, t. j. prze-

¹⁾ Według źródłowej pracy I. Radlińskiego «Na nowej drodze».

kroczenie zakazu jakiegokolwiek czynności lub używania jakiej rzeczy, pociągało za sobą karę natychmiastową.

Za pomocą kapu kapłani rządzili ziemią i wszystkim, co ona wydawała lub co się na niej znajdowało; rządzili każdą rodziną, każdą jednostką, jej mieniem i czynami, kuchnią, żołądkiem i wszystkimi potrzebami. Kapu przeto było liczne, drobiazgowo i obejmowało całe życie człowieka. Łatwo bowiem było zrozumieć tym, którzy wydawali kapu, że im liczniejsze i bardziej drobiazgowo stawało się ono, im każda osobistość częściej była nim dotykana i czuła się bardziej opłataną, tym zupełnie i całkowicie podlegała ona władzy kapłańskiej, tym łatwiej było kapłanom utrzymać ją w zależności od siebie, tym łatwiej nakoniec w razie potrzeby było ją schwytać na przestępstwie.

Osobne kapu obwarowywało samą religję i ochraniało jej obrzędy. Każdy przedmiot martwy lub żyjący, jak drzewo, kamień, ptak, ryba i t. d., skoro stawały się przedmiotem czci dla człowieka lub tylko dostarczały przedmiotu czci, np. drzewo lub kamień, z których zrobiony został posąg bożka, stawały się już kapu, t. j. przedmiotem nieetykalnym, jakby wcale dla człowieka nie istniejącym. Kara śmierci oczekiwana człowieka za dotknięcie się kamienia lub drzewa świętego. Kara śmierci za zabicie lub zranienie zwierzęcia świętego. Kara śmierci za naruszenie porządku lub przerwanie ciszy w czasie ofiar publicznych i modłów. Karę śmierci pociągał za sobą zarzut niereligijności.

Podobała się kapłanowi pewna miejscowość — rzucał na nią kapu; wtedy stanąć tu mogła tylko świątynia dla boga lub dom dla kapłana. Potrzeba była materiałów budowlanych na wzniesienie świątyni lub domu dla kapłana — rzucano na nie kapu i wtedy nie mogły one być na nie

innego użyte; rzucili kapłani kapu na dni stosowne dla budowania świątyni lub domu — i dni te nie mogły być na inną pracę użyte. Kapu dostarczało zawsze kapłanom wszystkiego, wyniósszy ich ponad zwykłych ludzi. W braku np. dostatecznej ilości homarów lub kur na pożywienie dla kapłanów rzucono kapu na homary lub kury i wtedy wszystko musiało być oddane na potrzeby kapłanów, gdyż zwykłym ludziom spożywać tych zwierząt nie było już wolno; za kęs takiego jadła można było stracić życie.

Rzucenie kapu na człowieka było wyklęciem, pozbawiało wszystkich praw, rodziny, towarzystwa. Skazywało na tułactwo i odosobnienie, a ten tylko mógł je zdjąć z grzesznika, kto rzucił kapu.

Ze sfery religji kapu przeszło do polityki: obok kapu kapłańskiego powstało kapu królewskie.

Oto ważniejsze z tych ostatnich:

Jeżeli cień poddanego padnie na króla, śmierć temu, czyj to był cień. Jeżeli poddany przywdzieje na siebie ubranie królewskie—śmierć mu. Jeżeli poddany wlaźł na ogrodzenie posiadłości królewskiej—śmierć mu. Jeżeli poddany stał, kiedy niesiono naczynie z wodą do umycia się królowi—śmierć mu. Jeżeli poddany stał, kiedy w pieśni było wypowiedziane imię królewskie — śmierć mu (powinien był paść na ziemię) i t. d.

A trzeba dodać, że takich królów w czasach dawniejszych mogło być po kilku na każdej wyspie!...

Chociaż żywot pod grozą kapu kapłańskiego i królewskiego nie mógł być ponętnym, to jednak długi czas nikt nie wystąpił przeciwko kapu; nikt nie czuł się dość silnym i odważnym, by zerwać ze starami obyczajami, którym religja nadawała cechy konieczności i nienaruszalności.

Lecz z biegiem czasu przy większym rozwoju umysłowym ludziom sprzykrzyły się te więzy; brakowało im tyl-

ko pobudki, brakowało powodu do otwartego wystąpienia i stargania więzów. Pobudką taką stała się śmierć starego króla (1819 roku); za powód posłużyły obrzędy pogrzebowe.

Hawajczycy nie pojmowali, że śmierć naturalna jest koniecznością; dla nich była ona tylko następstwem rzucenia przez kogoś czarów. Jeżeli umierał król, to przekonanie takie zwiększało jeszcze znaczenie tego wypadku.

Po śmierci jednego króla, a przed objęciem rządów przez drugiego upływało zwykle dni kilkanaście. Z formalnej strony dni te były poświęcone na uroczystości pogrzebowe; w rzeczy samej zaś odbywały się wtedy krwawe walki wewnętrzne.

Prawnej władzy nikt nie posiadał, po nastąpieniu bowiem śmierci króla domniemany następca jego był natychmiast wydalany z tej miejscowości, gdzie śmierć nastąpiła; a to dlatego, że czary rzucone na zmarłego zanieczyszczały rezydencję królewską i całą okolicę. Musiał on przebywać w miejscu sobie wskazanym, a dopiero po pogrzebie był sprowadzany do rezydencji.

Rzeczywista władza należała do kapłanów, wróżbitów, mistrzów ceremonji. W istocie jednak byli oni wszyscy narzędziami tylko w ręku kogoś najzręczniejszego z królewskiego otoczenia.

Król umarł wskutek czarów. Należało przeto wykryć, kto te czary rzucił, i naturalnie, ukarać winnych śmiercią. Król i po śmierci potrzebował otoczenia odpowiedniego, należało więc otoczenie to wyznaczyć i z nim je połączyć. Ze zmarłym tylko śmierć łączyć może. Wymordowywano więc wyznaczony orszak królewski. Zaliczenie do tego orszaku było skazaniem na śmierć niechybną bez sądu. A ponieważ liczba osób w orszaku nie była określona, więc i liczba ofiar na śmierć skazywanych była dowolna.

W taki sposób zręczniejsi i silniejsi otrzymywali możliwość pozbycia się raz na zawsze dowolnej ilości swoich wrogów i współzawodników. Król zmarły już nie był w stanie obronić swych ulubieńców, załatwiano więc z nimi stare rachunki. Król przyszły był nieobecny, łatwo więc było usunąć i tych, którzyby mogli stać się niebezpiecznymi w przyszłości wskutek wpływów swoich na przyszłego króla.

Gdy w otoczeniu dworskim naradzano się, ilu i jakich wybrać towarzyszków zmarłemu królowi w wędrówce po nieznanym świecie, zwłoki jego przenoszono z domu do domu, z jednej do drugiej świątyni, rznięto je, rozcinano, odłączano mięso od kości; kości oczyszczano, układano, pakowano. Mięso zaś takiego króla, który był kochany i czczony—a któryż z nich takim nie jest?—zjadano.

Po śmierci króla Kamehamehy w 1819 roku ludzie, wybrani na ofiary, posiadali widocznie zbyt silne stronnictwo, albowiem ceremonia pogrzebowa po raz pierwszy uległa wtedy zmianie: zamiast ludzi, zabito na ofiarę trzysta psów. Partja skazana na ofiarę pozostała przy życiu: byli to nowatorzy, bezbożnicy, którzy znaleźli poparcie i w młodym królu.

Pierwszym dążeniem nowatorów było zwalenie kapu, zwłaszcza najbardziej uciążliwych zakazów co do pożywienia. Zamieszanie, spowodowane śmiercią Kamehamehy, nadało się bardzo do wystąpienia przeciw kapu. Bezwiednie zaczęto korzystać z nadarzającej się okazji, jedzono pokarmy będące pod kapu.

Niewiadomo napewno, co doprowadziło Hawajczyków do tak śmiałego kroku, zdaje się jednak, iż skłonił ich do tego widok cudzoziemców, którzy spożywali te pokarmy, a jednak nie umierali. Cudzoziemcy ci mówili Hawajczykom, że te zakazy pokarmów są głupstwem i wogóle wszystkie

kapu są głupstwem. I gdy wodzowie i naczelnicy nie zważali na kapu, jedli rzeczy wzbronione, a jednak bogowie śmierci na nich nie zsyłali, wtedy obawa znikła; żony wodzów rzuciły się też do swobodnego jedzenia, a wreszcie poszedł za nimi i lud prosty. Kiedy upadło kapu jedzenia, ludzie przyszli do przekonania, że i wszystkie inne kapu to tylko strachy, wymyślane przez kapłanów dla własnej ich korzyści.

JANUSZ KUKULSKI

SPIS RZECZY.

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| Od autora | 5 |
| Ogólny charakter ładu Australji | 7 |
| Góry Błękitne | 13 |
| Alpy Australijskie | 15 |
| Wycieczka w góry Kościuszki | 18 |
| Wody Australji | 25 |
| Rzeka Murray | 27 |
| Klimat Australji | 30 |
| Świat roślinny | 34 |
| Świat zwierzęcy | 40 |
| Człowiek pierwotny | 45 |
| Koloniści | 54 |
| Pasterze australijscy | 60 |
| Niektóre osobliwości życia społecznego w Australji | 64 |
| Nowa Południowa Walja | 66 |
| Sydney | 69 |
| Wiktorja i Melbourne | 72 |
| Tasmanja | 75 |
| Wytepienie Tasmańczyków | 77 |
| Nowa Gwinea | 80 |
| Wyspiarze Nowej Brytanji (Archipelagu Bismarka). Taniec Duk-Duk | 87 |
| Nowe Hybrydy i ich mieszkańcy | 90 |
| Nowa Kaledonja | 96 |
| Wyspy Fidži i ich mieszkańcy | 98 |
| Handel drzewem sandałowym i niewolnikami | 105 |
| Nowa Zelandja | 110 |

II

| | <i>Str.</i> |
|--|-------------|
| Wulkany wyspy północnej. Zniszczony kraj cudów | 112 |
| Wejście na szczyt Hochstettera | 116 |
| Równina Canterbury | 122 |
| Pierwotni mieszkańcy Nowej Zelandji i kolonizacja. | 125 |
| Owce i króliki w Nowej Zelandji | 131 |
| Pracownicy morza | 133 |
| Polinezyjczycy. | 138 |
| Wyspy Tonga | 141 |
| Wyspy Samoa | 144 |
| Tahiti | 146 |
| Archipelag Hawajski (Sandwich). Jezioro palącej lawy | 153 |
| Prawo Kapu na archipelagu Hawajskim i jego upadek | 160 |



KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



E 502609

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

ARNIA
VARIAT



3282

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



42041[1]

Wydawnictwa M. ARCTA w W

Wilkomn M. d-r. **ATLAS PAŃSTWA ROŚLINNEGO.** Wielka książka in 4-6 zawierająca 200 podwójnych stronie tekstu ze 165 drzeworytami objaśniającymi, oraz 124 tablice z 700 rycinami kolorowymi roślin, w opracowaniu Wł. M. Kozłowskiego; broszurowany rb. 6, w oprawie 7 —

Prof. K. Arendts. **ATLAS HISTORJI NATURALNEJ** (Zoologia, Botanika, Mineralogja, Geologia), 76 tablice zawierających 1100 wizerunków z tekstem szczegółowym, napisanym przez B. Dyakowskiego i A. Słóarskiego 2 25

Wolberg L. d-r. **BUDOWA CIAŁA LUDZKIEGO.** Plastycznie przedstawiona w 5 dużych, ruchomych obrazach kolorowanych oraz 12 rysunkach czarnych. Z tekstem objaśniającym. W formacie dużym, arkuszowym 1 20

Schneider O. d-r. **ATLAS PRZYRODNICZO- GEOGRAFICZNY.** Typy krajobrazów, ludzi, zwierząt i roślin, opracowany przez A. Słóarskiego. 18 podwójnych tablic z 600 wizerunkami, 15 mapek i 1 podwójna mapa pogłódowa. Wydanie drugie 2 25

Noll d-r prof. **HISTORJA NATURALNA CZŁOWIEKA** (Antropologia) przystępnie wyłożona, objaśniona 108 rysunkami oraz jedną tablicą kolorową, z uwagami o pielęgnowaniu zdrowia, przełożył z niemieckiego d-r A. Fabian. kop. 75; w oprawie kartonowej 1 —

Nalkowski Wacław. **GIEOGRAFJA FIZYCZNA.** Z licznymi rysunkami 1 50

Kramsztyk Stanisław. **ZIEMIA I NIEBO.** Wykład popularny astronomji. Cz. I. Ziemia jako bryła niebieska, z licznymi rysunkami objaśniającymi. rb. 1, w oprawie 1 20

Weryho M. i Gałęcka M. **CO SIĘ Z CZEGO ROBI I SKĄD POCHODZI?** Zbiór praktycznych wskazówek dla wychowawców i nauczycieli początkowych. Wydanie II, z 80 rysunkami objaśniającymi, broszur. — 60 kartonowane — 75

Heilpern M. **POGADANKI O TAJEMNICACH PRZYRODY.** Część I. Wstępne wiadomości o świecie. Wydanie II dopełnione, z 77 rysunkami w tekście. broszura rb. 1 kop. 20, karton 1 40

Nowa prenumerata 33 zeszyty po kop. 20.

KSIĘGA WIADOMOŚCI POZYTECZNYCH. 1,100 stronie tekstu, objaśnionych 2,500 rysunkami. Cena za całość rb. 6, w oprawie w płótno angielskie rb. 6 kop. 75, w półskórek 7 —